www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 9 (1051)
24.02-1.03.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Bronisław Łagowski
Przemoc symboliczna

Prof. Jan Widacki
Niska jakość sprawiedliwości

Przemysław Witkowski
Wrocław-Śródmieście – najlepsza dzielnica

Łódź – miasto porzuconych dzieci

Uczcijmy pamięć ofiar

PAŃSTWOWY KULT „WYKLĘTYCH"

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311003 09

OSCAR
NOMINACJA
NAJLEPSZY FILM
MIĘDZYNARODOWY

12x CÉSAR
NOMINACJI, W TYM
NAJLEPSZY FILM

NĘDZNICY

WYSTARCZY ISKRA, ŻEBY WYBUCHŁ GNIEW

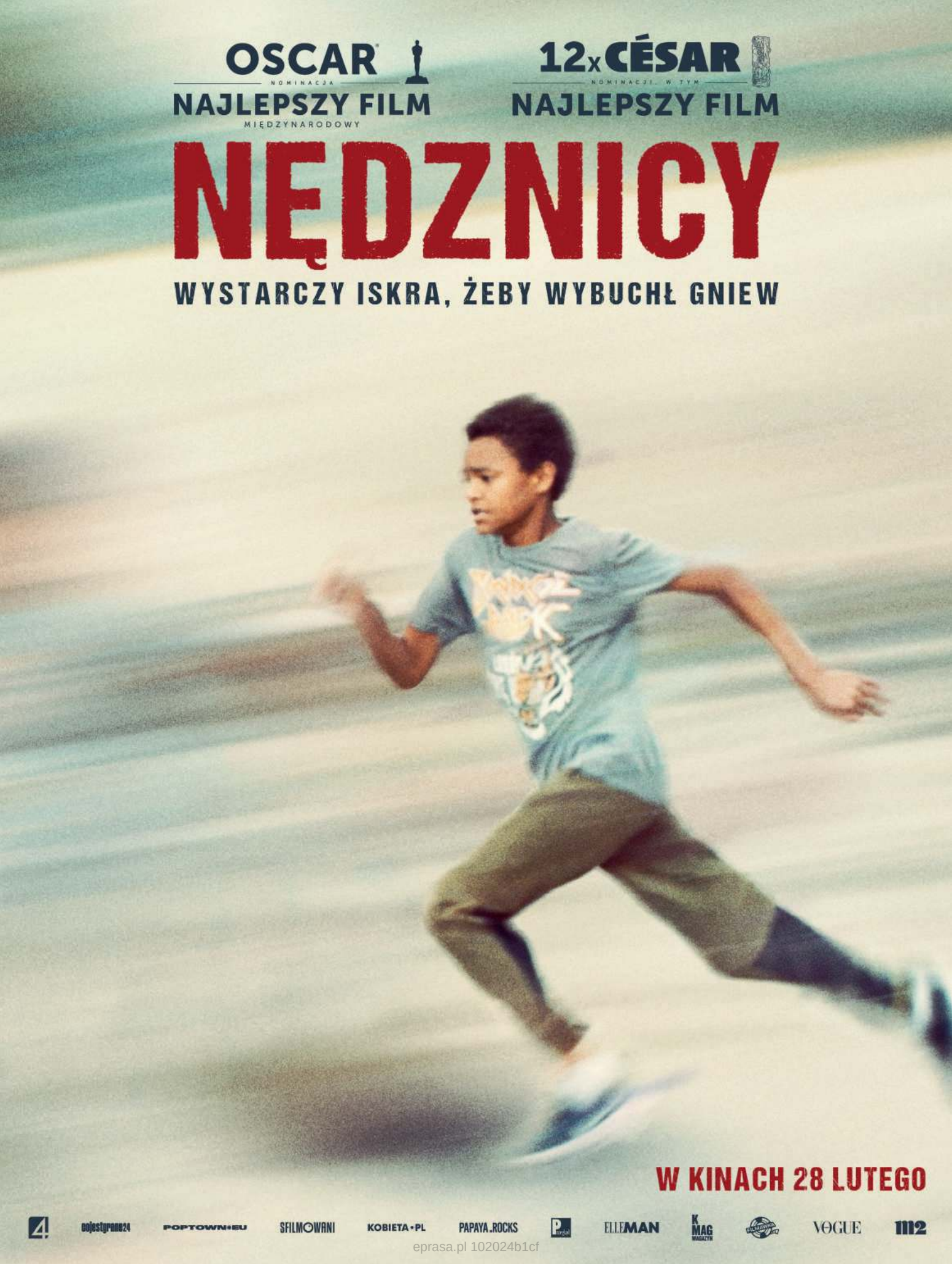

W KINACH 28 LUTEGO

eprasa.pl 102024b1cf

CYTATY

GRZEGORZ ZYGADŁO,
mąż Olgi Tokarczuk
Bezczelnie się z nią konfrontuję i pakuję na równą pozycję. Otwarcie komunikuję swoje zdanie.
„Twój Styl"

PIOTR KUCZYŃSKI,
analityk rynków finansowych
Jesteśmy w takim momencie, że jeden system zdycha, a drugi gdzieś tam się rodzi. Musi powstać coś innego.
„Rzeczpospolita. Plus Minus"

PROF. BEATA ŁACIAK,
socjolożka
W Polsce człowiek informujący o nieprawidłowościach jest nadal uważany za ptaka, który kala własne gniazdo.
„Tygodnik Powszechny"

MAREK KAMIŃSKI,
podróżnik, filozof
Marzenia trzeba pielęgnować, bo to są dary, za którymi warto pójść.
„Polska The Times"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Duda wisi na Kurskim

Jeśli ktoś myśli, że media państwowe, dla kamuflażu zwane publicznymi, sięgnęły dna, to bardzo się zdziwi. W kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy nieraz spod dna usłyszymy pukanie. Zobaczymy takie akcje, przy których nagonka na zamordowanego prezydenta Gdańska Adamowicza i marszałka Senatu Grodzkiego to pieszczoty. Duda musi wygrać. I temu celowi będzie podporządkowane wszystko, co obejrzymy w telewizji Kurskiego i usłyszymy w programach radiowych opanowanych przez PiS. Prezydent Duda gra o ciąg dalszy dolce vita, o którym nie mógł nawet marzyć. A powiązani z jego wyborem kierownicy mediów rządowych walczą o utrzymanie kosmicznych apanaży. Za swoje usługi biorą tyle, że nie muszą się przejmować oburzeniem środowiska dziennikarskiego, które w większości klepie biedę. Przyjdzie czas, gdy listy z apanażami bonzów pisowskich mediów staną się jawne. Dla tych, którzy 500+ uważają za szczyt szczęścia, zarobki ich telewizyjnych idoli będą prawdziwym szokiem. Bo niemało jest u Kurskiego gwiazdeczek dostających co miesiąc więcej niż rodzina z dwójką dzieci przez kilka lat. Zbudowane na oszustwach i kłamstwach media pisowskie będą trwać tak długo, jak długo wystarczy im kasy na premie i ekstrapensje. Brak 2 mld zł z budżetu państwa na TVP oznaczałby zgaszenie tam świateł. Oczywiście do tego nikt z obozu władzy nie dopuści. Kasa na najważniejsze ogniwo sztabu Dudy na pewno się znajdzie. Nawet jeśli rząd Morawieckiego będzie musiał przekazać jakąś większą kwotę na onkologię, spółki skarbu państwa na gwizdek ich oberszefa Sasina wykupią reklamy w telewizji i radiu. Przynajmniej do końca maja pieniądze będą tam płynąć. Wedle potrzeb Kurskiego. Ci, co wylezą spod dna, nie mogą odczuć, że ich wierna służba nie ma pokrycia w przelewach na konto.

Telewizja zawsze była telewizją rządową i krótkie chwile niezależności tego nie zmienią. Co najwyżej mogą być analizowane na użytek budowania mediów publicznych w czasach po PiS. Już za rządów PO były to media półpubliczne. I dla odnowy tych mediów lepiej będzie, jeśli politycy PO i menedżerowie rządzący TVP oraz Polskim Radiem dadzą sobie spokój z mądrzeniem się, co i jak trzeba z nimi zrobić. Mieli osiem lat na zbudowanie tego rynku. Zamiast tego rozwalili abonament, nie dając mediom niczego w zamian. Prywatyzować, prywatyzować – to był cały program tej ekipy, która na nadmiar myślicieli nie narzekała. Można powiedzieć, że za PO widza stopniowo okradano z mediów publicznych. A PiS te media po prostu zarżnęło. Została atrapa. I stara nazwa, która nijak się ma do standardów europejskich.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 102024b1cf

W NUMERZE

KRAJ

8 **Andrzej Duda – chyba się nie uda**
Kampania ledwo ruszyła, a już buksuje

18 **Skąd wziąć nauczyciela?**
Kryzys kadrowy w szkołach

20 **Hydra trudna do pokonania**
Nabrani na pokazy promocyjne

24 **Prawie język**
– rozmowa z Galopującym Majorem

28 **Nie liczy się wiek, liczy się serce**
Najwięcej dzieci porzuca się w Łodzi

38 **Gdzie jest pomnik śląskiego powstańca**
Niewygodny patron dr Augustyn Kośny

HISTORIA

12 **Uczcijmy pamięć ofiar**
Państwowy kult „wyklętych"

14 **Bandyta na muralu**
Duch Ludwika Danielaka straszy w Bełchatowie

ZAGRANICA

30 **Niezjednoczone Królestwo**
Wielka Brytania się chwieje

32 **Bliskowschodnia spirala kłopotów**
Syria potrzebuje ropy

34 **Jedne Niemcy, różne krajobrazy**
Korespondencja z Berlina

EKOLOGIA

40 **Lęk przed zmianami klimatu przekujmy w działanie**
– rozmowa z dr Marzeną Cypryańską-Nezlek

KULTURA

44 **LGBT to ludzie, nie ideologia**
Studencki serial podbija świat

48 **Opiłki i okruszki**
Nowa książka Tomasza Jastruna

50 **Qulturalia**

66 **Waiting Room**

ZDROWIE

52 **Na razie epidemia podejrzeń**
– rozmowa z dr. Markiem Posobkiewiczem

OBSERWACJE

54 **Śródmieście – wrocławska perła w koronie**
Najlepsza dzielnica w Europie

58 **Skąd się bierze czekolada?**
Korespondencja z Campo de Gibraltar

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Duda wisi na Kurskim

11 **Bronisław Łagowski**
Przemoc symboliczna

27 **Jan Widacki**
Sędziowie

39 **Roman Kurkiewicz**
Terror i tortury mile widziane

43 **Tomasz Jastrun**
Wielka wojna

47 **Wojciech Kuczok**
Sceny narodowe

57 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Romans łapki z policjantem Lego

34
ZAGRANICA

JEDNE NIEMCY, RÓŻNE KRAJOBRAZY
Korespondencja z Berlina

44
KULTURA

LGBT TO LUDZIE, NIE IDEOLOGIA
Studencki serial podbija świat

54
OBSERWACJE

ŚRÓDMIEŚCIE – WROCŁAWSKA PERŁA W KORONIE
Najlepsza dzielnica w Europie

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

eprasa.pl 102024b1cf

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Weronika Murek, pisarka
Czy eksperyment z pokoleniem JP2 mógł się udać

Kazimierz Zarzycki
Byłem sekretarzem Edwarda Gierka

Zagadki krzywego lasu pod Gryfinem

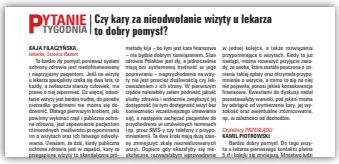
PYTANIE TYGODNIA | Czy kary za nieodwołanie wizyty u lekarza to dobry pomysł?

KAJA FLACZYŃSKA, Jastarnia, Lewacy Równo

To bardzo dry pomysł, ponieważ system ochrony zdrowia jest niedofinansowany i pacjentów jest zbyt dużo. Dlatego w lekarzu specjalisty czeka się dwa lata, ta każdy, a zwłaszcza starszy człowiek, ma prawo o nią zapomnieć. Co więcej, odwołanie wizyty jest bardzo trudne, do poradni rzaraźlie godzinami na można się dodzwonić. Dlatego pierwszym krokiem, jaki powinny wydarzeć rząd i publiczna ochrona zdrowia, jest zapewnienie pacjentom możliwości łatwego odwołania wizyty lekarza oraz ich łatwego odwołania. Uważam, że dziś, kiedy publiczna ochrona zdrowia jest ze zapaści, kary za przegapiona wizytę to skandaliczny pomysł.

Cytadelę PRZEGLĄDU
KAROL PIOTROWSKI

Bardzo dobry pomysł. Do tego wizyta u lekarza pierwszego kontaktu płatna 5 zł i kolejki są zmniejszą. Młodzieńcy kolejki w jednej kolejce, a także rozwiązania przypomniające o wizytach. Kiedy to już nastąpi, można rozważyć przyjęcie zasady, że osoba, która została poszczona o telefon, ma prawo do odwołania wizyty bez ponienia o wizycie, a mimo to się na nią nie pojawiła, ponosi jakieś konsekwencje finansowe. Kwestiami do dyskusji nadal pozostawałyby warunki, pod jakimi można by odbiegać od wymienionej kary, jej wysokość oraz ewentualne zróżnicowanie, np. w zależności od dochodów.

Cytadelę PRZEGLĄDU
KAROL PIOTROWSKI

Bardzo dobry pomysł. Do tego wizyta u lekarza pierwszego kontaktu płatna 5 zł i kolejki są zmniejszą. Młodzieńcy kolejki

Czekając na pacjenta

Wykonuję badania endoskopowe przewodu pokarmowego. Pacjenci są umawiani na określone godziny, co 45 minut, aby sprzęt był odpowiednio wysterylizowany, a chorzy się nie stresowali oczekiwaniem. Z zaplanowanych na dany dzień 10 pacjentów dwóch nie przychodzi. Bez żadnego powiadomienia. Siedzę więc półtorej godziny nad kolejną kawą i czekam na pacjentów, którzy przychodzą na wyznaczone godziny. W tej sytuacji pracownia wykorzystuje 80% możliwości, a terminy dla zgłaszających się nowych chorych są wielotygodniowe. Chyba tylko pobierana przy rejestracji kaucja rzędu 100-200 zł mogłaby coś w tej sprawie poprawić. Bo kar i tak nie zdołamy wyegzekwować.

Lekarz doświadczony życiowo

Pokolenia pamiętają

16 lutego 2020 r. do Pieniężna, na miejsce po zniszczonym pomniku dowódcy 3. Frontu Białoruskiego gen. Iwana Czerniachowskiego przybyła delegacja ambasady rosyjskiej oraz przedstawiciele kilku organizacji kombatanckich z Warszawy. Generał zginął w czasie rekonesansu pod Pieniężnem 18 lutego 1945 r. W miejscu, gdzie stał jego pomnik, ambasador Rosji w Polsce, kombatanci i przewodniczący Zarządu Wojewódzkiego Stowarzyszenia Pokolenia w Olsztynie Jerzy Jabłoński złożyli wieńce i wiązanki kwiatów. Podobna uroczystość odbyła się na cmentarzu w Pieniężnie, gdzie spoczywają żołnierze armii radzieckiej, i w Kieźlinach nad Wadągiem pod pomnikiem szer. Piotra Dierniowa – bohaterskiego żołnierza, który własnym ciałem zasłonił otwór niemieckiego polowego bunkra i umożliwił kolegom zdobycie bronionej nieprzyjacielskiej pozycji. Na Warmii i Mazurach jest wiele bezimiennych grobów bohaterów poległych w walkach o wyzwolenie tych terenów. W Braniewie pochowano ok. 30 tys. żołnierzy radzieckich, w Olsztynie – 6,5 tys., w Giżycku – 1,7 tys. Za wyzwolenie ziem polskich spod niemieckiej okupacji oddało życie 600 tys. żołnierzy radzieckich.

J.J.

Co w polskich warunkach oznacza godna płaca?

PYTANIE TYGODNIA | Co w polskich warunkach oznacza godna płaca?

DR HAB. RYSZARD SZARFENBERG, Instytut Polityki Społecznej UW

Rozważmy rodzinę typu 2 + 3, która aby się utrzymać na poziomie minimum socjalnego, w III kw. ub.r. powinna mieć do dyspozycji co najmniej 4812,29 zł miesięcznie. Jeśli tylko jedno z rodziców będzie zarabiać płacę minimalną, to razem ze świadczeniem wychowawczym i zasiłkami rodzinnymi cała rodzina z dochodem 3611,78 zł znajdzie się w sferze niedostatku. Oznacza to, że nie zawsze płaca minimalna to płaca godna, pozwalająca nawet na dostatecznie na dzisiaj rozumiane życie. Dlatego powinniśmy ustalić minimalną płacę godną jako taką, która nawet na świadczeniami na dzieci lub osoby zależne dają rodzinie dochód na poziom funkcjonowania. W dodatku koszty życia różnią się w zależności od miejsca zamieszkania. Można za to rozłożyć na barki zwiększyć poczucie godności polskich pracowników: sprawić, aby za taką samą pracę przysługiwała taka sama płaca (na zasadzie jest zapisana w konstytucji), poprzez dążenie do jawności wynagrodzeń – nie tylko w ogłaszaniach o pracę.

Cytadelę PRZEGLĄDU
MAJA LUBIEJEWSKA-CHUCHA

Minimalna płaca powinna wynosić 4 tys. zł, a godna odpowiednio więcej.

DAMIAN MAZUREK

Na tyle, żeby wystarczyło na raty kredytu, czynsz, media, opłaty stałe, dobrej

Godna płaca oznacza dla mnie to, że wspólnie z mężem zarabiamy – każde w jednej pracy – tyle, że wystarcza na utrzymanie czteroosobowej rodziny, na wyjazd raz-dwa razy w roku i ewentualne odłożenie na przyszłość. Niestety, często na taki standard potrzebne są pieniądze zarabiane w kilku miejscach pracy. I jest to dla mnie duży problem.

Aleksandra Komorowska

ZDJĘCIE TYGODNIA

Prezydent Duda z ludem. Kampania prezydencka Andrzeja Dudy ruszyła pełną parą. Spotkanie z mieszkańcami Łowicza 20 lutego.

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER (2)

eprasa.pl 102024b1cf

Grażyna Juszczyk, emerytowana nauczycielka matematyki w Krapkowicach (woj. opolskie), która w 2013 r. zdjęła krzyż ze ściany w pokoju nauczycielskim, jest do dziś ścigana przez ministra Ziobrę. Wygrała w sądzie proces o dyskryminację, została przeproszona i dostała małe odszkodowanie. Ale Ziobro jest uparty. Prokuratura złożyła wniosek o kasację. A jak przegrała, to Ziobro sięgnął po skargę nadzwyczajną. Cały potężny aparat państwa PiS przeciwko emerytce. Wielki szacunek dla tej dzielnej nauczycielki.

Denis Urubko, zdaniem wielu ekspertów najlepszy himalaista na świecie, mający od 2015 r. polskie obywatelstwo, **ogłosił zakończenie kariery. Zdobył koronę Himalajów i Karakorum,** miał pionierskie zimowe wejścia na ośmiotysięczniki.

Wiesław Muszyński (Nowa Lewica), burmistrz Włodawy na Lubelszczyźnie, **zaproponował umowę partnerską francuskiemu miastu Saint-Jean-de-Braye,** które zerwało **współpracę z Tuchowem** (Małopolska), gdy uchwalono tam **„strefę wolną od LGBT".**

Jan Englert otrzymał **nagrodę specjalną polskiej sekcji AICT za całokształt dorobku w Teatrze TV, a Andrzej Strzelecki nagrodę za spektakl „Paradiso".**

Rośnie liczba przetwórni żywności ekologicznej. Z 312 w 2012 r. do 992 w 2019 r.

1,3 mln Polaków ma długi wobec ZUS. Łączna kwota to 32 mld zł.

Jolanta Turczynowicz-Kieryłło ledwo została szefową sztabu prezydenta Dudy, a już zabrała się za ograniczenie wolności wypowiedzi. Po przegranych w Pile wyborach do Senatu wzięła się za politykę. A media wzięły się za klientów jej kancelarii prawnej.

Rafał Dobrowolski, pracownik Urzędu Marszałkowskiego w Lublinie, absolwent KUL, tak produkował się w internecie: „lewackie degeneraty, podludzie, lewackie bydło, do kanału albo na wysypisko śmieci". W chamstwie pobił nawet Lichocką.

Średni wiek auta sprowadzanego w ramach prywatnego importu sięga prawie 12 lat. W 2019 r. ściągnięto do Polski ponad 1 mln takich samochodów, 45% ma silniki Diesla.

4,4% wynosiła inflacja w styczniu br. (dane GUS) i jest najwyższa od ośmiu lat.

Z 80 zarejestrowanych partii tylko 60 prowadzi jakąś działalność. Łącznie do partii należy 241 tys. członków. Tylko osiem partii ma przychody powyżej 1 mln zł.

PRZEBŁYSKI

Będzie siedział, bo kraj w ruinie

Można po chamsku, jak posłanka Lichocka, pisowska dama z palcem. Ale można też finezyjniej, zaprzęgając do główkowania językoznawców. Wtedy mamy wybór. Czy powtarzające się w różnych miejscach pod adresem prezydenta Dudy okrzyki: „Będziesz siedział" to obraza majestatu głowy państwa? Czy może zwykła informacja na temat nieodległych losów pana Dudy?
Albo sięgając do hasła wyborczego PiS w 2015 r. „Kraj w ruinie". Czy była to diagnoza ówczesnego stanu państwa? A może obietnica, którą PiS udało się już zrealizować? Kolejne skojarzenia językowe mile widziane.

Prezes Chludziński sypie kasą

O tym, że spółki skarbu państwa szastają kasą, by podlizać się „dojnej zmianie", wie już każdy. Wiemy też, że pomysłowość prezesów nie ma granic. Taki Marcin Chludziński, prezes Zarządu KGHM Polska Miedź, jest szczególnie wyrywny. Strzela raz, a płaci dwa razy. Raz płaci, gdy KGHM zostaje Mecenasem Złotym (?) Biegu Pamięci Żołnierzy Wyklętych Tropem Wilczym, a drugi, gdy ogłoszenie o tym, jak czci „Ognia", „Burego" czy „Łupaszkę", lokuje w „Gazecie Polskiej". Nie za darmo bynajmniej. A przecież zamiast wydawać naszą kasę, mógłby Chludziński sypnąć ze swojej. Zarabia wszak miliony. Skoro tak kocha „wyklętych", niech płaci.

Duda był, ale nie był

Jeździ pan prezydent. Jeździ. Nie tylko do licznych pałacyków prezydenckich. Był w każdym powiecie. A że w każdym powiecie mamy czytelników, to w ich imieniu pytamy. W ilu szpitalach był Andrzej Duda? Ile oddziałów onkologicznych odwiedził? Czy uratował jakąś szkołę przed zamknięciem? A może pił herbatę z rodzinami, które wychowują niepełnosprawne dzieci?
Pytań jest wiele. Jeszcze zdążymy je zadać.

Jagiełły bank piłkarzyków

Po wydaniu kasy na pączki w tłusty czwartek przyszedł nam do głowy taki zakładzik. Czy czytelnicy mający konto w PKO Banku Polskim wiedzą, że swoimi grosikami wspierają pewną ściemę? Nazywa się ona PKO Bank Polski Ekstraklasa. Brzmi dumnie. Jak jakiś Real Madryt. A chodzi o to, że państwowy bank, nie pytając klientów, wydaje ich kasę na jedną z najsłabszych lig piłkarskich w Europie. Ojcem tego dealu jest prezes banku Zbigniew Jagiełło. Kolega premiera. Tego, który rzucał koktajlami Mołotowa w pojazdy ZOMO. A Jagiełło? Bajdurzy o budowaniu przez jego bankowców „świadomości finansowej zawodników". Widać, że o piłce to on niewiele wie. Nie słyszał nawet kultowego „Kasa, misiu, kasa".

FOT. YOUTUBE

eprasa.pl 102024b1cf

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

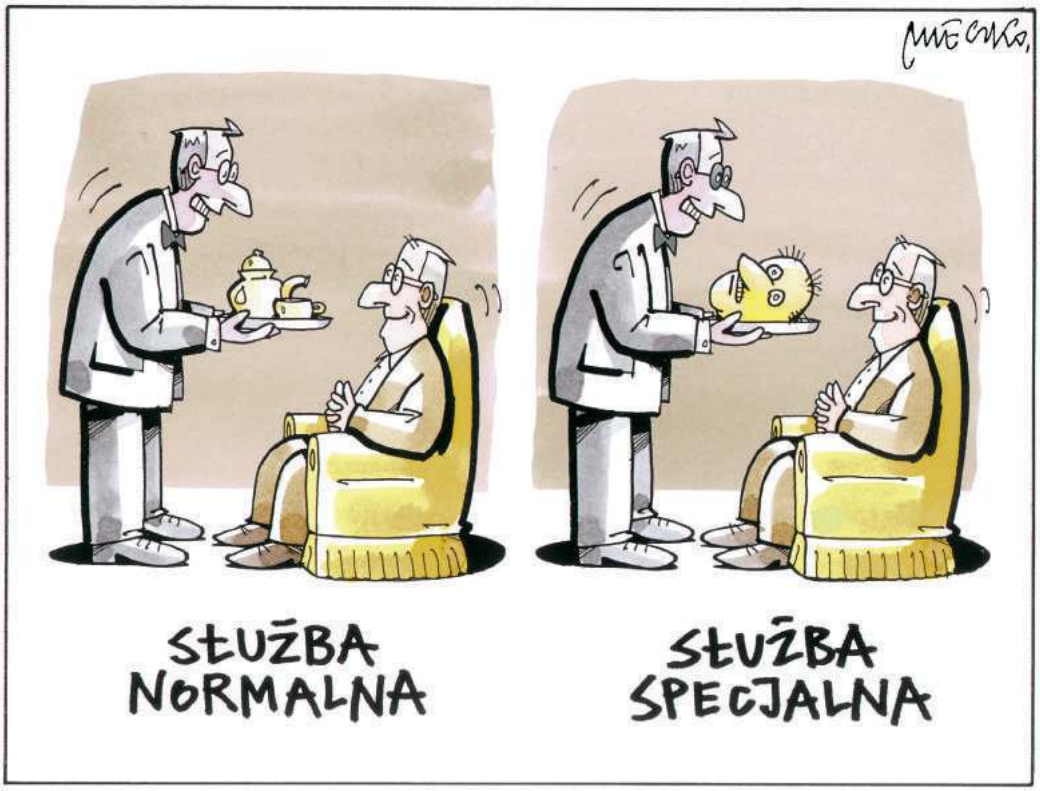

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego Duda jest dla Kaczyńskiego prezydentem marzeń?

DR HAB. EWA MARIA MARCINIAK,
Instytut Nauk Politycznych UW

Po pierwsze, Andrzej Duda nie ma własnego zaplecza i jest zależny od struktur PiS, czyli właściwie od Jarosława Kaczyńskiego. Po drugie, urzędujący prezydent jest politykiem konserwatywnym, a wspomniana partia określa się jako konserwatywna. Po trzecie, jest posłuszny i lojalny wobec lidera rządzącej większości. To nie tylko kwestia typu osobowości, ale także psychologicznego mechanizmu odwzajemniania. Jarosław Kaczyński jest jego politycznym promotorem, gdyby nie on, Andrzej Duda nie zostałby prezydentem. Dlatego podczas ewentualnej drugiej kadencji nadal będzie respektował reguły gry, które wyznaczył prezes PiS.

WIESŁAW GAŁĄZKA
dziennikarz, Dolnośląska Szkoła Wyższa

Myślę, że dla pana Kaczyńskiego obecny prezydent jest wymarzonym urzędnikiem ze względu na to, że jest wiernym wykonawcą wszelkich jego poleceń. Dzieje się tak m.in. z tej przyczyny, że Andrzej Duda jest bezrefleksyjny. Nie potrafi dostrzec konsekwencji wszystkiego, do czego się przyczynia, a ponadto zapomina, że kiedyś będzie musiał wrócić do normalnego życia, a tam nie będą na niego czekać powszechny szacunek ani zaproszenia z całego świata. Ponadto chyba wydaje mu się, że łamanie przez niego prawa pozostanie bezkarne. Podobnie jak reszta rządzącej ekipy – polityków biernych, miernych, ale wiernych – najwyraźniej nigdy nie zastanowił się nad tym, że jego działania obrażają inteligencję ludzi myślących.

MICHAŁ SYSKA,
Ośrodek Myśli Społecznej im. F. Lassalle'a

Prawicowi populiści na całym świecie uważają, że decyzje polityczne podejmowane są przez elity czy instytucje pozbawione demokratycznej legitymizacji. Gdy więc wygrywają wybory, dążą do podporządkowania wszystkich ośrodków decyzyjnych władzy wykonawczej. W polskich uwarunkowaniach ustrojowych do uzyskania nia takiej koncentracji władzy potrzebny jest prezydent. Kiedy urząd ten pełni notariusz partyjnych decyzji pozbawiony ambicji podmiotowego uprawiania polityki, jest to na rękę rządzącej większości i jej liderowi.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

ZBIGNIEW DEREJSKI

Bezwolny, bezmyślny, bez ambicji, wyciągnięty z trzeciego szeregu przed front, zawdzięczający wszystko jemu. Czego chcieć więcej?

ADAM JAŚKOW

Kaczyński jest zdolnym animatorem, a Duda jest zbudowany z materiału o bardzo wysokiej plastyczności.

BARBARA KRZEMIŃSKA-SOBCZYK

Znalazł kabotyna, który nie tylko nie ma własnego zdania, ale swoim posłuszeństwem jest zachwycony. Chyba nawet Kaczyński jest zaskoczony, jak dalece jego marzenie się spełniło.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 102024b1cf

Andrzej Duda – chyba się nie uda

Kampania Dudy ledwo ruszyła, a już buksuje

Robert Walenciak

Sorry, taki mamy klimat. Spin doktorzy Andrzeja Dudy (czyli PiS) wymyślili sobie pewnie, że rozpoczną kampanię prezydencką z wielkim przytupem, konwencją wyborczą, która na wiele dni przykuje uwagę mediów, a swoim rozmachem wprowadzi popłoch w szeregach opozycji. Nic z tych rzeczy. Konwencja spłynęła po oglądających jak woda po kaczce. Klimat pierwszych dni kampanii wyznaczają inne wydarzenia.

Oto one. Inflacja i podwyżki cen. *Fuck* posłanki Lichockiej. Awantura o onkologię. 2 mld zł dla TVP. Aresztowanie agenta Tomka, człowieka roku „Gazety Polskiej" 2009. Rewizje w mieszkaniach prezesa NIK Mariana Banasia. Wejście agentów CBA do NIK. Wejście inspektorów NIK do Prokuratury Krajowej. Zmiana na stanowisku szefa CBA. To są wiadomości z czwartku. Być może w weekend coś przybyło.

Andrzej Duda rozpoczął kampanię pod hasłem kontynuacji, obietnicą, że przez kolejne pięć lat ma być tak, jak było. W świetle powyższych wydarzeń – nie jest to chyba dobre przesłanie.

Konwencja

O konwencji wyborczej Andrzeja Dudy, która odbyła się w hali Expo XXI w Warszawie, już się nie mówi, już została zapomniana, wydane na nią pieniądze (podobno 1 mln zł) poszły w błoto, ale warto o niej wspomnieć z paru względów.

Przede wszystkim dlatego, że pokazała ona obóz Andrzeja Dudy przed wyborczym startem. Pokazała samego Dudę. Poza tym mogliśmy się dowiedzieć, co po pięciu latach prezydentury ma on Polakom do zaproponowania.

Zacznijmy od obozu. Chyba nikogo nie zmyliły tłumy, które zwieziono na konwencję, wiwatujące, machające tabliczkami „Duda 2020", przebrane w czerwone koszulki. Partię władzy stać na zwózkę działaczy i klakierów. Ma ich mnóstwo. A jeżeli zwiozło ich PiS, to mamy dowód, że obóz Andrzeja Dudy nie istnieje. Że prezydent nie ma swojej ekipy, nie prowadzi własnej polityki, jest sam jak palec, a ci, którzy go otaczają, to PiS. Jarosław Kaczyński i jego ludzie. On zaś jest wykonawcą ich poleceń.

Przypomnijmy sobie kampanie innych prezydentów. Wałęsa? To on był liderem, wodzem, żadnej partii nie potrzebował, to przy nim różne partie się ogrzewały. Kwaśniewski? SLD był jednym z wielu podmiotów, które go popierały. Owszem, najmocniejszym, ale otaczali go ludzie z różnych środowisk. Lech Kaczyński? W mniejszym stopniu, ale próbował iść drogą poprzedników. Jego honorowy komitet poparcia tworzyły 93 osoby, z różnych środowisk. Często niewiele miały one z PiS wspólnego, a dziś już na pewno nic ich z tą partią nie łączy. Podobnie było pięć lat później z Bronisławem Komorowskim – on także zebrał wokół siebie ludzi dalekich od partyjnych etykietek.

Andrzej Duda na tym tle jest absolutnie kimś innym. Człowiekiem o zerowej samodzielności, sprowadzonym do roli prostego urzędnika PiS. A konwencja, jej scenariusz, tylko to podkreślała. Bo kto na niej przemawiał? Jarosław Kaczyński i dwójka pisowskich premierów – Mateusz Morawiecki i Beata Szydło. Co mówili? Że się nie zawiedli. Że Duda jest najlepszym wyborem. Dla PiS.

A kto tego słuchał? Działacze przywiezieni autokarami z całej Polski. Jednego z nich kamery pozwoliły niemal do razu zidentyfikować. Był to Bartosz Sokołowski, szef Młodzieży Wszechpolskiej z Białegostoku, który wyróżnił się tym, że w marcu 2018 r. przed białostockim Teatrem Dramatycznym spalił kukłę Ryszarda Petru.

„Czy ramię w ramię z PAD nie idzie ta sama osoba, która jeszcze niedawno paliła kukłę jednego z polityków? – pytali jeszcze w czasie konwencji posłowie Koalicji Obywatelskiej. – Czy tak będzie wyglądać otoczenie Andrzeja Dudy?".

Taktyka i strategia

Widać więc już, że PiS na te kilkadziesiąt dni, które nas dzielą od 10 maja, ma wyznaczoną prostą taktykę. Nie szuka wyborców z centrum, wahających się – przeciwnie, idzie przebojem, chce się oprzeć na sympatykach PiS. Wierzy, że najlepsze efekty przyniesie mobilizacja. Wybory mają więc być swoistym referendum: jesteś za PiS czy przeciw. I w PiS panuje wiara, że to się uda.

> Prezydent nie ma swojej ekipy, nie prowadzi własnej polityki, jest sam jak palec, ci, którzy go otaczają, to PiS. A on jest wykonawcą ich poleceń.

Skąd ona się bierze? To także wybrzmiało podczas konwencji. Otóż Andrzej Duda nie silił się w przemówieniu na jakieś nowe obietnice, o pieniądzach dla kolejnych grup społecznych nawet nie wspomniał. Jego prezentacja opierała się na dwóch filarach. Pierwszym – że jest gwarantem kontynuacji polityki PiS. Czyli 500+ i innych transferów socjalnych. A bez PiS i bez Andrzeja Dudy jako prezydenta to wszystko będzie zagrożone. Konwencja więc straszyła – że przyjdą inni i zabiorą.

Drugi filar odwoływał się do podobnych emocji. Że Andrzej Duda jest prezydentem z ludu i dla ludu. Ta figura retoryczna jest kluczowa w strategii PiS. Ze względów zarówno strategicznych, jak i taktycznych.

Strategia jest oczywista. Kaczyński podzielił Polskę na lud i na elity – lub

eprasa.pl 102024b1cf

Gdyby stosować zalecenia szefowej kampanii Andrzeja Dudy, Jolanty Turczynowicz-Kieryłło (nz. w środku), do dziś nie wiedzielibyśmy o „aniołkach" Adama Glapińskiego i ich zarobkach.

inaczej, na oszukany lud i zepsute, sprzedajne elity. I ogłosił, że to jego partia lud reprezentuje. Odegranie się na tych, którym się udało, zinstytucjonalizowana zawiść to jedno z najmocniejszych spoiw wyborców PiS. Ale żeby to było skuteczne, trzeba wciąż podkreślać więź z ludem i wskazywać wrogów. Tak też się dzieje. Wrogami PiS są (byli) sędziowie, czyli „nadzwyczajna kasta", lekarze, nauczyciele, funkcjonariusze Polski Ludowej; atakując ich, PiS zyskiwało poparcie, ładowało polityczne akumulatory.

A taktyka? Główną kontrkandydatką Dudy jest Małgorzata Kidawa-Błońska, prawnuczka wielkich postaci II RP, premiera Władysława Grabskiego i prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. To wiele zmienia. PiS przez lata budowało swój obraz jako partii, jak mówił Marek Suski, genetycznych patriotów. Polska AK kontra Polska AL! – wołali pisowscy działacze. U przeciwników politycznych doszukiwali się dziadka z Wehrmachtu lub taty z UB. Sam Kaczyński lubił opowiadać o szlacheckich korzeniach swojej rodziny i jej zasługach (często zmyślonych). Przeciwstawiając się w ten sposób „chłopcom z podwórka". Małgorzata Kidawa-Błońska tę taktykę rozbija, więc PiS musiało ją zmienić.

Jak zatem jest przedstawiany Andrzej Duda? Jako syn profesorów, ale nie profesorów lekkoduchów, tylko „poważnych", z Akademii Górniczo-Hutniczej. I to takich, którzy wywodzą się z ludu. Którzy (w czasach Polski Ludowej, co się przemilcza) zdobyli wykształcenie, są przykładem awansu społecznego. Pokazuje się Dudę jako polityka z ludem związanego, temu zresztą służą też jego wyjazdy w teren, wizyty w kolejnych powiatach. Pytanie tylko, czy to się okaże skuteczne.

Obrońca układów

Rzecz bowiem w tym, że o ile łatwo wołać, że Duda jest z ludu, o tyle trudniej pokazać, że lud będzie miał z jego prezydentury korzyści. Ten stan zresztą, raczej wbrew intencjom organizatorów, dobrze oddała konwencja.

Porównajmy ją z tą sprzed pięciu lat, gdy Andrzej Duda rzucał rękawicę Bronisławowi Komorowskiemu. Przez te pięć lat Duda przytył, wyłysiał, stracił tamtą świeżość. Nikt już nie wierzy, że może być samodzielny, nikt nie wierzy w jego umiejętności i zdolności. Ludzie mają w pamięci jego głupie miny i kompromitujące wpadki. Jak choćby ta niedawna, z konferencji w Davos, gdzie uczestniczył w panelu, w języku angielskim, i okazało się, że po angielsku duka trzy słowa na krzyż. Można się spocić, oglądając filmik z tej męczarni.

Pięć lat temu konwencja Dudy była potężnym uderzeniem. Pokazała, że po stronie anonimowego wówczas działacza PiS jest moc, jest entuzjazm. Że to może się udać. Obecna konwencja została zorganizowana z jeszcze większym rozmachem, ale była sztuką dla sztuki. Andrzej Duda nie miał nic do powiedzenia, lał się lukier i tyle.

Bo któż był wśród gości? Pisowski establishment, ludzie, którzy swój obecny dobrobyt zawdzięczają temu, że rządzą. Politycy, prezesi zarządów spółek skarbu państwa, członkowie rad nadzorczych. Co miesiąc wpadają im do kieszeni dziesiątki tysięcy złotych. A niektórym i setki. Chcieliby więc, żeby tak było nadal. Ale to za mało, żeby wybrzmiała moc.

Zresztą w tym samym czasie, gdy odbywała się konwencja, media podawały zarobki jednego z członków ekipy PiS. Jak poinformował „Fakt", Maks Kraczkowski, były poseł PiS i szef pisowskiej młodzieżówki, zarobił w roku 2019 jako wiceprezes zarządu PKO BP 2,6 mln zł. Czyli ponad 7 tys. zł dziennie, wliczając w to soboty, niedziele i święta. Dla Kraczkowskiego upadek PiS oznaczałby najpewniej zwolnienie i utratę gigantycznych zarobków. A przecież nie on jeden wszystko zawdzięcza matce partii.

PiS stąpa więc po krawędzi. Owszem, dziś wciąż żywi się opowieścią, że jest przyjacielem ludu, ale za chwilę tę opowieść może zastąpić inna – że lud jest przez PiS dość dokładnie ograbiany.

Na konwencji Dudy straszono, że przyjdą inni i zabiorą.

Może dlatego Jarosław Kaczyński, bo to on przecież o wszystkim w PiS decyduje, wybrał strategię walki? W czasie wojny nie zadaje się zbędnych pytań, jest wróg, którego trzeba pokonać.

Sztab

Na wybór tej taktyki wskazuje skład sztabu wyborczego

FOT. ARKADIUSZ ŁAWRYWIANIEC/FORUM

eprasa.pl 102024b1cf

Andrzeja Dudy. Szefową kampanii została Jolanta Turczynowicz-Kieryłło, Beata Szydło jest szefową sztabu programowego, Joachim Brudziński – szefem sztabu organizacyjnego, a Adam Bielan – rzecznikiem sztabu.

Poza Jolantą Turczynowicz-Kieryłło tworzą go więc zaprawieni w bojach pisowscy politycy. Co jeszcze mocniej podkreśla słabą pozycję Dudy. A kim jest Turczynowicz-Kieryłło? To była radna AWS, kandydatka PiS na senatora w okręgu pilskim (przegrała z Adamem Szejnfeldem z PO), mecenas reprezentująca NBP w sporze z „Gazetą Wyborczą". Już pierwszego dnia wywołała skandal, mówiąc w telewizji, że „dowolność korzystania z wolności słowa może prowadzić do zagrożeń, nawet do zagrożeń interesów, które są ważne z perspektywy państwa".

W ten sposób już na starcie zapisała się do obozu autokratów i dyktatorów, którzy – szermując hasłami interesu państwa, bezpieczeństwa państwa, moralności publicznej – kneblowali wolne media. Bo to oni, lub ich urzędnicy, przyznawali sobie prawo decydowania, jakie słowa, jakie informacje powodują zagrożenie „interesów ważnych z perspektywy państwa", a jakie nie. Co w praktyce oznaczało monopol na państwową propagandę.

Można zatem śmiało zakładać, że gdyby zalecenia pani Turczynowicz-Kieryłło stosować w praktyce, do dziś nie wiedzielibyśmy nic o kamienicy Mariana Banasia, o wieżach Jarosława Kaczyńskiego czy o „aniołkach" Adama Glapińskiego i ich zarobkach.

Aż nasuwa się pytanie, dlaczego powiedziała to, co powiedziała. Nie zdawała sobie sprawy z szumu, który wywoła? Tak chyba właśnie było. Jej wypowiedź wygląda jak echo wewnętrznych rozmów w PiS, odbicie pisowskich przekonań. Że wszystko ma funkcjonować zgodnie z interesem państwa, czyli z interesem partii. A to, co funkcjonuje inaczej, musi być albo opanowane, albo usunięte.

Tąpnięciem na pewno są też badania CBOS, które ukazały się po konwencji. Bo pokazują one, że Duda słabnie. Oto zresztą ten komunikat: „W lutym rejestrujemy kolejne, po styczniowym, pogorszenie notowań głowy państwa. Obecnie pozytywnie o prezydenturze Andrzeja Dudy wypowiada się 57% badanych (od stycznia spadek o 3 pkt proc.), a 36% (wzrost o 5 pkt proc.) ocenia ją źle".

Falstart

Andrzej Duda więc wystartował, ale daleko nie ujechał. Ta kampania buksuje. Na razie jedyną sprawną siłą w obozie PiS jest telewizja publiczna, która bez zahamowań zwalcza opozycję i promuje ludzi władzy. Pytanie, czy to wystarczy.

Dla osób nawet pobieżnie interesujących się polityką oczywiste jest znaczenie majowych wyborów. Gdyby wygrał przedstawiciel opozycji, gdyby PiS straciło prezydenturę, straciłoby wtedy trzy czwarte swojej siły. Weta prezydenckie zatrzymywałyby najbardziej kontrowersyjne ustawy, inna sytuacja byłaby w sądach, w wojsku, w dyplomacji, także w mediach.

Jedyną sprawną siłą w obozie PiS jest telewizja publiczna, która bez zahamowań zwalcza opozycję i promuje ludzi władzy.

PiS pozostałyby dwie drogi – albo twarda walka z takim prezydentem, bez szans na wygraną, albo polityczne wegetowanie, a potem gnicie. Obie zresztą prowadziłyby pewnie do przyśpieszonych wyborów.

Zarówno w PiS, jak i w opozycji te scenariusze są dobrze znane. I każdy wie, o co toczy się gra. Co więcej – każdy wie, że może być różnie. Przypominają o tym nie tylko wyniki wyborów prezydenckich sprzed pięciu lat, ale i poprzedzające je sondaże CBOS. Wystarczy po nie sięgnąć.

Sondaż 22-27.02.2015 r.
I tura: Bronisław Komorowski – 63%,
Andrzej Duda – 15%
Sondaż 11-18.03.2015 r.
I tura: Bronisław Komorowski – 48%,
Andrzej Duda – 20%
Sondaż 16-22.04.2015 r.
I tura: Bronisław Komorowski – 43%,
Andrzej Duda – 26%
Wybory I tura 10.05.2015 r.
Bronisław Komorowski – 33,77%
Andrzej Duda – 34,76%
Wybory II tura 24.05.2015 r.
Bronisław Komorowski – 48,45%
Andrzej Duda – 51,55%

Widać więc, jak szybko w kampanii prezydenckiej można wyborców zyskać i jak szybko stracić.

Sztabowcy wiedzą również, jak trudna będzie to kampania. Zwłaszcza dla Dudy, który nie jest przyzwyczajony do ataków – jak widać, bardzo źle znosi manifestacje przeciwników i nie potrafi polemizować. A to on będzie w najbliższych tygodniach najmocniej atakowany. Przez wszystkich. A co najgorsze dla niego – jest za co.

Robert Walenciak

Tygodnik „Przegląd"
zaprasza na spotkanie
z Robertem Walenciakiem
i Małgorzatą Goetz
poświęcone książce

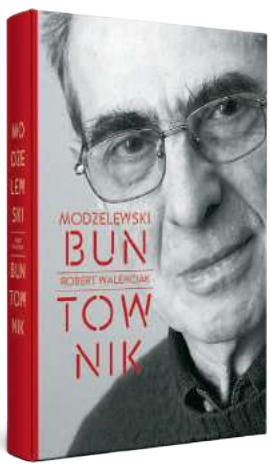

3 marca 2020 r. (wtorek)
godz. 18:00

Kawiarnia-Księgarnia
Radio Telewizja
Warszawa, ul. Andersa 2

WSTĘP WOLNY

eprasa.pl 102024b1cf

Bez uprzedzeń

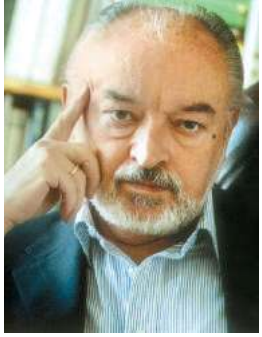

Bronisław Łagowski

Przemoc symboliczna

Czytając książkę Radosława Sikorskiego „Polska może być lepsza", szukałem w niej różnic między Prawem i Sprawiedliwością a Platformą Obywatelską i jestem rozczarowany, bo godnych uwagi różnic nie znalazłem. Politolodzy zapewne różnice widzą, ale czym się kierują zwykli wyborcy, głosując za jedną lub drugą partią, tego nie wiem. Dla każdego państwa kwestią najważniejszą jest sprawa wojny i pokoju i opowiadając się za jedną lub drugą partią, obywatel powinien wiedzieć, która partia jest za wojną, a która za pokojem. Tymczasem w polskich wyborach temat ten nie występuje, mimo że propaganda wojenna jest bardzo intensywna i wyraźnie ukierunkowana.

Jeśli różnica między partiami solidarnościowymi jest trudno uchwytna, to nie można tego powiedzieć o wszystkich członkach i politykach tych partii. Przechodzą oni dość gładko z jednej partii do drugiej i czasami te przejścia są w pewien sposób uzasadnione. W pewien sposób, ale niekoniecznie polityczny. Trudno sobie wyobrazić, jak Radosław Sikorski mógłby dłużej współpracować z Antonim Macierewiczem. Jakie są powody tej niemożliwości – polityczne czy inne?

Główna instytucja przemocy symbolicznej, IPN, została wprowadzona wspólnie i zgodnie przez obie partie postsolidarnościowe.

Kraje europejskie mają podobne, bardzo sobie bliskie ustroje polityczne i społeczne, a jakość życia publicznego jest w nich bardzo różna. Czynnik, który się liczy i jest niedoceniony, to grzeczność, w wymiarze publicznym i indywidualnym także. Czy Sikorski, człowiek trzymający fason, mógłby wytrzymać z Macierewiczem?

Powiadam, że różnica między PiS a Platformą jest za mała, żeby nie będąc pretendentem do łatwego, politycznego chleba, fatygować się do urny wyborczej. Wnoszę zastrzeżenie. Najbliższe wybory prezydenckie mają o tyle znaczenie, o ile grzeczność w polityce ma znaczenie pozytywne – a ma – a gburowatość i prostactwo ze stosunków międzyparlamentarnych rozciągają się na stosunki międzypaństwowe – a widzimy, że się rozciągają.

Małgorzata Kidawa-Błońska niczego nie zmieni w stosunkach Polski z innymi państwami. Będziemy nadal zasilać amerykański przemysł zbrojeniowy, z całych sił będziemy się zaprzyjaźniać z rządem ukraińskim, IPN będzie nadal wyrocznią w sprawie przeszłości; wątpię, czy Kidawa-Błońska zechce działać na rzecz coraz bardziej ograniczanej wolności gospodarczej. Jedno wydaje mi się pewne, że mianowicie pozostanie nadal osobą dobrze wychowaną, grzeczną tak w słowach, jak w postępowaniu i że dzięki temu zmieni się ton na szczycie władzy. Dlatego będę głosował na Małgorzatę Kidawę-Błońską.

•

W Polsce istnieją wszystkie wolności w stopniu, w jakim są tu osiągalne. Istnieje wolność słowa, wolność zgromadzeń, wolność lżenia rządzących, a także Bogu ducha winnych proboszczów i biskupów; jeżeli co do tego istnieją wątpliwości, to tylko takie, że ta sielanka może się skończyć. Dalej ciągnąc, trzeba odnotować wolność jeżdżenia po świecie itd. Wybory odbywają się regularnie i nie są fałszowane. Mimo to słyszę nie od jednego człowieka, że czuje się jak pod okupacją. Skąd się bierze to poczucie?

Moim zdaniem wiele zalet polskiej demokracji ulega zniweczeniu wskutek przemocy symbolicznej. Ta przemoc nie jest nowością wprowadzoną przez PiS. To dziwne, jak ludzie szybko zapominają. Główna instytucja przemocy symbolicznej, IPN, została wprowadzona wspólnie i zgodnie przez obie partie postsolidarnościowe. W ustawie o szkolnictwie wyższym minister Gowin lustrację zaliczył do badań naukowych i nikt z Platformy się nie sprzeciwił, podobnie jak cała klasa polityczna poparła „dekomunizację" nazw ulic i wszystkich miejsc symbolicznych. Te różne formy przemocy symbolicznej ludziom gruboskórnym nie szkodzą, ale nie wszyscy są gruboskórni. Inteligencja jako klasa kulturalna zachowała się w rozmiarach niewielkich, ale ta szczątkowa inteligencja cierpi z powodu zacierania śladów przeszłości już nie tylko w miastach, ale nawet w lasach. Ma ona poczucie, że kraj został najechany przez jakieś plemię barbarzyńskie, i nie trzeba dziwić się ludziom, którzy mówią, że czują się jakby pod nową okupacją. Okupacja to broń Boże nie jest, ale panujący obóz sugeruje nam, że jest.

Wybitna aktorka i intelektualistka użyła drastycznej metafory, żeby powiedzieć, jak podle się czuje w tym kraju wielu swobód. Nie przytoczę tej metafory, ale zastąpię ją zbliżonymi słowami Józefa Piłsudskiego z ciągle pamiętanego listu do Feliksa Perla, że nie chce żyć w wychodku. W domyśle: nawet gdyby cieszył się tam wolnością słowa.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 102024b1cf

Uczcijmy pamięć ofiar

Prawica wmawia ludziom, że po wojnie trzeba było iść do lasu, zamiast odbudowywać Polskę

Robert Walenciak

Stefan Korboński, wybitny polityk ruchu ludowego, opisując w książce „W imieniu Kremla", jak Polska powojenna była przejmowana przez PPR i Moskwę, wiele razy wspomina żołnierzy podziemia, dziś nazywanych „wyklętymi". A w zasadzie starania, żeby tych ludzi wyciągnąć z lasu – ogłaszając amnestię, dać im szansę na ułożenie sobie normalnego życia.

Bezmyślne gloryfikowanie „wyklętych" obraża miliony Polaków, którzy do lasu nie poszli, tylko wzięli się do odbudowy kraju.

Korboński doskonale wiedział, że podziemie nie ma żadnych szans. Że III wojny światowej nie będzie i że te – nieliczne przecież – oddziały, operujące przeważnie gdzieś na peryferiach, skazane są na klęskę. Na powolną degrengoladę. Widział więc w nich raczej nieszczęśników, ludzi pogubionych, dostrzegał dramat ich sytuacji.

Korboński, który także ewakuował się z Polski niedługo po wyjeździe Mikołajczyka, patrzył na Polskę lat 1945-1947 bardzo trzeźwo. Miał świadomość, że walka toczy się o to, jaki zakres swobód zostanie wywalczony, i wiedział, że ci w lasach wpływu na to nie mają. To nie oni są głównym przeciwnikiem PPR, lecz PSL. I wszystko się rozstrzyga na wyższych piętrach.

•

Dzisiejsze akcje polskiej prawicy sławiące żołnierzy podziemia z tamtych czasów nijak więc się mają do tamtej rzeczywistości. Instytut Pamięci Narodowej staje na głowie, by wzmacniać ich znaczenie, co roku zwiększa ich liczbę, jakby nie pojmując, że nie zachowuje historii w naszej pamięci, tylko ją fałszuje.

Takim fałszem był niepodpisany „komunikat" IPN o tym, że Romuald Rajs „Bury", którego oddział w 1946 r. pacyfikował białoruskie wsie, jest niewinny.

Te pacyfikacje to czarna karta polskich „wyklętych". A usprawiedliwiający je „komunikat" IPN jest haniebny. Bo oto ludzie „Burego" zamordowali 79 cywilów, kobiety, dzieci. Tymczasem jego obrońcy utrzymują, że on żadnych rozkazów zabijania nie wydawał. Poza tym spalił „tylko" pięć wsi, a mógł więcej – po co się go czepiać?

Przypomnę zatem, że pion śledczy IPN prowadził już śledztwo w sprawie morderstw oddziału „Burego", umorzył je w roku 2005 z powodu śmierci podejrzanych, ale postanowienie o umorzeniu śledztwa jest prawomocne i na pewno nie może go uchylić jakiś anonimowy „komunikat". W tym postanowieniu czytamy: „Należy stanowczo stwierdzić, iż zabójstwa furmanów i pacyfikacji wsi w styczniu i lutym 1946 r. nie można utożsamiać z walką o niepodległy byt państwa, gdyż noszą znamiona ludobójstwa. W żadnym też wypadku nie można tego, co się zdarzyło, usprawiedliwiać walką o niepodległy byt Państwa Polskiego".

A jeśli ktoś nie ufa tym określeniom, to proponuję fragment sprawozdania ze śledztwa IPN:

29 stycznia 1946 r. oddział „Burego", wykorzystujący jako transport zaprzęgi konne zajęte dzień wcześniej

ZAPRASZAMY

W Sejmie o „żołnierzach wyklętych"

Klub Parlamentarny Lewica i tygodnik „Przegląd" organizują w Sejmie konferencję

Bezdroża państwowej polityki historycznej
Polemicznie o „żołnierzach wyklętych"
29 lutego 2020 r. (sobota), sala 118, godz. 10.45-15.00

Zainteresowanych uczestnictwem w konferencji **prosimy o kontakt z redakcją „Przeglądu" do 26 lutego (środa) do godz. 16.00**
(mejlowo: przeglad@tygodnikprzeglad.pl albo telefonicznie: 22 635 84 10 lub 503 158 795).
Należy podać imię i nazwisko oraz PESEL.

Celem konferencji jest pokazanie przemilczanych lub zakłamywanych zbrodni podziemia na cywilach i mniejszościach narodowych.

W konferencji udział wezmą m.in. prof. Romuald Turkowski, prof. Julian Kwiek, prof. Andrzej Rykała, dr hab. Maciej Gdula, dr hab. August Grabski, red. Tomasz Sulima.

Będzie również okrągły stół z udziałem polityków, historyków i publicystów na temat: „Co zrobić z kultem »wyklętych«?".

eprasa.pl 102024b1cf

w Łozicach, przybył do wsi Zaleszany. Według ustaleń IPN „około godziny 14.00-15.00 mieszkańcy wsi zostali powiadomieni przez wyznaczonych członków oddziału o konieczności przybycia »na zebranie« do domu Dymitra Sacharczuka. Po zgromadzeniu w tym domu mieszkańców wywołano na zewnątrz Piotra Demianiuka – 16-letniego syna sołtysa Łukasza Demianiuka oraz mieszkańca sąsiedniej wsi Suchowolce – Aleksandra Zielinko. Na podwórku obaj zostali zastrzeleni. Do domu, gdzie zgromadzono mieszkańców, wszedł »oficer – dowódca«, którym najpewniej był R. Rajs »Bury«. Po oddaniu strzału z pistoletu do góry, co uciszyło zebranych, oznajmił im, że przestaną istnieć, a wieś zostanie spalona.

(…) Po opuszczeniu pomieszczenia przez dowódcę drzwi zostały zamknięte. Następnie podpalono słomianą strzechę. Płonący budynek obstawiła część uzbrojonych członków oddziału. (…) W tym czasie inni członkowie oddziału przystąpili do podpalania pozostałych zabudowań we wsi. Nie wszyscy mieszkańcy udali się na zebranie. Do osób, które pozostały i dopiero wskutek rozprzestrzenienia się ognia usiłowały uciekać z domów, strzelano.

Spaleniu uległa córka Bazyla i Tatiany Leończuków – nieochrzczone, 7-dniowe dziecko, gdyż matka zostawiła je w domu, będąc przekonana, iż niezwłocznie wróci z zebrania. (…) Podczas ucieczki ze swojego płonącego domu został zastrzelony Grzegorz Leończuk wraz z dwójką małych dzieci: Konstantym w wieku 3 lat i 6-miesięcznym Sergiuszem.

Naprawdę nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego wciąż znajdują się ludzie, którzy ten bandytyzm chcą usprawiedliwiać, relatywizować, opowiadać, że to była walka o niepodległość itd. Że „Bury" walczył z komunistami, a nie z Białorusinami (bo, jak wiadomo, „komunistę", choćby miał siedem dni, można zabić bezkarnie), że rozkazu spalenia wsi nie wydawał, że była to samowolka jego ludzi (przyjmijmy, że tak było – dlaczego więc ich nie ukarał?), że cały „rajd" był tylko ostrzeżeniem. Takie tłumaczenia obrażają ofiary i inteligencję nas wszystkich.

Faktycznie czas „wyklętych" zakończyła druga amnestia, ogłoszona po wyborach 1947 r. Zgłosiło się do niej 53 tys. osób. W lasach zostały resztki.

Historia „Burego" i jego oddziału (w zasadzie bandy, bo nie podlegał on rozkazom jakiegokolwiek rządu) jest historią klęski – politycznej, moralnej, militarnej. Szczególnie że późniejsze losy

1

2

3

1. Ciała matki z dziećmi po pacyfikacji dokonanej przez żołnierzy „Burego", Zaleszany, styczeń 1946 r.
2. Pomnik ofiar zbrodni w Zaleszanach.
3. Grób ofiar oddziału „Burego" na cmentarzu wojskowym w Bielsku Podlaskim.

FOT. IPN, AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA GAZETA, JEDRZEJ WOJNAR/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 102024b1cf

Rajsa są mało budujące. Gdy porzucił swój oddział, uciekł do Karpacza, a później, już w śledztwie UB, wydał wszystkich podkomendnych.

Nie rozumiem, jak kogoś takiego można brać na sztandary.

•

Morderstw dokonanych przez „wyklętych" jest więcej. Wartość bojowa tych ludzi była bliska zeru, w starciach z regularnym wojskiem nie mieli żadnych szans. Ich ofiarami byli bezbronni – przeważnie chłopi, tacy, których podejrzewano o dobre relacje z nową władzą albo którzy nie chcieli oddać świni czy krowy, pojedynczy milicjanci, ocaleni z Holokaustu Żydzi… To było bolesne, do dziś po wielu wsiach te morderstwa są „wyklętym" pamiętane. Choć, jakkolwiek by to zabrzmiało, państwem ich działania nie zachwiały.

Faktycznie czas „wyklętych" zakończyła druga amnestia, ogłoszona po wyborach 1947 r. Zgłosiło się do niej 53 tys. osób. W lasach zostały resztki, kilkaset osób. I one stopniowo były wyłapywane przez UB. To było nieuniknione. Zwłaszcza że życie Polski toczyło się już innymi torami. Odbudowa kraju, nie tylko domów czy fabryk, ale i szkół, dróg, wielkie przesiedlenia – to były główne zadania, one organizowały życie narodu. Z każdym miesiącem w coraz większym stopniu.

•

Polska prawica, budując państwowy kult „wyklętych", kreuje więc nieistniejącą rzeczywistość. – To było ostatnie zbrojne polskie powstanie niepodległościowe, powstanie z bronią w ręku – mówił rok temu Mateusz Morawiecki, przekraczając tym samym kolejną granicę powagi. – Chociaż ponieśli najwyższe ofiary, nie zostali zwyciężeni, bo dali świadectwo niezłomności – to inne jego słowa, też nieprawdziwe. Bo, po pierwsze, „wyklęci" zostali zwyciężeni, i to co do jednego, a po drugie – większość z nich, na szczęście, ułożyła sobie życie, albo korzystając z amnestii, albo wyjeżdżając na Ziemie Zachodnie, albo... przechodząc do UB.

Bezmyślne gloryfikowanie „wyklętych", nieodróżnianie tych, których los pchnął do podziemia, od zwykłych bandytów – to wszystko obraża tysiące ofiar, przeważnie niewinnych cywilów, dzieci. Obraża też miliony Polaków, którzy do lasu nie poszli, tylko wzięli się do odbudowy kraju. To co, źle zrobili? Proponuję obejrzeć zdjęcia Polski z tamtych lat, nie tylko Warszawy czy Wrocławia – ktoś ten kraj podniósł z ruin.

Prof. Tadeusz Manteuffel, żołnierz AK, współpracownik Biura Informacji i Propagandy, którego brat został zamordowany w Starobielsku, pytany po wojnie, co robić, powiedział wyraźnie: nie idziemy do konspiracji, budujemy uniwersytety.

Jak wytłumaczyć bujającej w nierzeczywistości prawicy, że był to pogląd w tamtym czasie dominujący? I nie musiał oznaczać akceptacji dla władzy. Uznały go za swój miliony. Także rodzice i dziadkowie dzisiejszych działaczy Prawa i Sprawiedliwości. Uznał go m.in. były żołnierz AK i uczestnik powstania warszawskiego Rajmund Kaczyński, ojciec Lecha i Jarosława. I nie poszedł do lasu, tylko na politechnikę. Uczyć studentów. Jak więc to ocenić? Dobrze zrobił czy stchórzył?

Robert Walenciak

Tadeusz Manteuffel, żołnierz AK, powiedział wyraźnie: nie idziemy do konspiracji, budujemy uniwersytety.

Rajmund Kaczyński, były żołnierz AK i uczestnik powstania, ojciec Lecha i Jarosława, nie poszedł do lasu, tylko na politechnikę. Uczyć studentów.

Jakub Woroncow

Postać Ludwika Danielaka, „Lotnego", „Bojara", „Szatana", dzieli mieszkańców Bełchatowa. Na fali kultu „żołnierzy wyklętych" dołączył on do panteonu bohaterów. Apologeci Danielaka piszą o nim jako o „żołnierzu antybolszewickiego powstania w regionie" i twierdzą, że przeciwnicy ukazują „zniekształcony obraz watażki", który „nijak się ma do rzeczywistości przedstawianej przez żyjących jeszcze świadków tamtych wydarzeń". Oczywiście tylko niektórych świadków. Ofiary Danielaka zostają zmarginalizowane albo oczernione. – Mordował tylko aktywnych komunistów. Nie mogło być tak, że kogoś zabito bez wyroku. To się zdarzało tylko w akcji. Tak np. było z dyrektorem Glapińskim – dyrektorem Bełchatowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego. Glapiński zaczął uciekać. Skoro zaczął uciekać, ludzie „Lotnego" uznali, że jest winny, i zastrzelili go – twierdzi Józef Wodziński, autor pierwszej biografii Ludwika Danielaka.

Napady i zabójstwa

Na poświęconym Danielakowi muralu w Bełchatowie znajdują się wizerunki Stefana Roweckiego – „Grota" i Stanisława Sojczyńskiego – „Warszyca". Rowecki był komendantem Związku Walki Zbrojnej, a potem dowódcą Armii Krajowej, Sojczyński – szefem Kedywu w Radomsku, a następnie organizatorem i dowódcą Konspiracyjnego Wojska Polskiego (KWP), antykomunistycznego ruchu oporu działającego z jednej strony w opozycji wobec Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, z drugiej także wobec Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Na muralu umieszczono także wizerunki lokalnych bohaterów: Zygmunta Kulika i Jana Szelągowskiego. To żołnierze Armii Krajowej. Szelągowski był dowódcą rejonu i pracownikiem Zakładów Elektrycznych, Kulik – fotografem. Zostali zamordowani przez Niemców 7 marca 1942 r. Razem z nimi rozstrzelano dwóch innych żołnierzy AK – Jana Tyszkego i Tadeusza Kowalczyka. Cała czwórka spoczęła w jednym grobie. Pomnik

eprasa.pl 102024b1cf

Bandyta na muralu

Duch Ludwika Danielaka straszy w Bełchatowie

zbudowała im, o ironio, władza, z którą walczył Ludwik Danielak.

Nie wiadomo, dlaczego spośród czwórki lokalnych bohaterów na mural trafiło tylko dwóch. Trudno nie odnieść wrażenia, że znaleźli się tam tylko po to, żeby wizerunek Danielaka miał dobre towarzystwo, ponieważ powojenny partyzant z wojenną konspiracją nie miał nic wspólnego.

W 1939 r. Ludwik Danielak miał 16 lat. W czasie okupacji pracował najpierw w rodzinnym gospodarstwie, później w gospodarstwie niemieckim. Po wyzwoleniu został powołany do ludowego Wojska Polskiego i trafił do 4. Pułku Artylerii w Tomaszowie Mazowieckim. Po czterech dniach zdezerterował. Przez kilka miesięcy ukrywał się w domu, po czym nawiązał kontakt z Kazimierzem Grzybowskim „Zapalnikiem", który współpracował z Konspiracyjnym Wojskiem Polskim. Oddziały KWP mordowały członków PPR, dokonały egzekucji żołnierzy Armii Czerwonej pod Grabami i brutalnego zabójstwa 19-letniego gońca UB, Stanisława Kałuży, w Kruszynach. W związku z tym były stopniowo rozpracowywane i likwidowane przez siły Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca", aresztowano 27 czerwca 1946 r. w Częstochowie i razem z podkomendnymi postawiono przed sądem. W pokazowym procesie oskarżono ich zarówno o rzeczywiście dokonane zabójstwa, jak i o zbrodnie popełnione przez inne organizacje. Ośmiu oskarżonych, w tym „Warszyc", zostało skazanych na karę śmierci i straconych 19 lutego 1947 r. w Łodzi, trzy dni przed ogłoszeniem amnestii.

Ludwik Danielak z wojenną konspiracją nie miał nic wspólnego.

W tym czasie oddział Grzybowskiego i Danielaka siał postrach w okolicy. Dokonał napadów na spółdzielnię i kasjera gminy w Bogdanowie, spółdzielnie w Woli Krzysztoporskiej i w Dobrzelowie, cukiernię w Bełchatowie. Dziś takie akcje nazywa się rekwizycjami, jednak w latach 40. mało kto odróżniał napady rabunkowe od kradzieży motywowanych chęcią wsparcia oddziałów leśnych.

Latem i jesienią 1946 r. Danielak zorganizował zamachy na Antoniego Grzesiaka, Apoloniusza Lisa, Wacława Fraja i Jana Wonera. Grzesiak i Lis byli funkcjonariuszami UB. Pierwszego oskarżano o zabicie sołtysa w Woźnikach, drugiego o zabicie partyzanta. Woner był liderem miejscowych struktur Stronnictwa Ludowego, a Fraj działaczem SL. W czasie wojny należeli do Batalionów Chłopskich. Zostali aresztowani przez Niemców i wywiezieni do obozów – Woner do Auschwitz, Fraj do Gross-Rosen. Z obozów wrócili, ale dopadli ich ludzie Danielaka. Śmierci uniknął napadnięty sołtys Oleśnicy.

1 kwietnia 1947 r. Danielak i Grzybowski ujawnili się przed komisją amnestyjną w Piotrkowie. Danielak przyznał się do popełnienia czterech zabójstw. Oświadczył, że dokonali ich na rozkaz Jana Rogólki „Grota". Jest to mało prawdopodobne, ale uznano to za wykonanie wyroków sądu podziemnego.

Po straceniu „Warszyca" nowym, samozwańczym dowódcą Konspiracyjnego Wojska Polskiego został Jan Małolepszy „Murat", a część ujawnionych, w tym Grzybowski i Danielak, postanowiła wrócić do lasu. Danielak obawiał się ponoć zemsty za zabójstwa ludowców i funkcjonariuszy bezpieki.

Nie wykonali poleceń, więc zginęli

Po powrocie do konspiracji, 19 października 1947 r. oddział Danielaka dokonał napadu na spacerującego z przyjaciółką po Bełchatowie żołnierza KBW Władysława Garncarka. Motywem była chęć kradzieży broni, ponieważ jednak Garncarek stawiał opór, został zastrzelony. Później okazało się, że był on bratem leśnego z oddziału Grzybowskiego. Tydzień później zamordowano kolejnego żołnierza, Tadeusza Woźniaka. Milena Bykowska, autorka wydanej w 2014 r. biografii Danielaka, na wszystko ma wyjaśnienie. Według niej Garncarek zginął w wyniku „nieoczekiwanego rozwoju sytuacji", a Woźniak był współpracownikiem gestapo i UB. Na czym miała polegać ta współpraca, autorka nie wyjaśnia.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 102024b1cf

Oddział Danielaka dokonywał wielu rekwizycji, a mówiąc po prostu – rabunków. 27 listopada 1947 r. w Bujnach Szlacheckich „za pokwitowaniem" od sekretarza gminy „pobrał" 14 tys. zł, natomiast ze spółdzielni – 9 tys. zł w gotówce i 37 tys. zł w towarze. Potem, jak wynika z opowieści mieszkańców, leśni poszli do sklepów w Bujnach i Grabostowie, brali z półek, co chcieli, rozstawiali szklanki, lali wódkę i zmuszali wszystkich do picia. 4 lutego 1948 r. wrócili i ciężko pobili wójta, Henryka Kopkę, który nie należał do partii.

Sposób przedstawiania „żołnierzy wyklętych" przez IPN służy tworzeniu mitu.

29 listopada 1947 r. partyzanci podjęli próbę napadu na wóz pocztowy, jednak w ich ręce wpadli pracownicy Bełchatowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego, jadący autobusem na uroczystość wręczenia sztandaru oddziałowi związku zawodowego. Wśród nich znajdował się dyrektor Leonard Glapiński. Był międzywojennym działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej, podczas wojny trafił jednak w szeregi Gwardii Ludowej, za co został aresztowany i osadzony w Gross-Rosen. Po powrocie do kraju wstąpił do PPR i został mianowany dyrektorem zakładu. Partyzanci kazali mu się rozebrać, a gdy rzucił się do ucieczki, zastrzelili go. Według niektórych relacji Glapiński został przed śmiercią pobity.

Śmierć Garncarka, Woźniaka i dyrektora Glapińskiego odbiła się echem w okolicy. Dokonane przez ludzi Danielaka morderstwa potępił przemawiający na pogrzebach Franciszek Cybulski, sekretarz Gminnej Rady Narodowej w Bełchatowie. Cybulski nie był komunistą, lecz ludowcem. Mimo to został zamordowany. 9 grudnia 1947 r. został schwytany razem z kasjerem Spółdzielni Samopomoc Chłopska w Bogdanowie Janem Pawłowskim, „podejrzanym o współpracę z UB" (cytat z książki Bykowskiej) Ludwikiem Michalskim oraz łódzkim funkcjonariuszem milicji Stanisławem Larczyńskim. Danielak ogłosił wówczas „wyrok w imieniu Polski podziemnej" na Cybulskiego i Michalskiego, milicjantowi jedynie odebrano broń, kasjera puszczono wolno. Michalski przeżył, ponieważ – jak pisze Milena Bykowska – błagał o życie. Cybulski natomiast miał powiedzieć: „Jak macie mnie bić, to lepiej od razu zastrzelcie". Dziś możemy się dowiedzieć, że Franciszek Cybulski dostał wyrok, ponieważ miał być obecny przy aresztowaniu brata Danielaka, który został zabity na przesłuchaniu w powiatowym urzędzie bezpieczeństwa publicznego. Brakuje jednak przekonujących dowodów na to, że istotnie powiatowy urzędnik z Bełchatowa był w Stradzewie, wiosce, gdzie mieszkali Danielakowie.

Syn Franciszka Cybulskiego nie ma wątpliwości, że zabicie ojca było zemstą za zorganizowanie pogrzebu Glapińskiego i Garncarka. „Danielak miał jakiegoś kapusia w wydziale finansowym Starostwa Piotrkowskiego. Ojciec wiózł ze sobą ponad 30 tys. zł", powiedział w 2013 r. Wiktor Cybulski portalowi Antyportal.org.

Do końca 1947 r. oddział Danielaka zdążył jeszcze dokonać dwóch zabójstw funkcjonariuszy ORMO: Stefana Sobocińskiego i Ignacego Włodarczyka, a także obrabować spółdzielnię w Klukach.

Dalsze zbrodnie

W 1948 r. oddział Danielaka uległ radykalizacji. Jego ofiary ginęły w coraz bardziej dramatycznych okolicznościach, często zupełnie przez przypadek. Leśni podporządkowali się nowemu dowódcy Konspiracyjnego Wojska Polskiego Janowi Małolepszemu „Muratowi". Jego osoba budzi kontrowersje nawet wśród byłych partyzantów. Dowodzone przez niego KWP coraz bardziej przypominało organizację terrorystyczną. Kto chciał zrezygnować z walki, tracił życie. W oddziale Danielaka zabito dwóch partyzantów: Stefana Okruszka i Jana Tylążka. Pierwszy zginął, ponieważ chciał odejść. Natomiast Tylążek zawinił tym, że ostrzegł przed niebezpieczeństwem dwie osoby, do których zastrzelenia został wyznaczony przez Danielaka, i ocalił im w ten sposób życie. Po jego śmierci z oddziału uciekli dwaj inni partyzanci.

Bohaterów AK zrównuje się z „żołnierzami wyklętymi" lub wręcz marginalizuje.

16 lutego 1948 r. oddział Danielaka zamordował Ryszarda Stępnia, Teofila Semerata i Teofila Burysza. Złapano ich w drodze z rozprawy sądowej, na której zeznawali przeciw dwóm jego byłym podkomendnym. Zostali uprowadzeni do lasu, poddani torturom i zabici. Bykowska opisuje to następująco: „Mieszkaniec Kucowa, z którego pochodzili rozstrzelani cywile, wielokrotnie ostrzegał »Bojara« (Danielaka – przyp. red.) przed gospodarzami o czeskiej narodowości. Byli zwolennikami komunistycznej władzy, zaś dwóch spośród wspomnianych było Czechami". Kilka dni później zostali zamordowani dwaj strażnicy leśni dokonujący oględzin w sprawie kradzieży drewna. 23 lipca 1948 r. zginął gajowy Stanisław Maszewski, który przypadkiem natknął się na ludzi Danielaka budujących w lesie bunkier. Inne ofiary Danielaka to: referent PUBP Aleksander Fiodorow, chorąży Stanisław Smolarek oraz trzej rolnicy i członkowie ORMO: Michał Kilińczyk, jego brat Zygmunt i Stanisław Papuga (Michała Kilińczyka powieszono, jego brata i Stanisława Papugę rozstrzelano). W wyniku ostrzału furmanki ciężko ranna została żona oficera wojska Franciszka Czyżewskiego.

9 listopada 1948 r. aresztowano dowódcę KWP Jana Małolepszego. Podczas śledztwa wydał on wielu swoich podkomendnych. Skazany na karę śmierci zmarł w celi 9 marca 1949 r. od obrażeń zadanych na torturach.

Oddział Ludwika Danielaka rozbito 8 lipca 1949 r. Jego samego aresztowano dopiero 3 marca 1954 r. W trakcie śledztwa „przyznał się" pod wpływem tortur do piątego zabójstwa dokonanego przed amnestią. Został skazany na karę śmierci, wyrok wykonano 5 sierpnia 1955 r. w Łodzi. Miejsce jego pochówku pozostaje nieznane. Kazimierz Grzybowski nie został złapany. Ujawnił się w 1959 r., zmarł w roku 2003.

Kult Danielaka

Pierwszą osobą, która spopularyzowała postać Ludwika Danielaka, czyniąc z niego Robin Hooda lat 40.,

eprasa.pl 102024b1cf

był bez wątpienia autor jego biografii z 2007 r. Józef Wodziński. Ponieważ pochodzi z Białej Podlaskiej, nie jest rdzennym mieszkańcem Bełchatowa, mógł zachować dystans do historii i obiektywizm. Nie zrobił tego. Opisał Danielaka jako uczestnika walki narodu z komunizmem, uwieńczonej powstaniem Solidarności i przemianami 1989 r. Wodziński nie kryje, że odrzuca wszelkie zastrzeżenia wobec „żołnierza antybolszewickiego powstania w regionie", które część społeczeństwa wyraziła, po tym jak zaczął go upamiętniać.

Kolejne opracowania również pomijają lub usprawiedliwiają – tak jak biografia wydana w 2014 r. przez Milenę Bykowską – przestępstwa popełnione przez leśnych. Okradanie gminnych kas oszczędnościowych i spółdzielni zrównuje się z walką z hitlerowskim okupantem albo bagatelizuje. „Bywało tak, że zabrano 20 kilo cukru, a wpisywano (na pokwitowaniu) 30, żeby sklepowa mogła wziąć i rozdać te 10 kilo", pisze Józef Wodziński.

Postać Danielaka świetnie wpisała się w tworzenie mitologii antykomunistycznego podziemia promowane w latach 90. przez prawicę i Instytut Pamięci Narodowej. Sposób przedstawiania dziejów przez funkcjonariuszy IPN służy tworzeniu mitu. Fakty są naciągane, historia koloryzowana i przeinaczana. Z „żołnierzami wyklętymi" zrównuje się bohaterów Armii Krajowej. A czasem wręcz ich marginalizuje. W Bełchatowie mają zapewnić Danielakowi dobre towarzystwo.

W podobny sposób „zbadano" i „odkłamano" wiele postaci. A z drugiej strony oczerniono wiele ofiar partyzantów. Na podstawie źródeł wytworzonych przez powojenne zbrojne podziemie bezkrytycznie zrobiono z nich konfidentów i zdrajców narodu, nie próbując konfrontować tych informacji z wersją żyjących jeszcze w latach 90. świadków ani z innymi źródłami. Ponieważ pomówieni od dawna nie żyją, nie mogą się bronić, a wiele lat po wydarzeniach łatwo jest całą historię spłycić i funkcjonariuszy bezpieki czy jej rzeczywistych współpracowników wrzucić do jednego worka z cywilami, których winą były przynależność polityczna, pełnienie funkcji publicznych lub znalezienie się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

Postacie takie jak Ludwik Danielak, ale także inni, podobni mu „żołnierze wyklęci", operujący na ziemi radomszczańskiej, Mazowszu czy zachodzie Polski, są też łatwiejsze do przeforsowania niż Romuald Rajs „Bury", Józef Zadzierski „Wołyniak", czy Józef Kuraś „Ogień". Skala ich działalności była mniejsza, zamordowali znacznie mniej cywilów, a przede wszystkim nie popełniali zbrodni o charakterze masowym lub etnicznym. Z tego powodu konflikt pamięci ogranicza się do regionu i nie wpływa tak bardzo na debatę o polityce historycznej jak czyny oprawców polskich Białorusinów, Ukraińców czy Żydów ocalałych z Holokaustu.

Jakub Woroncow

CZTERY TOMY „Historii bez IPN"

Morderstwa, gwałty i rabunki!
Zamiast prawdy gloryfikacja „żołnierzy wyklętych".

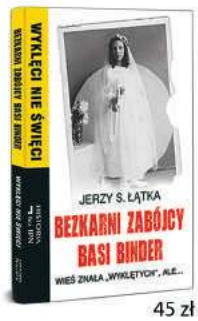

45 zł

43 zł

4 KSIĄŻKI W PAKIECIE TANIEJ – 150 zł

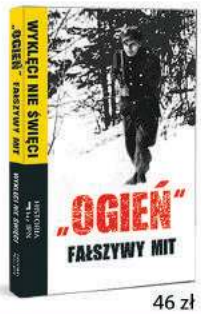

46 zł

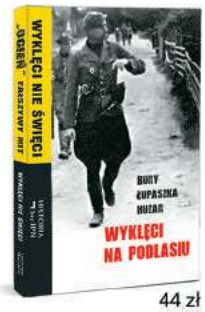

44 zł

Zbieramy na kolejne tomy. Pomożecie?

Odpowiadając na apele Czytelników, szykujemy kolejne tomy z serii książek „Wyklęci nie święci". Jesteśmy to winni młodym Polakom, którym serwuje się kłamstwa. Zainteresowanych tą serią prosimy o wsparcie i wpłaty na poniższe konto, z dopiskiem „Historia bez IPN". Każda złotówka ma znaczenie.

Wpłat prosimy dokonywać na konto: **72 1090 2851 0000 0001 2023 9821** Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7. Książki można też zamówić na **www.sklep.tygodnikprzeglad.pl**. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +5,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

eprasa.pl 102024b1cf

Skąd wziąć nauczyciela?

W szkołach rysuje się poważny kryzys kadrowy. Statystyczny polski nauczyciel to prawie 45-letnia kobieta. Jej następców nie widać

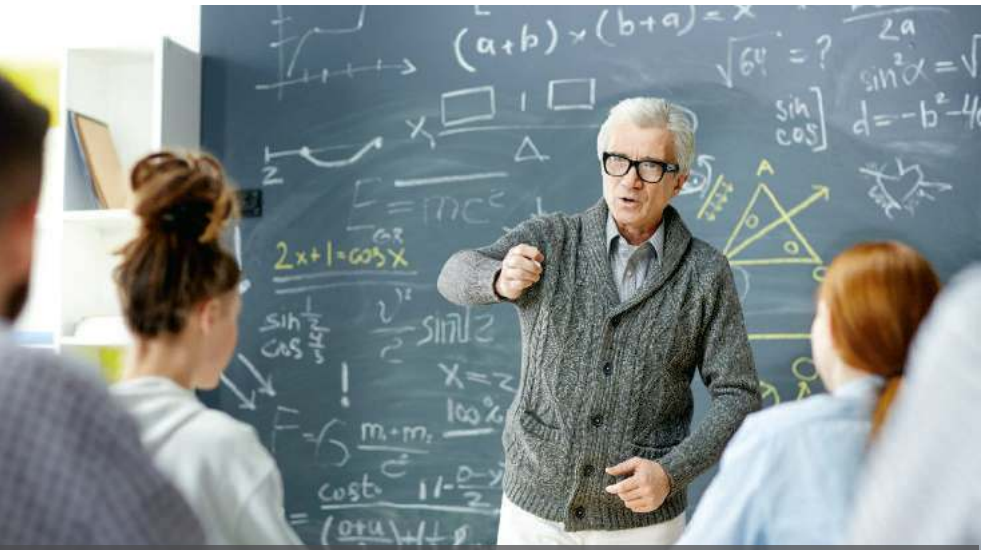

Niełatwo o nauczycieli matematyki. Studia matematyczne wybiera niewielu młodych. A jak już wybierają, nie zawsze kończą. Są ciężkie.

Beata Igielska

Praca w szkole jest dla studentów wyborem asekuracyjnym – drugim lub trzecim. To stały trend, Bogusław Śliwerski, profesor pedagogiki Uniwersytetu Łódzkiego i Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie, od 2011 r. przewodniczący Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN, obserwuje go od lat.

Opluło nas własne państwo

– Prowadziłem zajęcia na wydziale filologicznym. Grupa stanowiła zbieraninę: dwóch anglistów, dwóch rusycystów itp. Nie ukrywali, że do szkoły pójdą dopiero wtedy, gdy nie wyjdzie im biuro tłumaczeń lub praca w mediach. Podkreślali, że nie chcą zarabiać mniej niż pani w sekretariacie szkoły. Bo poza satysfakcją z pracy z dziećmi wypadałoby mieć satysfakcję finansową – opowiada profesor. – Proszę spojrzeć na Szwajcarię, gdzie żeby studiować kierunek nauczycielski, trzeba mieć średnią 4,5 z ośmiu przedmiotów. W Luksemburgu nauczyciele zarabiają najwięcej na świecie w tej grupie zawodowej. W Finlandii społeczeństwo mówi: inwestujemy w was, ale też oczekujemy pracy na najwyższym możliwym poziomie. Jednak takie podejście wymaga myślenia o zdecentralizowaniu systemu oświatowego. U nas zaś wszystko idzie w przeciwnym kierunku. Nauczyciel jest kontrolowany, dyscyplinowany, trzymany w szachu, boi się podnieść głowę, jakby sam nie umiał myśleć. Administracja tego systemu opartego na strachu pochłania każdego roku miliardy, dużo kosztują kuratoria – nadzór administracyjno-polityczny. Jak nauczyciele mają być „dla dzieci" skoro są chłopcami do bicia? Jedyne rozwiązanie, jakie widzę w tej sytuacji, to uwolnienie nauczycieli, danie im autonomii: mało wam płacimy, ale możecie się realizować, być sobą. Obecnie w Polsce nie wystarczy podwyżka płac, nawet i do 10 tys. zł. To nie zmieni mentalności. Nauczyciele powinni być elitą intelektualną i duchową.

Zdaniem Śliwerskiego młodych odciąga od tej profesji również zapóźnienie cywilizacyjne polskiej szkoły, jakieś 40 lat w stosunku do krajów Zachodu. Przykład? Szkoła unika sieci internetowej. Wciąż króluje: otwórz podręcznik, przepisz, wkuj na pamięć. A gdzie praca choćby z telefonem komórkowym i atrakcyjnymi aplikacjami edukacyjnymi? Młodzi adepci zawodu dziś mogą być ścigani za to, że komunikują się z uczniami za pomocą Twittera czy Facebooka, a nie przez dziennik elektroniczny. To po co iść do pracy w szkole? Żeby obawiać się skutków własnego zaangażowania? Tablica interaktywna w szkołach jest, ale korzysta się z niej raz w tygodniu, gdy uczniowie piszą test. Nie dziwmy się więc, że dzieci nie lubią szkoły.

– Wielu młodych ludzi, których obserwuję, może i byłoby świetnymi nauczycielami, ale tu kredyt na mieszkanie, tam spadek prestiżu zawodu – wylicza Tomasz Bilicki, prowadzący Centrum Interwencji Kryzysowej dla Młodzieży, śniadania dla dyrektorów szkół czy audycje oświatowe w Radiu Łódź. – Zawsze krytykowali nas rodzice i uczniowie. Kwietniowy strajk pokazał, jak opluło nas własne państwo. Nie spodziewaliśmy się ciosu z tej strony. W szkole, w której mam kilka godzin WOS, wielu nauczycieli mówiło, że odejdzie z zawodu, wielu przeszło do innych szkół. Nie było dnia, żeby ktoś nie płakał. Szczucie medialne spowodowało podział środowiska: na tych z ZNP i z tych Solidarności, na strajkujących i niestrajkujących.

Migracje między szkołami rzeczywiście nasiliły się. Magdalena Buda, wicedyrektorka Zespołu Szkół nr 8 na gdańskiej Zaspie, dostrzega jednak nie tylko to zjawisko. Zna anglistkę lat 20+, która odchodzi do pracy w korporacji, mimo że uwielbia uczyć. Po strajku nie może sobie poradzić psychicznie. – Ludzie odchodzą z zawodu, to fakt. Jedna z naszych nauczycielek również nie mogła sobie poradzić psychicznie z kierunkiem, jaki przybrała polityka oświatowa.

Jedynie 20% polskich nauczycieli stanowią najmłodsi: stażyści i nauczyciele kontraktowi.

eprasa.pl 102024b1cf

Że niby cały czas mówi się o dobru dziecka, a tak naprawdę nauczyciel każdego dnia musi wykonywać mnóstwo czynności odciągających go od dzieci, wypełniać stosy papierów. Kilku znajomych rzuciło pracę i odeszło do innej branży lub do oświaty, ale nie do pracy nauczycielskiej. Obserwujemy też przypadki wyboru pracy w ośrodkach specjalnych, gdzie już na starcie nauczyciel ma 30% dodatku do pensji ze względu na uciążliwe warunki pracy. Takie migracje nie są problemem, bo nauczyciele mają ukończone po kilka kierunków studiów podyplomowych.

Magdalena Buda wśród powodów obecnego kryzysu kadrowego w szkołach wymienia sfrustrowanie środowiska i malejący prestiż zawodu. Jakie są tego skutki? Nauczyciele zaczęli myśleć o sobie. – Nasze dziewczyny przestały pracować po godzinach. Mejle od rodziców odbierają do godz. 16, jeśli rodzic chce się spotkać, musi się umówić, a nie tak jak dotychczas – nauczyciel dostępny przez okrągłą dobę. Jeśli nie mają ochoty jechać na wycieczkę, nie muszą. Już nie wyrabiają tzw. hallówek, dodatkowych bezpłatnych godzin wprowadzonych przez minister Katarzynę Hall. Zaczynają się cenić. I to jest dobre – mówi wicedyrektor Buda.

Wolę korpo albo przemysł

Dramat jest w szkołach branżowych. Bo czy dla absolwenta politechniki lub AGH taka praca jest marzeniem? A z drugiej strony – czy jest on przygotowany do pracy w szkole zawodowej? Z badania „Barometr zawodów 2020" przygotowanego na zlecenie Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej wynika, że nauczyciele praktycznej nauki zawodu i przedmiotów zawodowych znaleźli się wśród najbardziej poszukiwanych profesji.

– Średnia wieku nauczycieli przygotowujących do zawodu jest wysoka i ciągle rośnie. Znam szkoły, w których w ostatnich latach nie został zatrudniony ani jeden absolwent uczelni technicznej. Pracuje stara gwardia, która chce dokończyć swoją drogę zawodową w szkole, tak jak rozpoczęła – wskazuje prof. Stefan Kwiatkowski, wieloletni dyrektor Instytutu Badań Edukacyjnych, obecnie rektor Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej w Warszawie. – Musimy więc uatrakcyjnić ofertę, pod względem nie tylko płac, lecz także warunków pracy. Chodzi o to, żeby płaca dla inżynierów w gospodarce i w zawodzie nauczyciela była porównywalna. Jeśli idą do prywatnych przedsiębiorców, czasami pracują nawet poniżej swoich kwalifikacji, ale i tak zarabiają trzy razy więcej niż nauczyciel.

W przypadku dostrzegalnego już braku nauczycieli matematyki sprawa może być bardziej skomplikowana. – Studia matematyczne wybiera niewielu młodych. A jak już wybierają, nie zawsze kończą. Są trudne. Tu kłania się brak obowiązkowej matury z matematyki. Wiele działów nie było omawianych w szkołach, młodzi mają po prostu braki. Boją się pracować w takich szkołach jak nasza, gdzie uczniowie są wymagający, boją się wpadki intelektualnej. Idą do lepiej płatnej pracy w banku czy korporacji, gdzie nikt im nie wytknie niewiedzy o danym dziale matematyki – tłumaczy Katarzyna Sikora, dyrektorka prestiżowego III LO w Chorzowie, członek zarządu Stowarzyszenia Nauczycieli Matematyki. – Często nie czują się na siłach pracować w szkole, tak to widzę. Poza tym młodych zniechęca roszczeniowy stosunek rodziców do nauczycieli. Dzisiaj każdy jest ekspertem od prawa oświatowego, bo w internecie wyszperał akty prawne. To utrudnia pracę nauczycielom.

Trzeba pięć lat studiować np. trudną fizykę, by być nauczycielem za 2,5 tys. zł, czyli zarabiać mniej niż woźny.

Broń obosieczna

Co robi Ministerstwo Edukacji Narodowej, żeby ten niepokojący trend odwrócić, bo wydaje się, że kryzysu nie zażegnają ani 20-godzinny tydzień pracy, ani wakacje? Otóż resort chce stworzyć system szkół ćwiczeń, w których będą odbywać praktyki i staże absolwenci specjalności nauczycielskich, gdzie będzie oferta przykładowych rozwiązań dydaktycznych i metodycznych. Biuro prasowe MEN wymienia też jako sposób na walkę z kryzysem kadrowym w szkołach... 1000 zł na start dla nauczycieli stażystów, świadczenie wprowadzone od 1 września 2019 r. Ma to być zachęta dla młodych. Ponadto, kontynuuje MEN, w tym roku nauczyciele otrzymają kolejną podwyżkę. I najważniejsze: resort we współpracy z Ministerstwem Nauki i Szkolnictwa Wyższego powołał w Polskiej Komisji Akredytacyjnej odrębny zespół do oceny jakości kształcenia nauczycieli na uczelniach.

To ostatnie jest bronią obosieczną. – Już w tym roku w Gdańsku nie zrekrutowaliśmy chętnych na studia niestacjonarne. Podobna sytuacja jest na wielu uczelniach – wylicza prof. Amadeusz Krause, pedagog z Uniwersytetu Gdańskiego. – I mówię nie o kierunkach typowo pedagogicznych, lecz o nauczycielach przedmiotów, których już dziś dramatycznie brakuje w dużych miastach. Nowe standardy kształcenia oznaczają wzrost wymagań. Trzeba pięć lat studiować np. trudną fizykę, by być nauczycielem za 2,5 tys. zł, zarabiać mniej niż woźny w niektórych szkołach. Za 10-15 lat czeka nas ogromny kryzys w edukacji. Będzie to skutkiem starzenia się kadry, odchodzenia z zawodu do lepiej płatnych profesji, zmniejszenia rekrutacji na studia nauczycielskie, a także trwającej w nieskończoność reforma systemu, idącego za nią skłócenia środowiska oświatowego i bałaganu prawnego

„Zarówno Polska, jak i inne kraje UE muszą znaleźć rozwiązania, które pozwolą zatrudnić i utrzymać najlepszych nauczycieli. Problem starzenia się nauczycieli i braków kadrowych to zagadnienie, z którym mierzy się większość krajów UE", pisze Biuro Prasowe MEN. Z Monitora Kształcenia i Szkolenia 2019, zaprezentowanego we wrześniu 2019 r. w Brukseli, wynika, że w Unii jest 5,7 mln nauczycieli w szkołach podstawowych i średnich; ponad jedna trzecia przekroczyła 50 lat.

W Polsce średnia wieku nauczycieli wynosiła w roku szkolnym 2017/2018 43,9 (dla kobiet 43,7, a dla mężczyzn 45,2), w 2018/2019 – 44,1 (dla kobiet 43,9, dla mężczyzn 45,4).

W roku szkolnym 2018/2019 w naszym kraju pracowało 512 354 nauczycieli. Z tego jedynie 20% stanowili najmłodsi: stażyści (21 020) i nauczyciele kontraktowi (83 616). ■

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 102024b1cf

Hydra trudna do pokonania

Mała fundacja odzyskała 17 mln zł dla osób oszukanych na pokazach, potężny UOKiK ściągnął od oszukańczych firm grosze

Na odstąpienie od umowy zawartej poza lokalem klient ma 14 dni.

Ewa Smolińska-Borecka

Od miesiąca spędzają czas w którymś z warszawskich aresztów śledczych. Już nie wyglądają tak elegancko jak przed zatrzymaniem. Nie mają też atrybutów ludzi sukcesu. Policja w momencie zatrzymania zarekwirowała im zegarki najlepszych szwajcarskich marek, każdy wart kilkadziesiąt tysięcy złotych, i luksusowe samochody Porsche i Tesla, warte po kilkaset tysięcy złotych. To m.in. zegarki i samochody świadczyły o ich bogactwie. A dorobili się go, zdzierając skórę z ponad 300 emerytów. Niekoniecznie dobrze sytuowanych, ale takich, którzy w swoje zdrowie byli w stanie zainwestować od ręki od 6 tys. do ponad 9 tys. zł. Albo przynajmniej mogli na tyle się zapożyczyć.

Pomysł sprzedaży abonamentów medycznych, które obejmowały nieograniczoną liczbę wizyt u lekarzy specjalistów oraz diagnostykę, narodził się w Warszawie. Pakiet na cztery lata kosztował od 6 tys. do przeszło 9 tys. zł. Faktycznie jednak już po roku od podpisania umowy firma odwlekała wizyty u lekarzy lub je ograniczała. A na koniec sieci przychodni, z którymi zawarła kontrakty, wypowiedziały je z powodu braku płatności.

Taką działalność prowadziło kilka spółek, których nazw Prokuratura Okręgowa w Warszawie nie ujawnia. Ich prezesi i członkowie zarządów – w sumie siedem osób – w styczniu br. zostali zatrzymani na polecenie prokuratora. Przedstawiono im zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, która działała na szkodę klientów spółek, w większości ludzi starszych. Jest to bodajże pierwsza sprawa karna skierowana przeciwko firmom organizującym sprzedaż towarów i usług na pokazach. Spółki działające w zorganizowanej grupie przestępczej od czerwca 2016 r. do końca kwietnia 2017 r., czyli w ciągu zaledwie 11 miesięcy, wyłudziły od uczestników pokazów prawie 2,2 mln zł, a usiłowały wyłudzić kolejne 300 tys. zł.

Nie wynajmuj nierzetelnym

Pod koniec stycznia ub.r. ruszyła akcja „Poznaj swojego kontrahenta". Organizatorami były Polskie Stowarzyszenie Sprzedaży Bezpośredniej i Federacja Konsumentów, a honorowy patronat nad nią objął Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Celem akcji było nakłonienie firm, które wynajmują pomieszczenia na tzw. pokazy, w szczególności właścicieli hoteli i restauracji, do gruntowniejszego sprawdzania kontrahentów. Jeśli zaś ci okazaliby się nierzetelni, do odmawiania wynajmu. Przestrzegano, że brak ostrożności przy wynajmie pomieszczeń może być w konsekwencji przyzwoleniem na nieuczciwe praktyki i oszustwa. Informacje o akcji wysłano na skrzynki mejlowe 40 tys. firm. Podobną akcję PSSB zrobiło w 2014 r., kiedy wysłano listy do 11 tys. firm wynajmujących pomieszczenia, i w 2017 r. – wówczas akcja też objęła kilkanaście tysięcy placówek i instytucji.

W ciągu 11 miesięcy kilka spółek, funkcjonujących jako zorganizowana grupa przestępcza, wyłudziło od uczestników pokazów prawie 2,2 mln zł, a usiłowały wyłudzić kolejne 300 tys. zł.

eprasa.pl 102024b1cf

– Mamy sygnały, że gdzieniegdzie liczba pokazów spadła, np. w Legnicy aż o 80% – mówi Mirosław Luboń, dyrektor generalny Polskiego Stowarzyszenia Sprzedaży Bezpośredniej. – Oczywiście wszystkie instytucje, które wynajmują sale, mają prawo to robić, nawet firmom nieuczciwym. Ale my nakłaniamy, by sprawdzać, czy kontrahent jest godny zaufania. Można np. w Federacji Konsumentów albo u rzeczników konsumentów dowiedzieć się, czy nie było skarg na tę firmę.

Dyrektor Luboń dodaje, że były propozycje, aby nagrywać takie pokazy, ale zazwyczaj spotkania z handlowcem odbywają się z pojedynczymi konsumentami w salce obok. – UOKiK zaczyna korzystać z tzw. tajemniczego klienta. Jeśli chodzi o firmy rzetelne funkcjonujące na rynku sprzedaży bezpośredniej, to na pewno są nimi te, które należą do naszego stowarzyszenia, bo są przez nas sprawdzane na początku członkostwa i potem okresowo. Wydaje mi się, że te rzetelne firmy stanowią ok. 70% rynku sprzedaży bezpośredniej, a jedynie kilkanaście czy 20 firm to są te nierzetelne. Zaledwie 5-10% obrotów mają firmy potencjalnie nieuczciwe.

Zwinąć się jak najszybciej

Do Federacji Konsumentów w Warszawie codziennie przychodzi lub zgłasza się telefonicznie kilka osób, które dokonały zakupu na pokazach i chciałyby zwrócić towar. Niestety, federacja nie udziela już porad bezpłatnie – od 1 stycznia 2019 r. nie otrzymała dofinansowania z UOKiK, ponieważ nie wygrała konkursu organizowanego przez ten urząd.

Dlaczego federacja wzięła udział w kampanii „Poznaj swojego kontrahenta" i zamiast walczyć z firmami, które organizują nieuczciwe pokazy, przerzuca odpowiedzialność na firmy wynajmujące sale? – Chodzi nie o to, żeby zaprzestać działań wobec osób, które organizują pokazy, ale żeby działać wielotorowo – tłumaczy Michał Herde, prezes Oddziału Federacji Konsumentów w Warszawie. – Chcemy zwrócić uwagę, jak ważna jest społeczna odpowiedzialność biznesu. Metody działania firm nieuczciwych są coraz bardziej wyrafinowane. Konsument przychodzi do nas i mówi: „Nie wiem, jak to się stało, że zawarłem umowę". Prezenterzy korzystają z technik wpływu społecznego. Walka z nieuczciwymi firmami jest jak walka z hydrą, bo odrąbane głowy odrastają. Firma zbiera pieniądze z rynku i po roku zwija biznes. A na jej miejsce pojawia się nowa. Ostatnio pojawiło się nowe zjawisko: zgłosiło się do nas kilku konsumentów, którzy powiedzieli, że kupili parę rzeczy na pokazie, a kilka dni później zgłosił się do nich doradca, który za kilkaset złotych zaproponował pomoc przy rozwiązaniu umowy. Ci konsumenci byli zaskoczeni, że doradca znał ich dane i wiedział, że byli na pokazie. Skąd mógł mieć te informacje? Niech pani sama sobie odpowie. Przy umowie na kilka tysięcy kilkaset złotych za pomoc przy jej rozwiązaniu nie wydaje się wysoką sumą.

Na początku ubiegłego roku ówczesny prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów Marek Niechciał chwalił się: – Mamy informacje o ponad 120 firmach organizujących pokazy, podczas których konsumenci mogą być poddawani nieuczciwym praktykom handlowym. UOKiK na różne sposoby walczy z tym zjawiskiem. W 2018 r. prowadziliśmy ponad 40 postępowań wobec przedsiębiorców sprzedających produkty lub usługi na pokazach.

Poprosiłam UOKiK o listę tych 120 firm, o których mówił prezes Niechciał. Nie dostałam jej. W mejlu z Biura Rzecznika Prasowego UOKiK uzasadniono to następująco: „Wszelkie materiały operacyjne w postaci list czy typowań podejrzanych przedsiębiorców są naszą wiedzą związaną z prowadzonymi postępowaniami. Nie ujawniamy takich informacji, mając na względzie dobro prowadzonych postępowań. W przypadkach tych działań często wykorzystujemy tajemniczego klienta – co oznacza, że element zaskoczenia również ma znaczenie dla dobra prowadzonych działań".

W ubiegłym roku, podobnie jak w 2018, UOKiK prowadził wiele

UOKIK OSTRZEGA: KONSUMENCIE, UWAŻAJ NA POKAZACH!

- Jeśli idziesz na prezentację, pamiętaj, że zazwyczaj jest to pokaz handlowy, mający przekonać Cię do zakupu produktu.
- Gdy otrzymasz zaproszenie na spotkanie lub bezpłatne badanie, ustal, czy będą na nim oferowane towary lub usługi. Pamiętaj – nie ma nic za darmo!
- Uważaj na „promocje", wyjątkowe oferty, gdy sprzedawca mówi ci, że musisz podjąć decyzję w tej chwili, bo okazja się nie powtórzy – nie działaj pod presją czasu.
- Zastanów się, czy oferta na pewno jest atrakcyjna.
- Nie udostępniaj nikomu dowodu osobistego.
- Uważnie czytaj umowy, konsultuj decyzje z kimś bliskim.
- Nie bierz pożyczki na zakup sprzętu na pokazie, nie zgadzaj się na wizytę w banku ze sprzedawcą.
- Pamiętaj, że na odstąpienie od umowy zawartej poza lokalem masz 14 dni.
- W razie problemów szukaj pomocy u rzecznika konsumentów.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE KAMPANII CZAS SENIORA - STOP MANIPULACJI - NIE DAJ SIĘ OSZUKAĆ

eprasa.pl 102024b1cf

postępowań wobec nieuczciwych firm sprzedających produkty lub usługi na pokazach. Na niektóre nałożył horrendalnie wysokie kary: Exito Sp. z o.o. – 3,936 mln zł, Vget Polska – 2,723 mln zł, Kangen – 85,577 tys. zł, Vitaldream – 40,812 tys. zł, RAM Polska – 37,878 tys. zł. Zapytałam UOKiK, ile kar i w jakiej wysokości zostało ściągniętych oraz na jakim etapie są sprawy nałożonych kar. W odpowiedzi otrzymałam jedynie informację, że praktycznie wszystkie firmy odwołują się od kar i tak jest w wypadku wymienionych spółek.

Żadnych danych na temat wyegzekwowanych kar. Czyżby więc prawdą było to, co można usłyszeć od osób przyglądających się działaniom UOKiK i rynkowi pokazów – że do tej pory albo nie ściągnięto żadnej kary, albo po trzech latach od nałożenia ściągnięto karę w wysokości 7 tys. zł? Z czego wynika ta nieskuteczność? Po pierwsze, jak napisano w mejlu z Biura Rzecznika Prasowego UOKiK, wszystkie firmy odwołują się od decyzji do Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów. A w sądzie są zatory. Jak można się domyślać, w tym czasie przedsiębiorca, na którego została nałożona kara, nie zasypia gruszek w popiele. Defrauduje pieniądze firmy, przez co staje się ona niewypłacalna. A potem wyrasta nowa firma, o innej nazwie, która nie przejmuje zobowiązań poprzedniczki. W rezultacie nawet w wypadku wyroku niekorzystnego dla przedsiębiorcy nie ma możliwości ściągnięcia kary. Najpewniej więc lista 120 nieuczciwych firm, którą chwalił się w ubiegłym roku prezes UOKiK, jeśli faktycznie istnieje, zawiera – jak uważa dyrektor Luboń z PSSB – jedynie od kilkunastu do 20 firm faktycznie funkcjonujących na rynku.

Fundacja się zatkała

UOKiK nie interesuje się sprawami indywidualnych osób, interweniuje wyłącznie wtedy, kiedy naruszony został zbiorowy interes konsumentów. Nie ma więc sensu zgłaszać się do niego z problemem zakupu na pokazie. Należy iść do miejskiego lub powiatowego rzecznika konsumentów, których jest w kraju 372. Świadczą oni bezpłatną pomoc. Tam konsument dowie się, o ile wcześniej tego nie wiedział, że jeśli umowa kupna-sprzedaży została zawarta poza siedzibą spółki, czyli np. na pokazie, ma 14 dni na odstąpienie od umowy. Często jednak okazuje się, że firma nie podała danych, które umożliwiają odesłanie towaru, by skutecznie zerwać umowę. A konsument, podekscytowany atmosferą panującą na pokazie, nie zwrócił na to uwagi, bo wówczas nie myślał o anulowaniu transakcji, wierząc, że zrobił interes życia. Jeżeli więc ktoś po uzyskaniu porady od rzecznika konsumentów nadal czuł się bezradny, mógł skorzystać z pomocy Fundacji Daje Siebie, która brała na siebie całą procedurę odwołania umowy. Piszę „mógł", ponieważ 31 stycznia br. fundacja poinformowała na Facebooku, że ogranicza liczbę spraw, którymi się zajmuje, ze względu na niewystarczające moce przerobowe.

Kiedy pytam o fundację, żaden z przedstawicieli organizacji konsumenckich nie czuje się kompetentny, by ją oceniać. Podobno już na początku działania, w 2018 r., otrzymała od UOKiK żółtą kartkę – urząd wysłał do rzeczników konsumentów ostrzeżenie, że na rynku organizacji konsumenckich pojawiła się fundacja, która „domaga się" darowizn za swoje usługi. Tę fundację odkryłam jesienią 2018 r., cztery miesiące po jej zarejestrowaniu. Pamiętam, jak podekscytowany był jej fundator i prezes Tomasz Bartoszak. Dziś Bartoszak nie jest już podekscytowany. Raczej sprawia wrażenie umęczonego i nieco zasmuconego.

Od początku istnienia fundacji do dziś, czyli przez 20 miesięcy funkcjonowania, konkretną pomoc, a nie tylko porady, uzyskało od niej 2317 osób, a wartość umów, które te osoby zawarły, wyniosła 17,6 mln zł. Bartoszak zakłada, że jedynie w tych przypadkach, w których konsumenci zdecydowali się na pozwy do sądu, pieniędzy nie udało się odzyskać po skutecznym dostarczeniu towarów i rozwiązaniu umowy. Ocenia więc, że udało się odzyskać prawie 17 mln zł. Niestety, nie są to wszystkie należne pieniądze, bo jest grupa firm, które mimo odesłania towaru w terminie nie realizują wypłaty środków. Ale tak daleko posunięta bezczelność to margines.

Gdy Tomasz Bartoszak dowiedział się, że UOKiK ostrzega przed jego fundacją, był zaskoczony. Bo on nie pobiera za swoją pomoc pieniędzy. Owszem, prosi, by po załatwieniu sprawy za klienta uiścił on darowiznę. Choćby symboliczną. Ale gdy sprawa zostaje załatwiona, niewielu to robi. Bartoszak prosi więc o przeznaczenie na jego fundację 1% podatku, a przecież ten gest jego byłego klienta naprawdę nic nie kosztuje. Tymczasem np. w grudniu ub.r. wpłynęły do fundacji darowizny

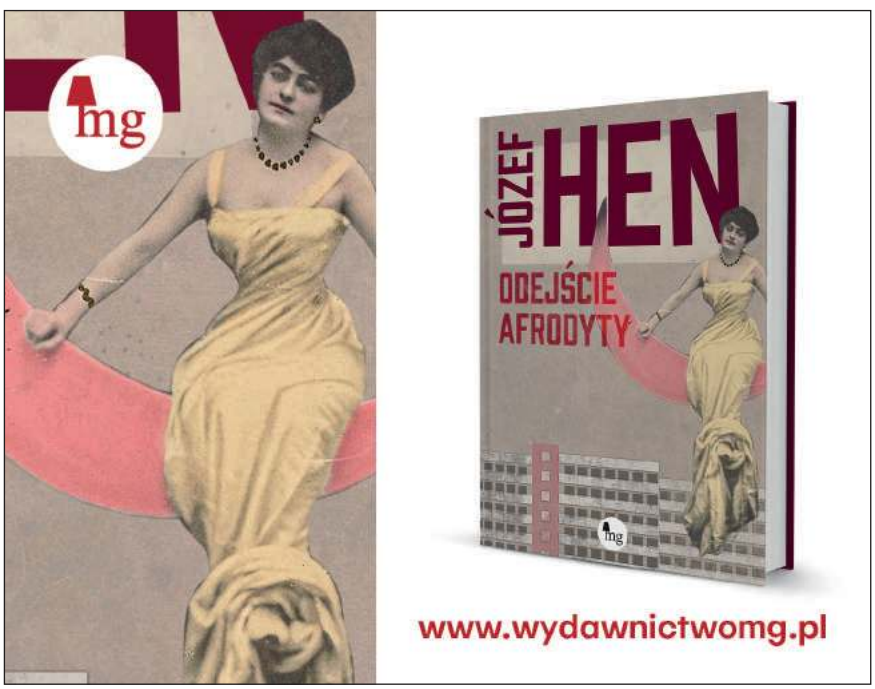

eprasa.pl 102024b1cf

w wysokości 1,8 tys. zł. A udzielając się w fundacji, Bartoszak zaniedbuje swoją działalność gospodarczą. – Kiedyś byłem zadowolony, bo czułem, że robię coś dobrego, ale roszczeniowość ludzi mnie przytłacza – zwierza się. – Teraz satysfakcji jest coraz mniej. Ale trzyma mnie przy tej działalności tylko jedna sprawa: nie chcę, żeby te nieuczciwe firmy uznały, że ze mną wygrały.

Kary nie do wyegzekwowania

Od 27 stycznia br. UOKiK rządzi nowy prezes – Tomasz Chróstny. Wśród decyzji podjętych przez niego są dwie z 12 lutego br., które dotyczą firm sprzedających nieuczciwie towary i usługi na pokazach. Prezes ukarał Pollana Med Sp. z o.o. z Mrowina kwotą 1,1 mln zł za to, że do grudnia 2018 r. nie zwracała pieniędzy za towary, które klienci odsyłali, gdy zrywali umowę. Handlowcy informowali ich, że odstąpienie od umowy im nie przysługuje, bo towar był w promocji. Decyzja o karze zapadła 12 stycznia br., tymczasem spółka zaprzestała sprzedaży na pokazach w grudniu 2018 r., czyli 14 miesięcy temu. Jak wynika z wpisu w KRS, jest ona aktywna, ale jej kapitał zakładowy wynosi 5 tys. zł, więc jedynie do takiej kwoty odpowiada finansowo.

Federacja Konsumentów nie udziela już porad bezpłatnie, bo od 1 stycznia 2019 r. nie otrzymała dofinansowania z UOKiK.

Druga decyzja prezesa dotyczy firmy Medispol ze Stęszewa (obecnie Radnar z Poznania). Nałożono na nią karę w wysokości 397 tys. zł za praktyki, których zaprzestała w maju 2019 r. Spółka zapraszała klientów na bezpłatne badania profilaktyczne, podczas których klienci dowiadywali się, że ich stan zdrowia jest zły i powinni kupić aparat medyczny do terapii pulsującym polem magnetycznym niskiej częstotliwości. Ta sprzedaż była faktycznym celem pokazu. Jakby przewidując decyzję prezesa UOKiK, dziewięć dni wcześniej firma Radnar dokonała zmiany w KRS i ze spółki z o.o. przekształciła się w spółkę komandytową, kapitał zakładowy ma równy zero, a ponadto jest w stanie likwidacji. Decyzję prezes wydał więc sobie a muzom, bo ani grosza z tej firmy nie uda się uzyskać.

Tomasz Bartoszak: – Zastanawiam się, według jakiego klucza są wybierane firmy, w których UOKiK przeprowadza kontrole i które w konsekwencji są karane. Przecież to kuriozalna sytuacja, że tak potężna firma jak Philipiak, która na jednym pokazie uzyskiwała dochód w wysokości 30 tys. zł, dostała karę w takiej właśnie kwocie. A jakieś nieduże spółki dostały wielomilionowe kary. Oczywiście to dobrze, że prezes UOKiK ukarał kolejne firmy. Ale obawiam się, że nawet złotówka od nich nie wpłynie.

Ewa Smolińska-Borecka

eprasa.pl 102024b1cf

Prawie język

Mam wrażenie, że lewicy o wiele łatwiej atakuje się liberałów, a o wiele trudniej PiS

Rozmawia Roman Kurkiewicz

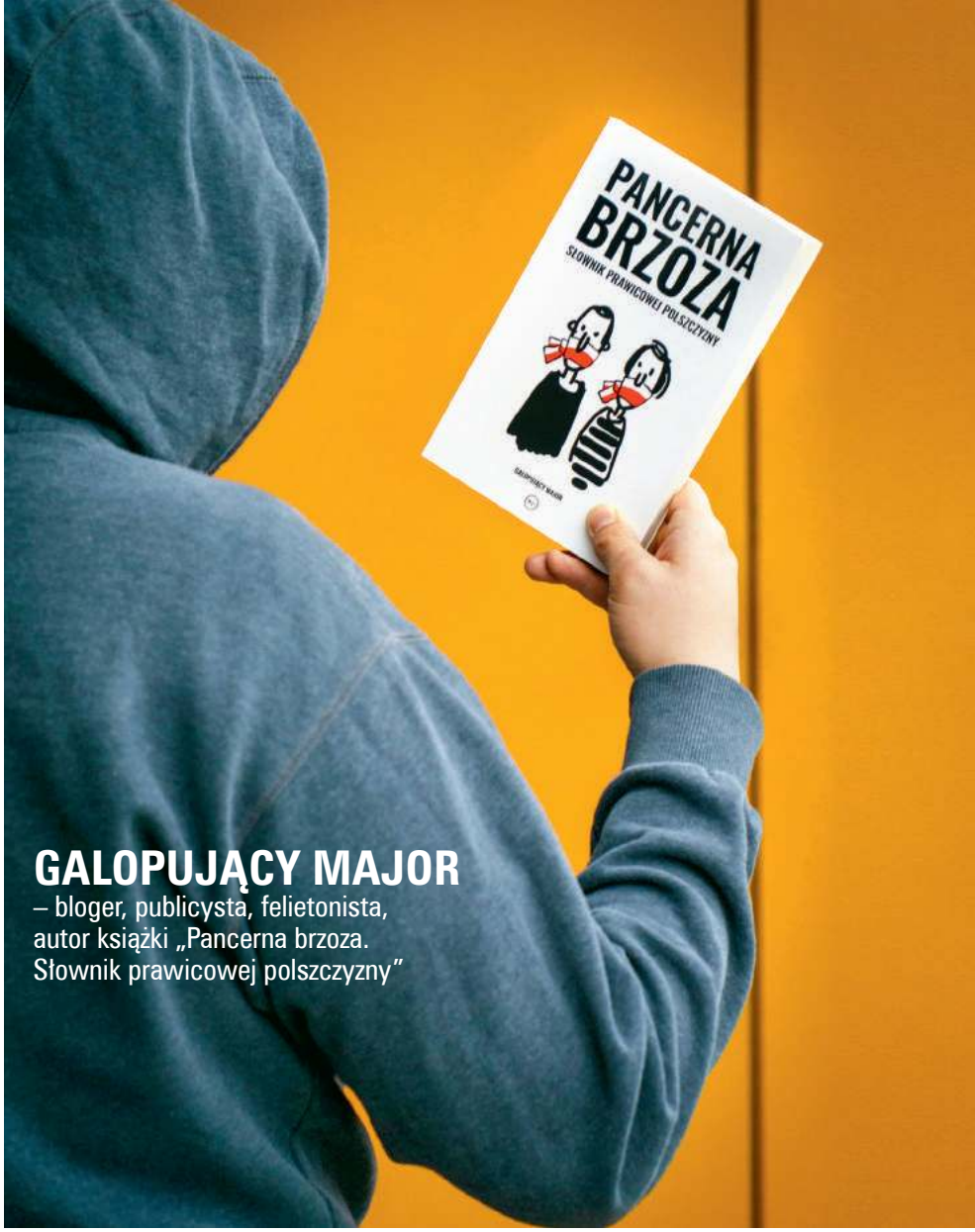

GALOPUJĄCY MAJOR
– bloger, publicysta, felietonista, autor książki „Pancerna brzoza. Słownik prawicowej polszczyzny"

W „Pancernej brzozie" zająłeś się językiem, który pochodzi z odmętów internetu, ale bardzo mocno wszedł do prawicowej publicystyki, a dzisiaj mówi nim władza.

– Śledzę to od 2005, 2006 r. Zacząłem publikować w portalu Salon24.pl, który był matecznikiem tego języka. Wtedy jeszcze wydawało się, że będzie to język niszowy, taka specyfika języka blogowego. Ten język powstał oddolnie, dzięki internautom. Fenomen Salonu24.pl polegał na tym, że było to wyjątkowe blogowisko, w którym po raz pierwszy w tak dużej liczbie znaleźli się i amatorzy, i zawodowi publicyści – co ważne, z różnych części politycznego spektrum. Początkowo wydawało się, że będzie tam pewien pluralizm. Niestety, siła prawicowego języka i hejtu przeważyła. Większość osób o poglądach innych niż prawicowe po prostu stamtąd uciekła.

Ja uciekłem.

– Jednak prawicowi publicyści zostali i nasiąknęli tym językiem. Potem przenieśli go do swoich tygodników opinii. O ile „Gazeta Polska" ten język już miała, zanim powstał Salon24.pl, o tyle wydaje mi się, że „Uważam Rze", „wSieci"/„Sieci" czy „Do Rzeczy" to były i są typowe tygodniki, w których sposób formułowania myśli, komunikacji z odbiorcą dopiero od dekady bazuje na pewnym wspólnym kodzie językowym. A on został wytworzony przede wszystkim w Salonie24.pl. Po przejęciu władzy przez PiS ten język przeniknął do TVP.

Trzeba docenić, że udała im się taka operacja, która zmieniła technologię debaty politycznej.

– Oczywiście, że tak. Jeśli nie odniesiesz sukcesu, nikt o tobie nie będzie pisał książek.

A tu mamy książkę.

– Poświęciłem czas, żeby te hasła zebrać i opisać. Swoją drogą polska prawica wykonała i wykonuje ogromną językową robotę, i to za darmo. Pewna część świata internetowego ciągle dostarcza oddolnie nowych słów. Wynika to po prostu z tego, że prawica przez wiele lat czuła się osaczona, zdominowana przez język, ona nazywa go lewackim, ale był to oczywiście język liberalny, centro-liberalny.

Ciepłe, socjaldemokratyczne kluchy...

– Nie, nawet nie socjaldemokratyczne, chadeckie właściwie. I w wyniku tego oporu prawicowcy stworzyli własny język, własny kod komunikacyjny. Coś, czego nie mieli liberałowie i co dopiero się tworzy w środowisku zwolenników PO, a czego nadal nie ma lewica, chociaż bardzo się stara. Rzeczywiście to jest historia sukcesu, który jest groźny, ponieważ prawica po prostu dokonuje takiego „ramowania" umysłu. Pierwszy z brzegu przykład: zaczynamy rozmawiać o uchodźcach w kategoriach bardziej merkantylnych, w kategoriach celowościowych, a nie w kategoriach współczucia i empatii.

Kiedy tuż przed wyborami Koalicja Obywatelska ogłosiła listę stu zarzutów wobec PiS i jego afer, umieściła na niej także zapis, że PiS sprowadziło do Polski rekordową liczbę muzułmanów.

– Platforma się przepoczwarza. Kiedyś była partią w pewnym stopniu

eprasa.pl 102024b1cf

zatroskaną o stan państwa albo przynajmniej to udawała. Natomiast teraz idzie mocno w populizm liberalny. Chce mieć język tak skuteczny jak pisowski. Takie zjawiska jak portal SokzBuraka czy Klaudia Jachira pokazują, że PO naśladuje PiS i chce mieć swoich „hejtjęzykoznawców". Platforma również chce mieć swój, i to jest chyba najciekawsze, wyrazisty język. Na Twitterze pojawiają się pierwsi liderzy liberalnej opinii. To idzie dokładnie w tę samą stronę. Pewna nienawiść klasowa czy klasizm weszły już do języka liberalnego. W ten sposób PO, czy raczej jej sympatycy dają mi materiał na drugi tom „Pancernej brzozy" a może „Pancernych pińcset plusów".

W książce są dziesiątki haseł.

– Wydawca dał mi całkowitą swobodę. Dla tych, którzy siedzą głęboko w internecie, ta książka może być mało odkrywcza, bo oni to wszystko znają. Ale moim zdaniem powinien ją przeczytać każdy polityk, który ma iść do studia i rozmawiać z kimś z prawicy.

Widzimy, że język, którego narodziny obserwowałeś w „psychiatryku", jak nazywano Salon24.pl, jest dzisiaj językiem nowych elit.

– Językiem władzy.

Propagandy?

– Tak, ale spójrzmy w stronę lewicy, która zaniechała używania języka pełnego złośliwości, satyry, humoru. Lewica w Polsce ma cały czas problem z wyjściem z okresu dojrzewania i wejściem w dorosłość. Jeżeli jesteś dorosły, masz własny język, którym zaczynasz mówić, i nikogo się nie boisz. Jeżeli chcesz atakować – atakujesz liberałów; jeżeli atakujesz PiS – jesteś w wiecznym sporze z liberałami, bo to określa lewicowość, z drugiej strony jesteś w wiecznym sporze z PiS. Mam wrażenie, że w ostatnich latach lewicy o wiele łatwiej atakuje się liberałów, a o wiele trudniej PiS. Nie chodzi tylko o 500+, żeby było jasne, czyli kwestie transferów socjalnych.

PiS wyciągnęło lewicy spod nóg dywan społecznych, realnych decyzji politycznych.

– To oczywiste. Pomysł na partię Razem był idealny na pierwsze PiS, tamto z lat 2005-2007. A tu nagle PiS ukradło Razem socjal, a liberałowie – agendę wolności obyczajowej. Przy czym nietrudno zauważyć, że politycznie liberałowie są ostatnio nieudacznikami. Dlatego łatwo krytykować liberałów. Oni sami się podkładają, a na pochyłe drzewo już byle koza skacze. Nie wiem, czy to cecha naszego społeczeństwa, ale łatwo nam kopać słabszego, oczywiście usprawiedliwiając się przed sobą, że on nie jest słabszy. W tym momencie liberałowie są słabsi i lewicy jest stosunkowo łatwo wyśmiewać się z nich.

Prawica stworzyła własny język, własny kod komunikacyjny. Coś, czego nie mieli liberałowie.

Ale stoi za nimi globalny kapitalizm.

– Uważam, że trzeba dosadnie, politycznie krytykować partie liberalne, sam kapitalizm to już inna kwestia. Nie krytykujemy przecież z taką łatwością kapitalizmu, on jest ogromny, za to łatwiutko krytykujemy Lisa czy Neumanna. Z drugiej strony prawdziwym przeciwnikiem jest PiS. A lewica cały czas ma problem z tym, że trzeba się dobrać do PiS i go rozłożyć, bo to jest główny cel. Liberalizm jest ideologią schodzącą ze sceny.

Nazwałbyś to hipokryzją?

– Bardziej wygodnictwem. Hipokryzja z kolei jest bardziej widoczna po prawej stronie, bo jest glebą, na której wyrasta cynizm, cynizm polityczny, w Polsce przede wszystkim prawicowy. Kiedy czasem rozmawiam w sieci z prawicą, to oni nawet nie ukrywają tego, że są cyniczni.

PO naśladuje PiS. Pokazują to takie zjawiska jak portal SokzBuraka czy Klaudia Jachira.

Taki świadomy wyborca pisowski, zaangażowany, który tworzy ten język, gardzi pisowskim elektoratem jeszcze bardziej niż innym. W Polsce najbardziej elektoratem PiS gardzi Mateusz Morawiecki. Nie ma drugiego takiego polityka, który potrafi przyjść i z poważną miną opowiadać, że jako prezes banku nie dawał kredytów frankowych, podczas gdy absolutnie wiadomo, że dawał. Nie ma takiego zdania, którego on by nie wypowiedział.

Najpierw mówi: nie dawałem. Przyparty faktami: no dobra, dawałem, ale mało. Na miano Pinokia uczciwie sobie zasłużył.

– Ja sobie nie wyobrażam takiej skali zakłamania wobec własnego elektoratu na lewicy.

To nie wygramy.

– Może i tak. Co ciekawe, nie wyobrażam sobie takiego zakłamania nawet u liberałów. Na tym polega istota PiS, ponieważ to jest partia populistyczna, to nie jest partia faszystowska, to jest partia prawicowego populizmu, nacjonalistycznego populizmu. A będąc populistą, musisz gardzić ludźmi, ponieważ uważasz, że są głupi i wmówisz im cokolwiek, wszystko, co będą chcieli usłyszeć. Tutaj wracamy do języka. Mam wrażenie, że skoro prawica ma spójny język i ten język wytwarza bardzo szybko uzasadnienie, to prawica lepiej wypada w mediach, zwłaszcza jeżeli chodzi o szybkie wywiady. No i pyskówki.

To prosty język, sprowadzanie wszystkiego do prostych tez, prostych słów, prostych znaków, symboli.

– Tak. Kto z prawicy nie radzi sobie w prawicowych mediach? Ci, którzy próbują przemawiać językiem wartości.

I racjonalnie.

– Albo, co najgorsze, próbują niuansować. Jeżeli prawicowiec, pisowiec zaczyna niuansować – przegrywa. Oni mają proste żołnierskie reguły: maszeruj albo giń, kłam albo milcz, musisz być pewny siebie. Idziesz w zaparte, kłamiesz.

Nauczyli się tego w sieci?

– Internet polityczny to inny świat. Trzeba osobiście tego doświadczyć. Jeżeli jesteś przez ileś lat w internecie, mało co cię zaskoczy, mało kto może cię obrazić i poruszyć. Ja nie mam z tym żadnego problemu, mnie obelga już nie wzrusza. Natomiast kiedy np. Olga Tokarczuk dostaje groźby lub dotyka ją hejt – jest bezradna. Powinna wiedzieć, że tego się nie czyta, nie otwiera, nie dyskutuje, bo to nie grecka agora. Dla kogoś niedoświadczonego, kto uważa, że internet jest po to, żeby dyskutować, wejście

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 102024b1cf

w dzisiejszy internet będzie groźne. Przykładem takiej osoby jest wielce przeze mnie ceniony Rafał Woś. Mam wrażenie, że on cały czas postrzega internet tak, jak to było 10-15 lat temu. Nie idziesz do internetu dyskutować. Do internetu idziesz przedstawić swoją rację, wygrać debatę, to pojedynek, a nie żadna dyskusja.

Brałem jakiś czas temu udział w debacie „radykalnych" środowisk lewicowych, nie pamiętam żadnej radykalnej tezy. Daliśmy się zapędzić do ogródka jordanowskiego?

– Tak.

A tam chłopaki z prawicy przychodzą z kijami i z maczetami.

– Tak, nie ma symetrii. Jednocześnie to może być paradoksalnie plusem, dlatego lewica ma szanse.

Elektoratem PiS najbardziej gardzi Mateusz Morawiecki.

Sporo się mówi o hejcie, a ilu znasz hejterów lewicowych? Lewica nawet nie ma hejterów. Prawica ma, liberałowie mają, lewica nie ma. Do wszystkich tekstów, felietonów jest robiony dwa razy większy *research*, bo każdy nawet nie tyle się boi, ile chce pokazać, że my na lewicy też potrafimy rozmawiać naukowo. A przychodzi Ziemkiewicz czy inny Warzecha, wali jakieś absurdalnie idiotyczne tezy i jest zadowolony z siebie, że wygrał debatę. Istotą prawicowości jest egoizm i bazowanie na emocjach, a my chcemy bazować na naukowości, współczuciu. Sami sobie tak wysoko zawiesiliśmy poprzeczkę. Bardzo dużo sobie obiecuję po wejściu lewicy do Sejmu. Jeżeli nie potrafimy mówić na emocjach, nie stać nas na własny język oburzenia i sprzeciwu, to mówmy chociaż merytorycznie. Może to droga, którą jesteśmy w stanie trafić do serc ludzi. A w dalszej kolejności trzeba mieć własne media. Żeby mówić własnym językiem, spotykać się z własnym środowiskiem, dać mu głos. Bo dzisiaj za najbardziej radykalne ruchy lewicowe w Polsce uważane są te, które blokują eksmisje. To postawa zasługująca na ogromny szacunek, ale gdzie jej do radykalnego komunizmu! Ba, empatyczny Ikonowicz staje się największym komunistą, bo dyskurs jest tak bardzo na prawo.

Ma być prosto, jest najprościej. Za wypadki samolotów, przemoc na przedmieściach, przegraną w wyborach, zmianę poglądów odpowiadać może tylko jedno zdarzenie, odpowiednio: brzoza, islam, oszustwo wyborcze, zmiana wajchy...

– Tak, to jest istota antynaukowości. Ma być prosto, jak krowie na rowie. Samolot, co tam samolot, skrzydło o drzewo nie może się rozwalić, brzoza nie jest pancerna i koniec. To się bierze również z tego, co czyta prawica. Ja nie uważam, że prawica w ogóle nie czyta. Czyta. Ale byłeś kiedyś na targach książki historycznej? To są wspaniałe poznawczo targi, bo pokazują, co prawica czyta. 80-90% publikacji jest związanych z historią prawicową, XX w. Oglądam ostatnio z synem serial na kanale Da Vinci i tam pokazują XIX-wieczny kapitalizm. Pokazane są dzieci w fabryce, wyzysk. Wyobrażasz sobie taki program w Polsce? A mój syn w szkole czyta znowu o powstaniu warszawskim. Prawica czyta głównie historię zawężoną do XX w., stalinizmu, hitleryzmu. Nie mamy polskiego Faulknera, nie ma książek, które są w stanie pokazać winę za wykorzystywanie ludzi przez wiele wieków. Nikt nie nazywa pańszczyzny niewolnictwem. Tymczasem wolność dostaliśmy z rąk ruskiego cara, uwłaszczenie chłopów było jednym z najważniejszych wydarzeń historycznych w ciągu ostatnich 150 lat. Prawica zaś utożsamia się ze średniowieczem rozumianym jako życie rycerza. Nie rozumieją, że żyliby jak niepiśmienni chłopi – do trzydziestki i do piachu.

Prawica nie boi się samej lewicy; boi się lewicowych obrazów i przedstawień, lewicowej kultury.

Jarosław Gowin został kiedyś sportretowany w komiksie jako rycerz, jego prawdziwym marzeniem było bycie rycerzem.

– Tak. Oni średniowiecze rozumieją w ten sposób: rycerstwo, białogłowy i mnisi, bo wtedy uratowano całą cywilizację chrześcijańską. Wyobrażają sobie samych siebie jako średniowieczną elitę, ten 1% najbogatszych. A tymczasem PRL jest zupełnie nieopisana i nieprzemyślana. Same klisze. Okres 20-lecia nie jest pokazany jako dominacja olbrzymiej biedy, olbrzymiego wyzysku, a bez tego niczego nie zrozumiesz.

Jest książka Filipa Springera, która pokazuje II RP z punktu widzenia mieszkalnictwa, niewyobrażalnej biedy.

– Bodajże Słonimski opowiadał, że przedwojenna Warszawa śmierdziała moczem.

Były hasła, które sprawiły ci wyjątkową przyjemność?

– Tak. Hasło, które sprawiało mi przyjemność, to dobro dzieci. Ta sama 16-latka może urodzić dziecko, powinna mieć bierzmowanie, ale nie ma prawa zrobić strajku klimatycznego. Hasło feminizm kończy się tam, gdzie trzeba wnieść lodówkę. Żaden mężczyzna dzisiaj nie wniesie lodówki, znasz takiego? Bardzo lubię hasło kodomita, kodorasta, bo pokazuje, że ta nienawiść zaczyna być momentami wręcz komiczna.

Homofobia...

– Z jednej strony, to jest tragiczne, z drugiej – bardzo śmieszne. Trzeba zrozumieć, że prawica nienawidzi homoseksualistów ze względów estetycznych. Prawicowa publicystyka wmówiła im, że jak słyszysz homoseksualista, to myślisz: „seks analny", zaczynasz sobie go wyobrażać i to ciebie jako prawicową, heteroseksualną osobę odrzuca. Natomiast jak myślisz: heteroseksualista, to już nie myślisz o seksie np. brzydkiej pary, w ogóle nie myślisz o seksie. Najśmieszniejsze jest hasło: „LGBT zagraża rodzinie". Wtedy zawsze pytam, w jaki sposób zagraża. Jeżeli mieszkasz ze swoją żoną, naprzeciwko wprowadzi się para homoseksualna, to czy przestaniesz kochać żonę? Jest coś, co jest bardzo ciekawe i co również widać w tej książce: to są lęki prawicy przed popkulturą. Oni wiedzą, że to ich największy wróg i nie są w stanie sobie z nim poradzić. My jako lewica też nie. Wszystkie ich próby filmowe czy literackie, działania na rynku artystycznym to kompletna porażka – w tym komercyjna. Co powoduje, że oni nie boją się samej lewicy; boją się lewicowych obrazów i przedstawień, lewicowej kultury.

Roman Kurkiewicz

eprasa.pl 102024b1cf

Z Galicji

Jan Widacki

Sędziowie

Dawno nie mówiło się o sędziach tyle co teraz. Dla jednych to kasta, dla drugich – ostatni bastion demokracji w Polsce. Sto razy już powtarzałem, że nawet najlepiej funkcjonujący wymiar sprawiedliwości z natury rzeczy produkuje każdego roku ponad milion niezadowolonych. W sprawach cywilnych i gospodarczych, gdzie z definicji połowa musi przegrać (by druga połowa mogła wygrać), wszyscy ci, którzy przegrali, są z reguły niezadowoleni z sądu. W sprawach karnych jeszcze gorzej – niezadowoleni są wszyscy skazani. Uważają, że zostali skazani albo niewinnie, albo za surowo. Podobnie sądzą ich najbliżsi. Pokrzywdzeni też na ogół są niezadowoleni, bo ich zdaniem wyroki skazujące były za łagodne. Tym niezadowoleniem można dowolnie administrować. To jest łatwe. Ale wykorzystywanie tego niezadowolenia, potęgowanie go, co z upodobaniem robią od lat Ministerstwo Sprawiedliwości, politycy PiS i cała machina propagandowa publicznych mediów, jest niszczeniem nie tylko wymiaru sprawiedliwości, ale także autorytetu państwa, obniżaniem i tak niskiej kultury prawnej społeczeństwa.

Od kilkudziesięciu lat z różnych pozycji obserwuję funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości. Jako naukowiec, jako biegły, jako adwokat, a nawet przez pewien czas IV RP jako podsądny.

Wymiar sprawiedliwości w Polsce oceniałem zawsze krytycznie i uważałem, że wymaga on naprawy. Podstawowym jego problemem jest nie powszechnie podnoszona przewlekłość postępowań, ale niska jakość wymierzanej sprawiedliwości. Sędziom generalnie brakuje wiedzy z nauk sądowych, często nie potrafią zrozumieć ani krytycznie ocenić opinii biegłych. Dla niektórych każda opinia biegłego, nawet brednia, byle sformułowana językiem pseudonaukowym (szczególnie nisko kłaniam się biegłym psychologom), jest świętością niepodlegającą dyskusji. Ale przede wszystkim sędziom brakuje doświadczenia życiowego. U nas sędzią z zasady zostaje się po studiach i odbytej zaraz po nich aplikacji. Młodzi ludzie, zanim zdążą poznać życie, na ogół wcześniej upewniają się o swojej nieomylności, którą błędnie wyprowadzają z niezawisłości. Poza tym sędziowie czytają niewiele literatury fachowej. Być może nie mają na to czasu, ale faktem jest, że na ogół nie czytają. Piszę tu o statystycznym sędzi. Zdarzają się wśród nich ludzie wybitni, którzy imponują wiedzą, doświadczeniem, kulturą. Ale, niestety, to wyjątki.

To, co PiS nazywa reformą, a wiceszefowa Komisji Europejskiej Věra Jourová „reformą dokonywaną za pomocą łomu", nie likwiduje żadnej z wad wymiaru sprawiedliwości. Ta pseudoreforma uderza w niezawisłość sędziów i niezależność sądów. Jak PiS ją dokończy, będziemy mieli tak samo słabych fachowo sędziów i tak samo źle zorganizowane sądy, a w dodatku będziemy mieli sędziów dyspozycyjnych, zależnych od władz politycznych, a kierować będą nimi rozmaite kreatury, awansowane w ostatnim okresie na prezesów sądów.

Jedyna pociecha, że kiedyś, kiedy PiS wreszcie straci władzę, jego liderzy będą oskarżani przez dyspozycyjnych – tym razem wobec nowej władzy – prokuratorów i sądzeni przez oglądających się na nową władzę sędziów. Prędzej czy później to się stanie. Może nawet później niż prędzej, ale przecież kiedyś nastąpi! Nastąpi, bo nastąpić musi.

Środowisko sędziowskie niby broni solidarnie swojej niezawisłości i niezależności sądów, a więc fundamentów demokracji i państwa prawa. Heroicznie zachowują się liderzy stowarzyszeń sędziowskich Iustitia czy Themis. Solidarnie i dzielnie wspiera ich środowisko adwokackie (brawo Naczelna Rada Adwokacka!), a nawet prokuratorskie zrzeszone w Lex super omnia. Ale jak zachowuje się ogół sędziów? Prywatnie wszyscy (no, niemal wszyscy) są solidarni, krytykują pseudoreformę. Ale jak orzekają? Na wszelki wypadek, żeby nie podpaść ministrowi i rządowym mediom, orzekają kary surowsze niż dotychczas. Wystarczy wziąć do ręki urzędowe statystyki. Za zabójstwo w Polsce grozi kara od 8 do 15 lat pozbawienia wolności, 25 lat pozbawienia wolności albo kara dożywotniego pozbawienia wolności. Do niedawna sądy orzekały za zabójstwo kary między 12 a 15 lat pozbawienia wolności, wyjątkowo karę 25 lat pozbawienia wolności, a w mniej niż 3% spraw karę dożywocia. Dziś za zabójstwo zapadają niemal wyłącznie kary 25 lat pozbawienia wolności lub dożywotniego pozbawienia wolności. Sędziowie boją się, że jeśli orzekną karę zdaniem ministra zbyt łagodną, zbeszta ich na kolejnej konferencji prasowej lub naśle na nich rzecznika dyscyplinarnego. Z tych samych względów boją się dziś uniewinnić, uchylić areszt, złagodzić środki zapobiegawcze. Za parę lat za pomocą statystyki kryminalnej obiektywnie zmierzymy nieugiętość sędziowskich postaw.

Mnie to nie dziwi. Żyję już dostatecznie długo, dostatecznie długo zajmuję się prawem i naukami społecznymi, by wiedzieć, że postawy ludzi, postawy poszczególnych grup społecznych i zawodowych, w tym sędziów, rozkładają się zawsze według krzywej Gaussa. Tyle samo jest herosów, ile kanalii. Jedni i drudzy stanowią marginesy. Większość (kilkadziesiąt procent!) znajduje się pośrodku. Chce spokojnie przeżyć. Stara się nie podpaść żadnej ze stron, lawiruje; jak nie musi zrobić świństwa, to nie zrobi, chyba że ze strachu albo na polecenie. W dodatku zawsze to sobie jakoś zracjonalizuje. Ten jest Konradem Wallenrodem, tamten wybrał mniejsze zło, ów przyjął stanowisko, aby nie objął go ktoś gorszy.

Bardzo mnie jednak interesuje, z naukowego punktu widzenia, wyobraźnia takich sędziów Schabów, Radzików, Nawackich, tych zasiadających w pseudo-Izbie Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego, w neo-KRS albo w pseudo-Trybunale Konstytucyjnym. Na razie są pieszczochami PiS. Ale jak wyobrażają sobie swoje życie i kariery, gdy PiS kiedyś straci władzę? Czy nie boją się ostracyzmu środowisk, do których będą musieli wrócić, tych, których opinie mają dziś w pogardzie?

Czy na pewno są przekonani, że PiS będzie rządziło do końca świata? Optymiści. W sumie to mi ich nawet żal.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 102024b1cf

Przemysław Staciwa

Nie liczy się wiek, liczy się serce

W Łodzi jest najwięcej porzucanych dzieci. Wolontariuszki dają im szansę na lepsze życie

Dom Dziecka nr 5 przy ulicy Małachowskiego. Ładne, odnowione wnętrza. W kilku miejscach powieszono plakaty. Na jednym kobieta z dzieckiem na rękach. Obok wózek dla bliźniaków. Jesienna aura, spadające liście. Podpis pod zdjęciem: „Bo wolę pomagać dzieciom, niż nudzić się na emeryturze. Gdy widzę, jak pięknieją, to czuję, że robię coś naprawdę dobrego". Na innej fotografii roześmiane starsze małżeństwo z trójką dzieci podczas posiłku: chłopiec bawi się pluszakiem z najmłodszym, siedzącym w dziecięcym foteliku, dziewczynka się przypatruje. „Bo chcemy sprawiać, by smutne dzieci zmieniały się w radosne. Wtedy ta radość nam się udziela". Jest jeszcze kilka innych fotografii. Wszystkie składają się na wędrującą wystawę, która jest kolejną odsłoną kampanii „Rodzina jest dla dzieci". Wolontariuszki i urzędnicy chcą dać szansę na lepsze życie maluchom, dla których los nie okazał się łaskawy. W poprzednich edycjach głosu i twarzy udzielili ludzie kultury i sportu, m.in. Urszula Dudziak, Tomasz Kot, Olga Tokarczuk, Piotr Fronczewski.

Fot. Małgorzata Dulasca

W korytarzach i pokoikach domu dziecka nie widać podopiecznych. Zebrali się dorośli. – Dzieci, które trafiły do pieczy zastępczej, zasługują na to, by odmienić ich los – mówi wiceprezydent Łodzi Adam Wieczorek. – Dlatego jest ta kampania.

Wiceprezydent przekonuje, że wszystko zmierza ku lepszemu, chwali obecnego zastępcę dyrektora łódzkiego MOPS, Piotra Rydzewskiego. Od kiedy Rydzewski rozpoczął swoją reformę, liczba dzieci przebywających w niespokrewnionych rodzinach zastępczych zwiększyła się o prawie jedną trzecią. Dzięki temu opuściły domy dziecka. – Na plakatach są panie, które zajmują się m.in. noworodkami. Dzieci bezpośrednio ze szpitala trafiają do pani Hani, która dba o to, by w dobrych warunkach dotrwały do adopcji – tłumaczy Piotr Rydzewski.

Pełne ręce roboty

Liczby mogą zatrważać. W samej Łodzi domy straciło niemal 1,8 tys. dzieci, z tego w zinstytucjonalizowanych domach dziecka mieszka obecnie pół tysiąca. Połowa nie skończyła jeszcze 10 lat. Jedno na 63 urodzone jest porzucane, interwencyjnie odbierane lub pozostawiane na pastwę losu. Rozmówcy przytaczają kilka historii. Maleńką Basię matka zostawiała samą na całe noce, w trakcie napadów szału potrafiła rzucić dzieckiem o ścianę. Basia, zanim doszła do siebie w nowej rodzinie, godzinami płakała wniebogłosy. Czteroletnia Kasia została zabrana z domu przez policję. Dziecko było wykorzystywane seksualnie przez sąsiada biologicznych rodziców.

– Te dzieci, które do mnie trafiały w wieku szkolnym, nigdy nie miały zeszytów, książek. W śmietnikach szukały czegoś do jedzenia dla młodszego rodzeństwa. Chodziłam na policję, bo były łapane przez funkcjonariuszy. To są istoty, które miały piekielnie trudne początki, czasem ledwie można to sobie wyobrazić – opowiada łamiącym się głosem jedna z bohaterek kampanii, Hanna Kraśnicka, wolontariuszka pogotowia rodzinnego. Właśnie do pani Hanny trafiają noworodki. – Ode mnie ponad siedemdziesiątka dzieci poszła już do adopcji. Niedawno zostałam opiekunem prawnym chłopczyka, który jest ze mną na zdjęciu. Od roku czeka na ukochany dom. Naszą bolączką są sądy, które ponaglamy, by pośpieszyły się ze sprawami formalnymi, bo dla dzieci każdy dzień jest ważny – przekonuje.

Małgorzata Wilanek od ponad dziewięciu lat jest pogotowiem rodzinnym. – Niestety, nie mamy takich wyników jak Hania. Wychowaliśmy tylko osiemnaścioro dzieci. Z reguły trafiają do nas dzieci starsze, choć bywają też maluchy. W tej chwili opiekujemy się z mężem czwórką dzieci. Dwójka maluchów, a dwójka w wieku szkolnym. Pełne ręce roboty. Widzimy, jak te dzieci się zmieniają, jak zaczynają nam ufać, wielką radość sprawia widok pierwszego uśmiechu. Przez te dziewięć lat tylko raz malec wrócił do biologicznej rodziny. Zazwyczaj są to adopcje. Obecnie opiekujemy się dzieckiem, którego mama poważnie zachorowała. Trzymajmy wszyscy kciuki, bo

Wolę pomagać dzieciom, niż nudzić się na emeryturze.

eprasa.pl 102024b1cf

niebawem przechodzi ciężką operację – głos grzęźnie jej w gardle.

Trzy pokolenia w domu dziecka

Pytam moje rozmówczynie, dlaczego w Łodzi jest tak duży odsetek porzuconych dzieci, niemal trzykrotnie wyższy niż w Krakowie. – Łódź to specyficzne miasto. Właśnie tu jest statystycznie największe spożycie alkoholu na głowę. To też jedyny w Polsce przypadek, gdy okoliczne wsie zaniżają spożycie alkoholu. Wszędzie jest odwrotnie. Łódzkie matki piją bardzo dużo. Przez 15 lat, gdy zajmuję się dziećmi, wielokrotnie z tego powodu odbierano kobietom prawa rodzicielskie – mówi Hanna Kraśnicka. Jej słowa w dużej mierze potwierdza Piotr Tublewicz, społecznik ze Stowarzyszenia Tak! Dla Łodzi, zajmujący się przeciwdziałaniem alkoholizmowi. – Widzę tutaj kilka czynników. Po pierwsze, nie wydaje mi się, by lokalna komisja alkoholowa odpowiednio często prowadziła kontrole sklepów z alkoholem. Po drugie, w Łodzi dużą część tzw. funduszu korkowego, mającego przeciwdziałać problemowi alkoholizmu, wykorzystuje się na zajęcia sportowe. Nie jest to profilaktyka *sensu stricto*, o czym świadczą wyniki przeprowadzanych badań.

Piotr Rydzewski: – Zmagamy się z poważną sytuacją. W wielu przypadkach mamy do czynienia z tzw. dziedziczeniem pieczy. To znaczy, że rodzice dzieci przebywających w pieczy zastępczej sami doświadczyli tego w dzieciństwie. W jednym domu dziecka jest rodzeństwo, którego i matka, i babcia spędziły dzieciństwo w tym samym miejscu. Trzypokoleniowe dziedziczenie.

Nazywa mnie drugą mamą

Członkinie pogotowia rodzinnego zwracają uwagę na to, co ich zdaniem może być przeszkodą w tworzeniu nowych rodzin zastępczych. – Mam apel do władz miasta. Nie pozyskamy tych rodzin, jeśli stawki pozostaną tak niskie. Miasto musi zainwestować, bo młodym ludziom nie zaimponuje się stawką 4 zł na godzinę. Trzeba mieć dużo miłości w sobie, by pomagać dzieciom, ale bez wsparcia finansowego nie można tego robić na odpowiednim poziomie – mówi Małgorzata Wilanek.

Funkcjonowanie pieczy zastępczej zapewnia samorząd. Miasto przekazuje rodzinom niespokrewnionym wynagrodzenie, a jednocześnie na ich konta wpływają dodatkowe fundusze za opiekę nad konkretnym dzieckiem. Wywołany do odpowiedzi wiceprezydent Łodzi tłumaczy: – Z pewnością miasto odpowiada za dobre warunki funkcjonowania rodzin niespokrewnionych. W zeszłej kadencji zwiększyliśmy wynagrodzenie. W tym roku też jesteśmy po pierwszych spotkaniach z przedstawicielami rodzin zastępczych w kwestii dalszego zwiększenia nakładów finansowych.

W Łodzi domy straciło prawie 1800 dzieci, 500 mieszka w domach dziecka. Połowa nie skończyła jeszcze 10 lat.

Pytam, czy w najbliższych miesiącach stawki się zmienią. – Jak zawsze w wypadku rozmów negocjacyjnych musimy wypracować konsensus. Możliwości miasta są ograniczone, ale na pewno uda nam się porozumieć – twierdzi wiceprezydent Wieczorek.

Urzędnicy wspominają, że miasto podejmuje także inne działania pomocowe. Rodziny sprawujące pieczę zastępczą mogą dostać rzeczy przydatne w opiece nad dziećmi, takie jak foteliki czy przybory do nauki. Magistrat pomaga rodzinom zastępczym również w przygotowaniu świątecznych prezentów dla podopiecznych. Dopytuję, czy stawka 4 zł za godzinę jest prawdziwa. – Nie przeliczałem tego na godzinę, może rodzice przeliczają na całą dobę, na cały miesiąc. Wtedy równie dobrze można podzielić średnią krajową i też zapewne wyszłyby z tego marne pieniądze. Nie w ten sposób to liczymy – broni się wiceprezydent.

Cisi bohaterowie opiekujący się porzuconymi dziećmi to w dużej mierze seniorzy i seniorki. Dla tych, którzy nie czują się na siłach opiekować się maluchami przez całą dobę, powstał program „Senior-Junior". Chodzi w nim o to, by seniorzy przekazywali pozytywne wzorce młodzieży w wieku 16-18 lat, która opuszcza instytucje opieki zastępczej i jest zagrożona wykluczeniem społecznym. Anna: – Niesamowita sprawa! Julka nazywa mnie swoją drugą mamą, a mnie zawsze wtedy brakuje słów. Ci młodzi ludzie potrzebują wsparcia na początku dorosłego życia. My, seniorzy, mamy bagaż doświadczeń, którym możemy się podzielić. Niech ta informacja dociera do jak największej liczby seniorów, bo oni naprawdę chcą pomagać, ale nie zawsze wiedzą o takich możliwościach jak ta.

Co skłania seniorów do brania odpowiedzialności za dzieci i dorastającą młodzież? – To nie jest tak, że spotkaliśmy się i padliśmy sobie w ramiona. Obie strony na początku przeszły szkolenia. To wymaga budowania zaufania. Długo z Julią milczałyśmy. W pewnym momencie, gdy się otworzyła, powiedziała: „*Wow*!". I zaczęła wyrzucać z siebie wszystko, co było złe, a ja mogłam z nią być. To jest piękne – wspomina Anna. Hanna Kraśnicka: – Nie liczy się wiek, liczy się serce. Ja polecam to emerytom. Żeby się nie nudzili. Jest dużo spacerów, świeże powietrze, ruch, wszystko, czego potrzeba, by nie siedzieć przed telewizorem. Nie ma czasu na narzekanie i chodzenie do lekarza.

Przemysław Staciwa jest dziennikarzem Telewizji TOYA, współpracuje z „Krytyką Polityczną", kwartalnikiem „Liberté!" i OKO.press

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 102024b1cf

W związku z brexitem w Szkocji co rusz odżywają nastroje separatystyczne.

Niezjednoczone Królestwo

Mateusz Mazzini

Czy brexit i kryzys wewnątrz monarchii doprowadzą do rozpadu Wielkiej Brytanii

W piątek 24 czerwca 2016 r. Nigel Farage był w szampańskim nastroju. Lider skrajnie prawicowej, nacjonalistycznej partii UKIP należał do architektów kampanii na rzecz wyjścia kraju z Unii Europejskiej. Kiedy zatem około godz. 4 nad ranem BBC podała informację, że nie ma już nawet matematycznych szans na zwycięstwo euroentuzjastów, Farage ogłosił triumf, mówiąc, że data ta przechodzi do historii jako „Dzień Niepodległości, którego Wielka Brytania nigdy nie miała".

W jego deklaracji było aż gęsto od symbolicznych nawiązań. W sposób oczywisty grał na uczuciu dumy Brytyjczyków – spadkobierców wielkiego imperium, a przede wszystkim członków narodu, który podbił pół świata, ale sam nigdy nie został podbity. Dlatego w kalendarzu brytyjskich świąt narodowych nie ma dnia niepodległości. Brytania bowiem niepodległa, suwerenna i niezależna od innych ośrodków władzy była zawsze. Nawet z religijnej dominacji Watykanu udało się jej wyswobodzić, kiedy Henryk VIII założył krajową odnogę Kościoła. Z tego właśnie punktu widzenia przynależność Zjednoczonego Królestwa do Unii Europejskiej była aberracją. Przecież jeśli Wielka Brytania była częścią jakiejkolwiek wspólnoty, to wtedy, kiedy sama ją zakładała, jak w przypadku Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, założonej w 1931 r. Dlatego brexit miał być świętem wyspiarskiego nacjonalizmu, skierowania go na właściwe tory, odzyskania prestiżu i płynącej z niego niezależności. Zamiast tego może się okazać nożem, który ostatecznie potnie brytyjską wspólną flagę na kawałki symbolizujące poszczególne części unii. Tej brytyjskiej, nie europejskiej.

Rozwód z Brukselą może nieść wiele scenariuszy. Zwłaszcza że żadna strona nie wie tak naprawdę, na jakich zasadach będzie przebiegać rozstanie. W brytyjskiej polityce wewnętrznej, oprócz wzmocnienia pozycji Borisa Johnsona i potrzeby radykalnych zmian w upokorzonej w grudniowych wyborach Partii Pracy, oznaczać będzie jednak konieczność szybkiego skonfrontowania się z regionalnymi tendencjami prounijnymi. W końcu zarówno większość Szkotów (aż 62%), jak i Irlandczyków z północy (55,8%) opowiedziała się w 2016 r. za pozostaniem w Unii Europejskiej. W obu tych częściach Zjednoczonego Królestwa coraz mocniej pobrzmiewają pytania, dlaczego ich mieszkańcy mają ponosić konsekwencje decyzji Anglii i Walii. Szczególnie że tam brexit wywoła poważne problemy, komplikujące życie setek tysięcy osób.

W przypadku Irlandii Północnej komplikacja jest oczywista. Nieobecność Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej oznacza przywrócenie fizycznej granicy pomiędzy Republiką Irlandii a zajmującą prawie cały Ulster częścią Zjednoczonego Królestwa. W praktyce – odtworzenie

eprasa.pl 102024b1cf

nieużywanych od prawie stulecia 206 punktów granicznych, często na prywatnych posesjach lub w samym środku wiosek i miasteczek. Konieczność odprawy celnej wymusi kolejki i przyblokuje każdy z 76 mln pojazdów, które rocznie jeżdżą z północy na teren Republiki Irlandii i w drugą stronę. Z irlandzkiego punktu widzenia brexit to bardzo kosztowna zabawa – za ponad 5 mld funtów rocznie.

Boris Johnson doskonale zdaje sobie sprawę z konsekwencji gospodarczych dla tego regionu. Dlatego rozważa jeszcze inne rozwiązanie – postawienie granicy nie pomiędzy dwiema Irlandiami, ale pomiędzy Ulsterem a resztą Brytanii. W ten sposób mieszkańcy północy Zielonej Wyspy pozostaliby niejako zrzeszeni z Unią Europejską, również w imię uniknięcia nowej odsłony irlandzkiej wojny domowej. Brexit bowiem to także ryzyko rozdrapania starych ran, o czym informowali już nawet przedstawiciele niedawno reaktywowanej Irlandzkiej Armii Republikańskiej (IRA). Problem w tym, że taki scenariusz irlandzkim republikanom zapewne by się spodobał, ale rozwścieczyłby unionistów z Ulsteru, opowiadających się za utrzymaniem Zjednoczonego Królestwa. Nie mówiąc już o bardziej konserwatywnym, miejscami wręcz nacjonalistycznym elektoracie w pozostałych częściach Wielkiej Brytanii. Wreszcie praktyczne pozostawienie Irlandii Północnej we Wspólnocie Europejskiej mogłoby otworzyć drogę do zerwania jej związku z Londynem i ponownej unifikacji obu Irlandii. Scenariusz ten dawno przestał być rozpatrywany w kategoriach *political fiction*, zwłaszcza po ostatnich wyborach na Zielonej Wyspie. 8 lutego Irlandczycy wybrali nowy parlament, a w nim aż 37 posłów z kontrowersyjnej partii Sinn Féin. Ugrupowanie to, aktywne na terenie zarówno Republiki Irlandii, jak i Irlandii Północnej, dawniej miewało nawet personalne związki z IRA, a dziś na powrót wprowadza do głównego nurtu debaty publicznej temat połączenia obu państw. Idei tej niedawno poświęcił okładkę brytyjski tygodnik „The Economist", dając dowód, że jest omawiana nie tylko w Ulsterze, ale i w Londynie.

Ewentualny precedens w sprawie Irlandii Północnej przełożyłby się też na sytuację w Szkocji. Tam bowiem do jednoznacznie proeuropejskich nastrojów społecznych dochodzi również olbrzymi sukces Szkockiej Partii Narodowej (SNP) w wyborach parlamentarnych sprzed trzech miesięcy. 12 grudnia wygrała ona w cuglach, zdobywając 45% głosów i 48 miejsc w parlamencie. Dodajmy, że mowa tu o parlamencie w Londynie, tak więc szkoccy nacjonaliści mogą teraz wykrzykiwać swoje postulaty Borisowi Johnsonowi prosto w twarz. A mają je sprecyzowane i w zasadzie sprowadzające się do jednego: kolejnego referendum na temat niepodległości.

Pierwsze głosowanie w tej sprawie odbyło się w 2014 r. Już wtedy otaczała je aura nacjonalistycznego zrywu – Szkoci mieszkający na co dzień nawet w najodleglejszych częściach świata deklarowali powrót do ojczyzny na czas referendum, dążenia niepodległościowe popierali szkoccy celebryci: aktor Sean Connery i tenisista Andy Murray. Ostatecznie do rozwodu z Londynem nie doszło – unioniści zwyciężyli stosunkiem głosów 55,3% do 44,7%. Nie znaczy to jednak, że o wyjściu ze Zjednoczonego Królestwa ktokolwiek w Szkocji zapomniał. Wręcz przeciwnie. Szefowa SNP Nicola Sturgeon złożyła już formalny wniosek w londyńskim parlamencie, prosząc o przyznanie jej uprawnień do przeprowadzenia kolejnego referendum. Boris Johnson zapowiedział, że wszelkie takie próby będzie blokował, jednak brytyjscy konstytucjonaliści twierdzą, że może nie być w stanie. W najgorszym razie Wielką Brytanię czeka scenariusz hiszpański, znany z katalońskiego referendum z października 2017 r. Szkoci mogą próbować przeprowadzić głosowanie niezależnie od rządu Jej Królewskiej Mości, wpędzając w ten sposób cały kraj w okres politycznej niestabilności i społecznego chaosu.

Wreszcie nie najlepiej o szansach na przetrwanie Wielkiej Brytanii w obecnym kształcie świadczy stan jedynej instytucji, która wciąż trzyma unię razem – monarchii Windsorów. Elżbieta II, symbol trwałości i stabilności rodziny królewskiej, skończy w tym roku 94 lata i nie wiadomo, jak długo jeszcze będzie zasiadać na tronie. Wróci wówczas pytanie zadawane na Wyspach od lat. Czy jej syn, książę Karol, uważany powszechnie za zbyt mało charyzmatycznego, aby przejął tron, zrzeknie się go na rzecz starszego syna, Williama? A nawet jeśli ten scenariusz się urzeczywistni, to czy William udźwignie brzemię bycia następcą monarchini lubianej i szanowanej nawet poza Anglią?

Prof. David Edgerton, historyk z londyńskiego King's College, jest zdania, że śmierć Elżbiety może być gwoździem do trumny monarchii, choć bardziej metaforycznie niż dosłownie. Jego zdaniem przetrwa ona w niezmienionej strukturze, ale straci na ważności – politycy nie będą się tak liczyć ze zdaniem Williama, jak liczą się teraz z jego babcią. Bardziej lewicowi i centrowi wyborcy też raczej mu nie zapomną, że w konflikcie wokół rezygnacji Harry'ego i Meghan Markle z obowiązków w rodzinie królewskiej nie stanął w obronie emancypującego się brata, ale wybrał stronę właśnie apodyktycznej, konserwatywnej babci. Książę Cambridge dzisiaj coraz częściej dzieli, niż łączy Brytyjczyków. A jeśli weźmie się pod uwagę, że i tak jest najbardziej po Elżbiecie lubianym royalsem, przyszłość monarchii nie wygląda różowo.

Zjednoczonemu Królestwu naprawdę grozi więc rozpad. Pytanie tylko, czy nie będzie to rozpad naturalny. Prof. Edgerton jest zdania, że tak. W „New York Timesie" nazwał retorykę brexitowców „fantazją o wspólnym brytyjskim narodzie", która „wraz z wyjściem z Unii przestanie istnieć". Wielka Brytania zatem może znów będzie wielka, ale może przestać być brytyjska. ■

Z irlandzkiego punktu widzenia brexit to bardzo kosztowna zabawa. Za ponad 5 mld funtów rocznie.

Ewentualny precedens w sprawie Irlandii Północnej przełożyłby się na sytuację w Szkocji.

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 102024b1cf

Marcin Ogdowski

Bliskowschodnia spirala kłopotów

Jeśli turecki mur pęknie pod naporem syryjskich uchodźców, Ankara wyśle ich do Europy. A z nimi tysiące dżihadystów

Wojna w Syrii trwa już dziewięć lat. Al-Asad przetrwał najgorsze i dzięki wsparciu Iranu oraz Rosji – a pośrednio też zachodniej koalicji, której kampanii lotniczej przeciw tzw. Państwu Islamskiemu nie sposób przecenić – konsoliduje dziś władzę w zrujnowanym kraju. Jego oddziały usiłują właśnie przejąć kontrolę nad ostatnim dużym bastionem bojowników – prowincją i miastem Idlib. Zajęcie tego regionu pozwoli ogłosić zwycięskie zakończenie wojny.

I nie o samą wymowę propagandową tu chodzi. Syryjska gospodarka jest w fatalnej kondycji, pomóc jej może tylko poważny zastrzyk finansowy z zewnątrz, przy okazji odbudowy. Ale inwestorzy nie wejdą do kraju, w którym toczy się wojna. Co więcej, syryjskiemu prezydentowi kończy się czas. Gwałtowne ożywienie na linii frontu wynika z tej właśnie presji, a jej powody mają charakter ekonomiczny.

Skarbiec świecący pustkami

Przez lata Al-Asad jakoś godził finansowanie operacji militarnej przeciwko opozycji z koniecznością zapewnienia minimalnych środków do życia ludności cywilnej mieszkającej na terenach kontrolowanych przez rząd. Kłody pod nogi rzucał Damaszkowi Zachód nakładający kolejne sankcje. Pomocną dłoń wyciągnęły natomiast Teheran i Moskwa. Zwłaszcza Iran odegrał tu niebagatelną rolę, pomoc Rosji miała przede wszystkim wymiar militarny.

Sytuacja zmieniła się w 2019 r. za sprawą Donalda Trumpa, który już wcześniej zrezygnował z ugodowej polityki wobec Teheranu, prowadzonej przez administrację Baracka Obamy. W minionym roku zagrał ostro, w co uwikłała się i Polska, organizując konferencję bliskowschodnią pod dyktando Waszyngtonu. I te przywrócone, i kolejne sankcje mocno uderzyły w gospodarkę Iranu, który w efekcie musiał ograniczyć zaangażowanie w Syrii. Skutki doskonale widać na syryjskim czarnym rynku. Przed wybuchem wojny dolar wart był 45 miejscowych funtów. W latach 2011-2019 syryjska waluta, choć znacznie osłabiona, trzymała stabilny poziom – za dolara należało płacić nieco ponad 500 funtów. Od kilkunastu tygodni już 1200 funtów.

– Syria jak powietrza potrzebuje ropy, bo tereny roponośne tego kraju wciąż kontrolują Amerykanie – tłumaczy dr Wojciech Wilk, prezes Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej, które od lat pomaga ofiarom syryjskiego konfliktu. – No i żywności, szczególnie zboża i fasoli. Odkąd Teheranowi trudniej dotować Damaszek, syryjski rząd musi coraz częściej wybierać, na co przeznaczyć nieliczne już rezerwy walutowe: na import żywności czy na wysiłek wojenny.

Run na banki

Już kilka miesięcy temu Al-Asad – świadom nadchodzącego krachu – sięgnął do najgłębszych rezerw. Czyli do kieszeni uprzywilejowanych członków reżimu, biznesmenów, których majątki na wojnie jeszcze bardziej się powiększyły. Pod hasłem kampanii antykorupcyjnej zażądał od nich daniny na podtrzymanie działań zbrojnych i wykarmienie mieszkańców kraju. Al-Asadowi się nie odmawia – przynajmniej nie wprost. I tak w spiralę gospodarczych kłopotów wkręcono sąsiedni Liban.

W połowie października ub.r. w Bejrucie wybuchły antyrządowe protesty, w wyniku których Liban ma od kilku dni nowy gabinet. Najważniejszym zadaniem świeżo powołanego rządu jest uchronienie kraju przed bankructwem. Czy technokraci podołają wyzwaniu? Na to pytanie nie ma dziś jednoznacznej odpowiedzi. Oligarchiczny charakter własności kluczowych sektorów gospodarki, gigantyczna korupcja oraz

eprasa.pl 102024b1cf

Syryjscy uchodźcy zmierzają w kierunku granicy z Turcją, 5 lutego 2020 r.

niechęć do poddania się nadzorowi międzynarodowych instytucji finansowych przemawiają na niekorzyść wyłonionych pod presją ulicy reformatorów. Co gorsza, brakuje też amerykańskich dolarów, bez których Bejrut nie ma czym płacić za dostawy ropy. A że libańska energetyka jest oparta na spalaniu jej pochodnych, cierpi nie tylko ekonomia, ale i ludność.

Gdzie się podziały dolary? Cofnijmy się do polecenia Al-Asada, który nakazał biznesmenom „dobrowolne" wpłaty do budżetu. Jego efektem był run syryjskich oligarchów na bejruckie banki – biznesmeni w panice przenosili oszczędności do innych, bezpiecznych krajów. Jak to możliwe? Waluty Syrii i Libanu są wzajemnie wymienne, Syryjczycy zaś od dawna trzymają oszczędności u sąsiadów. Depozyty w funtach syryjskich wymieniono na uniwersalny środek płatniczy, w ciągu kilkunastu dni ogołacając libański system bankowy z 4 mld dol. Na domiar złego gwałtowne zmniejszenie podaży twardej waluty nie pozostało bez wpływu na reakcje Libańczyków. To oni wypłacili kolejne 2 mld dol.; wolą trzymać je u siebie niż w bankach. Byśmy dobrze zrozumieli skalę zjawiska – 6 mld dol. stanowi ponad 10% PKB Libanu. Przenosząc to na realia Polski – to tak, jakby z naszych banków wypłynęło 60 mld dol. w żywej gotówce (240 mld zł!).

„Nie" dla mandatu ONZ

Kampania antykorupcyjna Al-Asada zakończyła się więc spektakularnym ciosem w syryjską gospodarkę, która straciła dostęp do libańskiego rezerwuaru twardej waluty. Sytuacja jest dla reżimu o tyle trudna, że prezydent pozostaje politycznym pariasem, a kontakty z nim niosą ryzyko narażenia się Stanom Zjednoczonym. Tymczasem Waszyngton wprowadził niedawno tzw. Ustawę Cezara, która daje prezydentowi USA możliwość nałożenia dodatkowych sankcji na podmioty robiące interesy z rządem Syrii oraz jego agencjami wojskowymi i wywiadowczymi. Ile firm czy rządów zdecyduje się to ryzyko podjąć – pytanie jest czysto retoryczne.

Al-Asadowi wciąż sprzyja Rosja. A Moskwa ma w tej grze pewne atuty. W styczniu 2020 r. na forum Rady Bezpieczeństwa ONZ toczyły się negocjacje dotyczące możliwości przesyłania do Syrii pomocy humanitarnej. Dotychczasowe rezolucje ONZ dawały sposobność wykorzystania w tym celu czterech przejść granicznych (dwóch z Turcją i po jednym z Irakiem i Jordanią). Obowiązywały one przez 12 miesięcy i na początku kolejnego roku były ponownie uchwalane. W styczniu br. Rosja powiedziała „nie" odnowieniu mandatu, by ostatecznie zgodzić się na rezolucję obowiązującą przez pół roku, obejmującą jedynie dwa przejścia (gwoli rzetelności, te najczęściej używane – z Turcją). Czy to oznacza, że w lipcu Syria zostanie bez pomocy organizacji międzynarodowych?

– Nie – mówi Wojciech Wilk. – Zmieni się sposób dystrybucji pomocy humanitarnej, która będzie musiała iść przez Damaszek. W ten sposób kontrolę nad nią przejmie syryjski rząd, który zmusi organizacje humanitarne do wymiany twardej waluty na miejscowe funty. Oficjalny kurs dolara do funta wynosi w tej chwili jeden do 430. Istnieje jeszcze kurs preferencyjny, według którego za dolara płaci się 780 funtów. No i czarnorynkowy, czyli jeden do 1200. Niezależnie od tego, który zostanie zastosowany, jeśli weźmie się pod uwagę rozmiar pomocy, syryjski bank centralny pozyska na tej operacji kilkaset milionów dolarów w skali roku. Prezydent Al-Asad będzie miał za co kupować niedostępne w Syrii produkty – w tym większym zakresie, im szybciej zniknie potrzeba finansowania działań zbrojnych.

Z jednej strony armia, z drugiej granica

I tu dochodzimy do punktu, w którym plany Al-Asada zaczynają kolidować z interesami Turcji. Aby to wyjaśnić, trzeba najpierw przybliżyć najnowszą historię prowincji i miasta Idlib. Przed wojną te tereny zamieszkiwało 1,5 mln ludzi, dziś – dwa razy więcej. Wzrost populacji to efekt działań wojennych i celowej polityki syryjskich władz. Gdy rządowa armia rozbijała kolejne ogniska oporu, Al-Asad zgadzał się na tworzenie korytarzy humanitarnych z kapitulujących miast. Tymi drogami, z których większość wiodła właśnie do Idlibu, obok ludności cywilnej wychodzili pokonani bojownicy, ich rodziny oraz zwolennicy. W efekcie w prowincji znalazła się ogromna liczba przedstawicieli ekstremistycznych ugrupowań, w tym syryjskiej Al-Kaidy. Ci ludzie mają teraz przed sobą armię Al-Asada, a za sobą granicę z Turcją. Jeśli przegrają, zrobią wszystko, by pokonać wysoki graniczny mur – inaczej czeka ich śmierć z rąk asadowców.

Lecz Turcja wcale nie zamierza takich uchodźców przyjmować. Wspiera więc ekstremistów w walce z rządową armią syryjską, licząc na to, że wymęczony Damaszek odpuści. I że enklawa w Idlibie przetrwa. Patrząc z boku, mamy tu bardzo ciekawą rozgrywkę – Ankara wspiera terrorystów walczących z sojusznikiem Moskwy. A przecież Turcja i Rosja w ostatnich latach mocno się zbliżyły. Oficjalnie głowy obu państw deklarują dalszą przyjaźń, Rosjanie zaś dają do zrozumienia, że nie są w stanie w pełni kontrolować al-Asada.

Tymczasem sytuacja humanitarna w Idlibie jest dramatyczna. Dla Europy, w tym Polski, może to oznaczać początek poważnych kłopotów. Bo jeśli turecki mur pęknie pod naporem zdesperowanych ludzi, Ankara zrobi wszystko, by pozbyć się uchodźców ze swojego terytorium. Zapewniając szybki tranzyt cywilów na europejskie plaże, wypchnie wśród nich tysiące dżihadystów.

Czy jest z tego jakieś wyjście? Drogę wskazuje Wojciech Wilk. – Należy jak najszybciej pomóc zbudować bezpieczne schronienia dla uciekinierów – o ile to możliwe, nadal na terytorium Syrii – mówi prezes PCPM.

Syria pilnie potrzebuje ropy, bo tereny roponośne tego kraju wciąż kontrolują Amerykanie.

Marcin Ogdowski jest wydawcą portalu Interia.pl, pisarzem, specjalistą ds. wojskowych. Przez kilkanaście lat pracował jako korespondent wojenny

FOT. AAREF WATAD/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 102024b1cf

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

Jesteśmy narodem – napisali uczestnicy manifestacji AfD w Chemnitz. Partia buduje swoje sukcesy na tym, że 60% wschodnich Niemców czuje się obywatelami drugiej kategorii.

Jedne **Niemcy**, różne **krajobrazy**

30 lat od upadku muru berlińskiego wschodnie landy RFN wciąż nie nadążają za zachodnimi krajami związkowymi. Ale czy muszą?

Już niebawem wspólnym wysiłkiem uda nam się zamienić Meklemburgię-Pomorze Przednie, Saksonię-Anhalt, Brandenburgię, Saksonię oraz Turyngię w kwitnące krajobrazy, w których warto będzie żyć i pracować – zapowiadał w 1990 r. ówczesny kanclerz jednoczącej się właśnie Republiki Federalnej Niemiec Helmut Kohl. Te słowa wzbudziły wielkie nadzieje, choć były trochę zaskakujące, bo rok wcześniej – latem 1989 r., czyli kilka miesięcy przed upadkiem muru berlińskiego – ten sam Kohl mówił zupełnie coś innego: – Chyba już nie dożyjemy zjednoczenia Niemiec.

30 lat od upadku żelaznej kurtyny można powiedzieć, że obydwie prognozy kanclerza się nie sprawdziły. Z jednej strony, zjednoczenie RFN stało się faktem, z drugiej – nowym krajom związkowym daleko do kwitnących krajobrazów.

Blizny

W śródmieściu pozjednoczeniowego Berlina tych różnic oczywiście już nie widać. Trudno dziś uwierzyć, że w okolicach ozdobionego Bramą Brandenburską placu Paryskiego znajdowała się kiedyś strzeżona przez enerdowskich funkcjonariuszy ziemia niczyja, wyznaczona pomiędzy dwoma ponurymi pasami muru. W miejscach, gdzie kiedyś stały budki wartownicze, jak grzyby po deszczu wyrosły szklane biurowce. Na nieodległym placu Poczdamskim, jeszcze 30 lat temu rozerwanym granicą z zasiekami, przechadzają się w tych dniach po czerwonym dywanie goście Berlinale. Natomiast ze wschodniej części centrum zniknęły socrealistyczne dzieła komunistycznych architektów. Pozostały tylko wdzięczne budynki przy Frankfurter Allee (łudząco podobnej do ulicy Marszałkowskiej w Warszawie), które być może niedługo znajdą się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Jednocześnie w całym mieście ciągle trwa budowlany bum, a w ostatnich latach ceny wynajmu nieustannie rosną, bijąc wszelkie rekordy i wypychając mniej zamożnych mieszkańców z centrum na mniej atrakcyjne obrzeża lub do zubożałych miejscowości Brandenburgii. Wbrew podtrzymywanym w mediach złudzeniom zjednoczenie Niemiec nie było bowiem jednym wielkim pasmem sukcesów.

Statystyczny mieszkaniec wschodniego landu zarabia ok. 800 euro mniej niż jego rodak na zachodzie.

O ile w centrum Berlina blizny zarosły (wyjąwszy relikty historii, mające przykuć uwagę turysty), o tyle już kilkanaście kilometrów dalej widać je tym wyraźniej. Friedrichshain czy Prenzlauer Berg, dawniej zapuszczone dzielnice wschodniego Berlina, zamieszkane głównie przez robotników, dziś obrosły w nowoczesne restauracje i butiki, przyciągając bogaczy ze Szwabii i Bawarii, a wraz z nimi sklepy z ekologiczną żywnością i modną odzieżą. Ale jeśli pojedziemy miejską kolejką S-Bahn do wcale nie tak odległych od śródmieścia dzielnic jak Lichtenberg czy Marzahn, zobaczymy blokowiska z wielkiej płyty. W Ahrensfelde widać już jak na dłoni wszystkie różnice między wschodem a zachodem, o których 30 lat po transformacji ustrojowej nadal mówią eksperci.

Bastion biedy

Gigantyczny projekt, jakim było połączenie się RFN i NRD, wywołał wielkie ambicje i oczekiwania. Rzeczywistość lat 90. szybko jednak zweryfikowała optymizm Helmuta Kohla. Mimo setek miliardów marek inwestycji publicznych i prywatnych nie pojawiły się owe kwitnące krajobrazy, a polityków przenoszących się z Bonn do Berlina czekały ogromne problemy w reformowaniu gospodarki byłej NRD. Na wschodnich terenach Niemiec ponurą

eprasa.pl 102024b1cf

codziennością stały się najpierw wysokie bezrobocie oraz marazm i zawiedzione nadzieje. Najwiarygodniej różnice między wschodem a zachodem pokazują statystyki bezrobocia. Kiedy Niemcy się jednoczyły, RFN zamieszkiwało ok. 63 mln osób, NRD zaś – ok. 16 mln. Już rok po zjednoczeniu milion ludzi w nowych landach nie miało pracy. W 2005 r. bezrobocie w Niemczech sięgnęło 11,7% – bez pracy pozostawało 5 mln ludzi, przy czym co trzeci bezrobotny był mieszkańcem jednego z sześciu nowych krajów związkowych. Wprawdzie reformy świadczeń socjalnych (wyszydzana dziś przez oponentów Gerharda Schrödera Agenda 2010) złagodziły problem bezrobocia i obecnie jest ono najniższe od 1989 r. (ok. 3%), ale różnic między wschodem a zachodem wciąż nie daje się wymazać. Na koniec 2018 r. średnia stopa bezrobocia na terenie byłej NRD wynosiła 6,9%, o ponad 2 pkt proc. więcej niż na zachodzie. Wyjątkiem w zachodniej części jest bodaj jedynie Brema z bezrobociem na poziomie ok. 10%.

Te różnice odzwierciedlają dziś również przeciętne zarobki Ossis i Wessis. Statystyczny mieszkaniec wschodniego landu nadal zarabia ok. 800 euro mniej niż jego rodak na zachodzie. Bywa jeszcze gorzej – gdy porówna się wynagrodzenia w Meklemburgii-Pomorzu Przednim, najuboższym kraju związkowym byłej NRD (choć z uwagi na dostęp do Bałtyku z rosnącym potencjałem), z Badenią-Wirtembergią czy Bawarią, różnica rośnie do ponad 1000 euro. Na zachodzie i południu Niemiec nadal działa ok. 90% najważniejszych firm, które napędzają gospodarkę krajową, podczas gdy „perła północy", Stralsund, ciągle nazywany jest niemieckim bastionem biedy. Natomiast większe miasta na zachodzie, Monachium, Stuttgart czy Hamburg, po 1989 r. zaczęły przyciągać miliony młodych i wykształconych mieszkańców byłej NRD.

Poczciwe trabanty wciąż mają swoich wielbicieli.

Odpływ najlepszych

I to głównie owe nieprzewidziane do końca zmiany demograficzne zadały kłam optymistycznym prognozom zachodnioniemieckich elit u początków zjednoczenia RFN. Odpływ ludzi wykształconych oraz mylne prognozy ekspertów, którzy w 1990 r. uważali potencjał gospodarczy NRD za znacznie wyższy, niż był naprawdę (enerdowska propaganda do końca bagatelizowała rzeczywiste problemy), szybko rozwiały nadzieje na kwitnące krajobrazy. – Ujednolicenie obu państw oraz ich systemów gospodarczych okazało się długą i wyboistą drogą, przy czym jeszcze daleko nam do celu – wróży berliński politolog Herfried Münkler.

Sytuacja na wschodzie w pierwszych latach po zjednoczeniu była opłakana. Tętniące życiem miasta dawnej NRD gwałtownie zaczęły się wyludniać. W saksońskim mieście Hoyerswerda, zamieszkanym przez robotników elektrowni Schwarze Pumpe, w chwili upadku żelaznej kurtyny żyło ponad 70 tys. ludzi. Wkrótce połowa wyjechała na zachód, a blokowiska z wielkiej płyty zostały zburzone. Dziś w tym miejscu znajduje się wielki park.

Zamiast przepływu na wschód części zachodniego kapitału społecznego, który miał zasilić tamtejszą gospodarkę, stare landy wyssały najlepszych ludzi z byłej NRD. Wynikają stąd również obecne problemy z niemieckimi populistami. We wschodnich landach zabrakło ludzi, którzy mogliby się przeciwstawić rosnącej sile skrajnych ruchów spod znaku swastyki bądź sierpa i młota. Jak zauważa Herfried Münkler, gospodarcza bessa w pierwszych latach po transformacji i piętno, które system NRD odcisnął na mentalności ludzi, przygotowały grunt m.in. pod sukces Alternatywy dla Niemiec (AfD). – Gdy czar zjednoczenia prysł, mieszkańców byłej NRD ogarnęła nostalgia. Do dzisiaj nie ma odpowiedzi na niezadowolenie, które pojawiło się wskutek dewaluacji życiowych osiągnięć wielu osób – zaznacza politolog.

Wschodni buntownicy

Pod względem emocjonalnym podziały między wschodem a zachodem wydają się więc coraz głębsze. Jak wynika z ustaleń stołecznego dziennika „Der Tagesspiegel", ok. 60% wschodnich Niemców czuje się obywatelami drugiej kategorii. Natomiast połowa Ossis ma zastrzeżenia do dzisiejszego oblicza niemieckiej demokracji. Wyrazicielem opinii podobnych do poglądów Münklera jest psycholog Hans-Joachim Maaz, który utrzymuje, że wschodni Niemcy mają zdystansowany stosunek do państwa: – Mieszkańcy byłej NRD są na ogół bardziej krytyczni wobec kapitalizmu, elit rządzących i mediów. Dlatego tam szybciej powstał ruch protestu

FOT. AZENBERGER/FORUM

eprasa.pl 102024b1cf

przeciwko polityce zdominowanej przez zachodnie Niemcy.

Odzwierciedleniem rosnącego niezadowolenia są wyniki wyborcze AfD we wschodnich landach – ostatnio w Brandenburgii, Saksonii i Turyngii. W Erfurcie AfD wyprzedziła nawet CDU i SPD, mając realny wpływ na powołanie lokalnego rządu, co wywołało ogólnokrajową burzę polityczną (PRZEGLĄD nr 8/2020). Ciekawe zresztą, że AfD, która przecież jest zachodnioniemieckim importem (narodowy socjalista Björn Höcke pochodzi z Westfalii), przejęła rolę ugrupowania protestu po Lewicy, która jako następczyni enerdowskiej partii SED była wręcz stworzona do wyrażania wschodnioniemieckiej nostalgii. – Widać wyraźnie, że wschodni Niemcy stawiają opór zarówno postkomunistom, jak i obecnym elitom. Trudno ich wszystkich nazwać faszystami – zauważa Münkler. Podobnie wypowiada się Maaz. – Przypinanie łatki nazistów wszystkim wyborcom AfD, wszystkim mieszkańcom byłej NRD byłoby ogromnym błędem. Wtedy partia Gaulanda i Höckego będzie tam odnosić jeszcze większe sukcesy – wieszczy profesor Uniwersytetu Marcina Lutra w Halle i Wittenberdze. Natomiast po ostatnich wydarzeniach w Turyngii wydawca tygodnika „Die Zeit" Giovanni di Lorenzo powiedział: – Przecież nie możemy wszystkim wyborcom AfD nakazać kwarantanny jak zarażonym koronawirusem.

W istocie, w przeszłości można było odnieść wrażenie, że wypowiedzi niektórych zachodnioniemieckich polityków pogłębiały podziały między wschodem a zachodem. Kiedy lider Zielonych Robert Habeck na początku 2019 r. oznajmił, że w obliczu rosnącej w siłę AfD demokracja w Turyngii jest zagrożona, wielu mieszkańców landu nie kryło oburzenia. Wypowiedź Habecka brzmiała tak, jakby cała Turyngia nie była demokratycznym landem. – W jakim więzieniu siedziałem przez ostatnie lata? – zapytał go wtedy pochodzący z Turyngii poseł SPD Carsten Schneider.

Około 60% wschodnich Niemców czuje się obywatelami drugiej kategorii.

Wizję AfD jako tykającej populistycznej bomby próbuje też rozwiewać Herfried Münkler. – Na tle europejskim krytykowanie przez Niemców masowej migracji, noszące w dużej mierze znamiona antyislamskie, nie jest niczym szczególnym. AfD jest częścią ogólnego trendu europejskiego. Tymczasem na plus można Niemcom zapisać to, że u nas populiści raczej nigdy nie wejdą do rządu – mówi.

Błędy polityków

Współprzewodnicząca Zielonych Annalena Baerbock dostrzega sposób na złagodzenie różnic – i tym samym lekarstwo na populistów – przede wszystkim w większych inwestycjach infrastrukturalnych na wschodzie. – Ludzie w zaniedbanych okolicach szybciej tracą zaufanie do centralnych władz, ponieważ czują się zapomniani – przekonuje. Z kolei zdaniem Maaza kolejne zastrzyki finansowe sytuacji nie uspokoją. – Chodzi właśnie o to, że większość mieszkańców byłej NRD chce wreszcie zdjąć z siebie odium wiecznej ofiary. Oni nie potrzebują pocieszenia. Niezależnie od wszelkich zaszłości historycznych zawsze bowiem brali sprawy w swoje ręce i jakoś sobie radzili. Oni tylko nie chcą już być traktowani z góry – podkreśla psycholog.

Te argumenty zbiegają się zresztą z ekspertyzami ekonomistów. – Różnice ekonomiczne na pewno nie wynikają ze słabości czy bierności wschodnich Niemców. 30 lat to po prostu zbyt krótko, aby nadrobić wszystkie zaległości, przy czym kraje związkowe zrobiły już duże postępy, jeśli uświadomimy sobie, że RFN w ostatnich latach cieszyła się bezprecedensową koniunkturą gospodarczą. Jest wręcz czymś zdumiewającym, że w okresie rosnącej prosperity wschodnie landy nadążały za zachodnimi. A przecież w obliczu coraz lepszej koniunktury sytuacja na wschodzie teoretycznie mogła się pogorszyć – zwraca uwagę prof. Joachim Ragnitz, wiceszef drezdeńskiej placówki Instytutu Badań nad Gospodarką (Ifo).

Można wskazać jeszcze inne zwiastuny lepszej przyszłości zjednoczonych Niemiec. W 2017 r. po raz pierwszy od zmian ustrojowych więcej Niemców przeprowadziło się z zachodu na wschód niż odwrotnie. – Możliwość większej mobilności w życiu zawodowym sprawia, że zachodni Niemcy coraz częściej szukają mieszkań we wschodnich miastach, gdzie koszty utrzymania są nadal o wiele niższe niż w landach zachodnich – wyjaśnia Ragnitz. Wschód staje się też atrakcyjny dla zachodnioniemieckich studentów. W Lipsku, Jenie czy Dreźnie, które są nie tylko architektonicznymi smakołykami dla turystów, znajdują się znakomite uczelnie. Niemniej jednak Ragnitz twierdzi, że wschód jeszcze przez następne dziesięciolecia nie dogoni Zachodu. – Społeczeństwo byłej NRD jest coraz starsze. Poza tym gospodarka wschodnioniemiecka opiera się przede wszystkim na drobnych przedsiębiorstwach. W indeksie DAX, który jest głównym wskaźnikiem opisującym sytuację na giełdzie we Frankfurcie, nadal nie ma ani jednego koncernu ze wschodnich landów, który znalazłby się na liście 30 najważniejszych spółek niemieckich – mówi ekonomista. I dodaje, że ten stan rzeczy wynika głównie z błędów polityków. – Państwowe subwencje są uzależnione od tworzenia nowych miejsc pracy. To cele niezwykle szlachetne, ale w rzeczywistości często powstają zupełnie niepotrzebne stanowiska. Tego rodzaju zabiegi pomagają wschodniej gospo-

W nowym numerze tygodnika „NIE":
Histeria z powodu wirusa, którego nie ma, czyli kwarantanna po polsku.

eprasa.pl 102024b1cf

darce tylko doraźnie, a dalekosiężnie szkodzą konkurencyjności tamtejszych firm. W ten sposób nigdy nie ujrzymy kwitnących krajobrazów.

Różnią się pięknie

Mimo to dziś sytuacja w RFN nie wygląda najgorzej. W scalaniu kraju i wyrównywaniu się poziomów życia dokonał się duży postęp, co potwierdza ostatni raport rządu federalnego na temat zjednoczenia. Istnieją też liczne przykłady zadające kłam teoriom spiskowym, jakoby nowe landy były zamieszkane wyłącznie przez buntowników. Kiedy w 2006 r. ówczesna minister rodziny, a obecna szefowa Komisji Europejskiej, Ursula von der Leyen, zapowiedziała plan rozbudowy w całym kraju sieci przedszkoli i żłobków, aby odciążyć matki i umożliwić im po urodzeniu dziecka rychły powrót do pracy, na zachodzie RFN podniósł się lament. Natomiast we wschodnich krajach związkowych plany von der Leyen nie budziły żadnych emocji, ponieważ żłobki były od dziesięcioleci częścią enerdowskiej normalności.

Zresztą Hans-Joachim Maaz uważa, że różnice mentalności Ossis i Wessis nie muszą być powodem do bicia na alarm. – Przecież przed zjednoczeniem sami mieszkańcy zachodnich Niemiec „pięknie się różnili", co potwierdzi bodaj każdy turysta, który z Bawarii uda się bezpośrednio do Fryzji. Nie musi być wszędzie tak samo – uznaje psycholog. Do podobnego wniosku dochodzi Herfried Münkler: – Byłoby lepiej, gdybyśmy pogodzili się z naszą niemiecką różnorodnością. W starych krajach związkowych istniały i nadal istnieją różnice między północą a południem. Wschodnie Niemcy są teraz trzecią grupą mentalnościową. Nasza różnorodność jest zjawiskiem ogólnokrajowym. Przecież Niemcy, które z opóźnieniem wkroczyły na drogę prowadzącą do powstania państwa narodowego, już od dawna były krajem o silnych cechach regionalnych. To raczej tak szybko się nie zmieni.

Tymczasem zdaniem innych wpływowych osób sprzeczności pomiędzy wschodem a zachodem już dawno powinny zostać zlikwidowane. Pochodzący z NRD były prezydent Joachim Gauck i kanclerka Angela Merkel, którzy sami w pozjednoczeniowej RFN zajmowali najwyższe stanowiska w państwie, wielokrotnie wskazywali, że na wyższych szczeblach instytucji niemieckich wciąż za mało jest osób ze wschodnioniemieckim rodowodem. – Ktoś mi ostatnio powiedział, że żaden niemiecki uniwersytet nie jest prowadzony przez osobę ze wschodu Niemiec. Mamy więc jeszcze wiele do nadrobienia – zaznaczyła szefowa rządu w rozmowie z tygodnikiem „Der Spiegel".

Wojciech Osiński

Żaden niemiecki uniwersytet nie jest prowadzony przez osobę ze wschodu.

Mazury na fali przedsiębiorczości

Mazury to kraina, kojarzona z wakacjami czy weekendowym wypadem nad jezioro. Jednak trzeba wiedzieć, że to miejsce, aż kipi potencjałem. Malownicze krajobrazy Krainy Wielkich Jezior zachwycają przez cały rok, a osoby tu przyjeżdżające przekonują się o niezwykłości mieszkańców, ich podejścia do życia, jak i przedsiębiorczości.

Nikogo zatem nie dziwi fakt, że Mazury coraz częściej wybierane są jako biznesowa destynacja. Połączenie walorów przyrodniczych i kulturalnych z gospodarczymi sprawia, że Mazury są unikatowym miejscem do pracy. Tu wypoczynek można połączyć z konferencją, branżowym spotkaniem, szkoleniem czy imprezą integracyjną. Duży wpływ na tę sytuację ma fakt, iż Mazury mają coraz lepsze połączenia z innymi częściami Polski. Lotnisko pasażerskie w Szymanach, szybkie połączenia kolejowe, nowe drogi – te mocne argumenty przemawiają do inwestujących w tym regionie.

Nie tylko praca

Firmom, które organizują biznesowe wydarzenia na Mazurach sprzyja dobrze rozwinięta baza noclegowa. Z każdym rokiem poziom usług hotelarskich wzrasta. Michaele Bohmer, właściciel Sealand Travel & Location, świetnie połączył potencjał przyrodniczy z biznesem. Jego domki położone w malowniczym miejscu tuż nad jeziorem, oferują zaplecze konferencyjne, dają wytchnienie od miejskiego zgiełku i możliwości aktywnego spędzenia czasu – np. kursy fotograficzne, latem - regaty i kajakarstwo, zimą - żeglarstwo lodowe, zjazdy na nartach, czy iceboarding. Fanów pieszych wycieczek cieszy piękna linia brzegowa z malowniczymi ścieżkami, a spragnionych kontaktu z naturą przyciągną rozległe kompleksy leśne. Jak podkreśla sam właściciel, przy szukaniu miejsca na realizację swojego planu udał się z aż Niemiec nad jezioro Mamry, które zauroczyło go na tyle, że postanowił budować swój biznes właśnie tu.

„Potencjał biznesowy tego miejsca był oczywisty, rozmawialiśmy ze wspólnikiem długo, aż do wschodu słońca. Widok, który rozpościerał się wtedy nad taflą jeziora Mamry spowodował, że zakochaliśmy się w tym miejscu w jednej sekundzie."

Właściciele miejsc noclegowych prześcigają się w atrakcyjnych ofertach. Hotel Gołębiewski oferuje gościom letnie atrakcje - park wodny, pole golfowe czy klub jeździecki, ale także nastawiony jest na zimową aktywność w postaci narciarstwa czy saneczkarstwa. Kolejna inwestycja – Hotel Zamek Ryn – oprócz nowoczesnych sal konferencyjnych oferuje także bogaty pakiet usług SPA z masażami, saunami, basenem i fitness. Wielu przedsiębiorców decyduje się na organizację wydarzeń biznesowych na Mazurach, ponieważ to tu można wziąć udział w spotkaniu w malowniczym otoczeniu, a po nim zaczerpnąć świeżego powietrza i zainspirować się do dalszego działania.

Mniejsze i urokliwe

Na Mazurach istnieją również miejsca, do których w ciągu jednej doby może zawitać zaledwie kilku gości. Przykładem może być Przechowalnia Marzeń, która mieści się w Mikołajkach. To urokliwe miejsce otoczone ciepłem dedykowane odpoczynkowi. Jak mówi sama właścicielka: „Czekamy na gości, którzy chcą nas znaleźć i mamy nadzieję, że przechowamy i ich marzenia.". Karolina Puzio i Marek Kisiel stworzyli miejsce, które stało się synonimem odpowiedzialnego biznesu w duchu poszanowania natury Mazur. Latem to miejsce tętni życiem, zimą oferuje ciekawe wydarzenia i odpoczynek w niecodziennych okolicznościach przyrody.

Korzystny biznes

Mazury mają wiele do zaoferowania przedsiębiorcom rozpoczynającym inwestycje. Ze względu na szczególne uwarunkowania mikro i makroekonomiczne, działająca Warmińsko-Mazurska Specjalna Strefa Ekonomiczna, zapewnia przedsiębiorcom wyjątkowe w skali kraju instrumenty wparcia z tytułu tworzenia miejsc pracy. Dodatkowo, w zależności od prowadzonej działalności inwestorzy mogą uzyskać zwolnienia z tytułu podatku od nieruchomości i części związanych z inwestycjami początkowymi. Istnieje też pomoc publiczna w postaci zwolnień z podatku dochodowego może wynieść nawet 70% wydatków inwestycyjnych. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby wykorzystać tę pomoc w celu rozwinięcia biznesu zgodnego z naturą.

Chcesz wiedzieć więcej o biznesie na Mazurach? Sprawdź na **www.mazurytobiznes.pl.**

Mazury to Biznes

Projekt realizuje Stowarzyszenie Wielkie Jeziora Mazurskie 2020 w partnerstwie z gminami Giżycko, Mikołajki, Miłki, Mrągowo, Orzysz, Pisz, Ruciane-Nida, Ryn, Węgorzewo, Miasto Giżycko, Miasto Mrągowo.

Fundusze Europejskie Program Regionalny

Rzeczpospolita Polska

Zdrowe życie, czysty zysk

Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl 102024b1cf

Gdzie jest pomnik śląskiego powstańca

Dyrektor opolskiego Caritasu pozbył się niewygodnego dla mniejszości niemieckiej patrona – dr. Augustyna Kośnego

Jan Cofałka

Pisaliśmy w PRZEGLĄDZIE (nr 2/2020) o specyficznych obchodach 100-lecia powstań śląskich na Opolszczyźnie, w trakcie których zwolnieni zostali pracownicy Muzeum Czynu Powstańczego na Górze św. Anny, wskutek czego muzeum to zostało zamknięte i ma je doraźnie otwierać pracownik Muzeum Śląska Opolskiego.

Niestety, to niejedyny przykład stosunku władz do zachowania pamięci o powstaniach, powstańcach śląskich i działaczach zasłużonych dla polskości. Kilka lat temu w Starych Siołkowicach został usunięty, stojący tam od 1974 r., pomnik działacza plebiscytowego, powstańca śląskiego, a następnie aktywnego członka Związku Polaków w Niemczech, zamordowanego w Berlinie lekarza, dr. Augustyna Kośnego. O usunięciu pomnika zadecydował Ślązak opcji niemieckiej, ks. Arnold Drechsler – dyrektor Caritas diecezji opolskiej, która przejęła od sióstr franciszkanek szpital w Starych Siołkowicach i urządziła w nim hospicjum. Według zapewnień ks. Drechslera chodziło o to, aby uchronić pomnik przed uszkodzeniami w czasie remontu. Okazało się, że tym sposobem pozbyto się pomnika polskiego patrona, niewygodnego dla mniejszości niemieckiej. Dawne twierdze polskości (Stare Siołkowice, Dobrzeń Wielki, Chróścice) stały się dziś szańcami mniejszości i nie są zbyt zainteresowane przypominaniem im historii.

Pomnik został przekazany Urzędowi Gminy w Dobrzeniu Wielkim i postawiony przed nieczynną dziś szkołą w Chróścicach, rodzinnej miejscowości dr. Kośnego. Tu jednak długo nie postał, bo po zaadaptowaniu budynku szkoły na przedszkole zniknął i nie wiadomo, co się z nim dzieje. Ponoć trafił do magazynu hospicjum.

W przestarzałej już „Encyklopedii powstań śląskich" (na nową dzisiejszej, patriotycznej inaczej władzy nie stać) wydanej przez Instytut Śląski w Opolu w 1982 r. czytamy, że Au-

gustyn Kośny (1896-1939) urodził się w patriotycznej rodzinie w Chróścicach pod Opolem. Ukończył gimnazjum w Krakowie, po czym musiał ponowić egzamin dojrzałości w niemieckim gimnazjum. W 1914 r. był więziony w Opolu i w Nysie za publiczne demonstrowanie propolskiej postawy. W 1916 r. został wcielony do armii niemieckiej, z której zdezerterował. Na terenie Francji wstąpił w szeregi armii gen. Józefa Hallera, z którą przybył do Polski. Brał czynny udział w akcji plebiscytowej na Śląsku, a na przełomie 1920 i 1921 r. był więziony w Brzegu. Uczestniczył w III powstaniu śląskim jako członek aparatu wymiaru sprawiedliwości. Po podziale Śląska działał w Związku Polaków w Niemczech. W 1924 r. należał do grona założycieli Związku Akademików Górnoślązaków Silesia Superior we Wrocławiu. W 1926 r. został ponownie uwięziony, tym razem we Wrocławiu, jako polski działacz i autor artykułów zamieszczanych w czasopismach ukazujących się w języku polskim: „Katoliku Codziennym" i „Nowinach Codziennych". Głosił w nich potrzebę włączenia Śląska do Polski i przyznania mu szerokiej autonomii. Początkowo studiował prawo w Krakowie, a następnie medycynę na uniwersytetach w Nancy, Würzburgu i Wrocławiu. W 1933 r. na uniwersytecie we Wrocławiu uzyskał dyplom lekarza. Mimo że odbył praktyki lekarskie, władze niemieckie odmówiły mu prawa wykonywania zawodu na Śląsku. Przeniósł się więc do Berlina, gdzie w 1935 r. obronił doktorat i od 1937 r. prowadził prywatną praktykę lekarską. 25 lipca 1939 r. został zamordowany przez gestapo, a następnie wrzucony do Kanału Landwehrskiego w Berlinie. Jego pogrzeb, będący manifestacją polskości, odbył się w rodzinnych Chróścicach pod nadzorem policji.

Po 1945 r. imieniem Augustyna Kośnego nazwano szpitale w Starych Siołkowicach i Chorzowie, a także ulice we Wrocławiu, Opolu, Byczynie, Czarnowąsach, Chróścicach i Kędzierzynie-Koźlu. W 1974 r. przy szpitalu jego imienia w Starych Siołkowicach stanął jego pomnik, który 30 lat później został usunięty. Podejmowane od 2006 r., m.in. przez dr Adrianę Dawid z Uniwersytetu Opolskiego, autorkę biografii rodziny Kośnych, starania o powrót pomnika nie przynoszą efektu. Nawet gdy pewien senator zaoferował pokrycie kosztów jego ponownego postawienia. Może zatem, w związku z oporem ks. Drechslera i tamtejszej mniejszości, marszałek województwa opolskiego powinien postarać się o przywrócenie Ślązakom pomnika dr. Kośnego – człowieka rzeczywiście zasłużonego dla polskości Śląska. Można by ten pomnik przenieść np. do Opola, na ulicę jego imienia. Nie może być tak jak w przeboju Agnieszki Osieckiej, śpiewanym przed laty w kabarecie Dudek przez Magdalenę Zawadzką:

Spokojny wieczór, spokojny wieczór
Jakby w dzień zaręczyn
A dookoła, a dookoła,
A dookoła sami dobrzy Niemcy.

Do których wojewoda opolski dołożył nowych obowiązujących bohaterów – braci Kowalczyków, przybyłych tu za pracą, którzy w podzięce wysadzili aulę pierwszej po wiekach polskiej uczelni w Opolu. ■

FOT. ARCHIUWM

eprasa.pl 102024b1cf

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Terror i tortury mile widziane

Centralne Biuro Antykorupcyjne biega za prezesem NIK Marianem Banasiem, przeszukując ok. 20 miejsc z nim związanych, zatrzymuje jego syna, w odpowiedzi (która oczywiście „nie ma żadnego związku z powyższą aktywnością CBA") NIK wysyła kontrolę do Prokuratury Krajowej, a kilka dni wcześniej zapowiadała kontrolę w TVP. Władza absolutna gania się po własnych korytarzach, nadużywając instytucji do wewnątrzpartyjnej rozgrywki. Niektórzy niechętni PiS kupują popcorn i zasiadają w fotelach, by oglądać widowisko.

Tymczasem, jakby w cieniu (na pewno medialnie) tych zabaw chłopców w krótkich spodenkach, zapadają w sądach wyroki ważne, symboliczne i bardzo niepokojące. Zresztą w ich świetle trudno doprawdy zrozumieć, po co władze PiS chcą dyscyplinować sędziów, którzy już sami z siebie są bardzo zdyscyplinowani. Przynajmniej na to wskazują ostatnie orzeczenia.

Po kilku latach od śmierci we wrocławskim komisariacie zatrzymanego omyłkowo Igora Stachowiaka, bitego, lżonego i rażonego paralizatorem, kiedy był skuty kajdankami – wszystko to w jedynym pomieszczeniu pozbawionym kamer monitoringu, czyli w toalecie – sąd skazał czterech policjantów biorących udział w tym akcie przemocy. Najmocniej oskarżany dostał dwa i pół roku, reszta po dwa lata bezwzględnego więzienia. Skazano ich za torturowanie zatrzymanego, bicie i znęcanie się. Wydając prawomocny wyrok, sąd zmienił orzeczenie sądu rejonowego, mówiące o tym, że wielokrotne (że całkowicie bezzasadne, nie trzeba nawet dodawać) użycie paralizatora (to zamontowana na nim kamera i upublicznienie przez media tego wstrząsającego zapisu doprowadziły *de facto* do procesu i skazania) nie przyczyniło się do śmierci zatrzymanego. Takie uzasadnienie, oparte oczywiście na opiniach biegłych, i zwalenie winy na reakcję organizmu na amfetaminę, tzw. *excited delirium*, pozwoliło zdjąć z policjantów zarzut zabójstwa albo bezpośredniego przyczynienia się do śmierci torturowanego wiele godzin, skutego i bezbronnego człowieka (zatrzymanego przypadkowo). Porażające, ale sankcjonujące styl wyrokowania sądów, kiedy dochodzi do nawet dużo mniej poważnych naruszeń prawa przez policję.

W Lublinie sąd skazał małżeństwo terrorystów na rok więzienia za to, że zbudowali i przynieśli z zamiarem użycia bombę domowej roboty na Lubelski Marsz Równości w 2019 r. Policji udało się nie dopuścić do jej użycia. W całej historii ani policja, ani media nie używały słowa terroryzm, całkowicie lekceważąc opinie pirotechników, według których eksplozja bomby groziła okaleczeniem i śmiercią dużej grupie osób. Sąd był łaskawy dla młodej, polskiej, wzorcowej, katolickiej rodziny z jej bombą przeciwko demonstrującym w obronie praw LGBT.

W tych wyrokach zadziwia to, że dotyczą tak poważnych zarzutów, czy to realnej śmierci kogoś, kto po prostu dalej by żył, gdyby nie tortury na komisariacie, i miał całe życie przed sobą (w chwili śmierci Igor Stachowiak miał 25 lat), czy realnej groźby pozbawienia życia wielu osób podczas udaremnionego zamachu terrorystycznego.

Te dwa wyroki w swojej społecznej wymowie wysyłają po raz kolejny podobny, czytelny sygnał – nadużycia policji, nawet jeśli prowadzą do śmierci po wcześniejszych torturach, są przez polski sąd, polskie państwo traktowane z wyrozumiałością. Kiedy przemoc jest skierowana w stronę osób, środowisk, z których władza i Kościół uczyniły wroga publicznego numer 1 – czyli środowisk LGBT i walczących o ich prawa – państwo patrzy na sprawców przez palce i z empatią. Oba te wyroki sankcjonują oczywiście istniejące dużo wcześniej *modus operandi* w podobnych sprawach: nadużyć policji, stosowania przemocy i tortur wobec zatrzymanych, przemocy skrajnej prawicy w Polsce. Jakoś tak się składa, że wyroki te doskonale współbrzmią z linią propagandy i deklaracji rządzących.

Skala wykorzystania policji do politycznych, wciąż jeszcze raczej umiarkowanych represji jest w ostatnich latach ogromna, mówią o tym sami policjanci i byli policjanci. Policja jest tej władzy, a nie społeczeństwu, po prostu potrzebna. I taka policja dostaje sygnał, czyli niemal wprost przyzwolenie. Bomba w Lublinie w końcu nie wybuchła, ale przyniosła ją prawdziwa polska rodzina, chłopak i dziewczyna.

I w tym samym momencie trzech mężczyzn, którzy przewrócili pomnik prałata Jankowskiego, po opisaniu przez media jego kilkudziesięcioletniego procederu wykorzystywania seksualnego dzieci, zostaje oskarżonych przez prokuraturę o przestępstwo zagrożone pięcioma latami więzienia.

Nieżyjący od prawie roku Karol Modzelewski ostrzegał przed nadejściem w Polsce państwa policyjnego. Nadejściem? Już tu jest.

eprasa.pl 102024b1cf

Lęk przed zmianami klimatu przekujmy w działanie

Jeśli nie powstrzymamy kryzysu klimatycznego, negatywne stany psychologiczne będą coraz powszechniejsze

Rozmawia Anna Brzeska

Coraz bardziej martwimy się zmianami klimatycznymi. Trafiłam w sieci na nieznane mi wcześniej pojęcie solastalgii kojarzone z lękiem przed globalnym ociepleniem. Co ono oznacza?

– To pojęcie zostało wprowadzone w 2005 r. przez Glenna Albrechta w artykule opublikowanym w piśmie „Philosophy, Activism, Nature". Solastalgia to nie tyle lęk, ile raczej smutek i cierpienie, które pojawiają się, kiedy człowiek dostrzega, że pod wpływem zmian w środowisku niejako znika jego miejsce na Ziemi, miejsce, w którym żyje. Na przykład widzisz wyniszczoną przyrodę, kolejne ziejące pustką wyludnione domostwa i szarą, wysuszoną przestrzeń, niegdyś zieloną i tętniącą życiem.

Nie jest to więc lęk o cały świat?

– Nie, to bardziej smutek związany z negatywnymi zmianami środowiskowymi w miejscu, do którego czujemy się przywiązani. Zwykle mówimy o najbliższym otoczeniu, np. miejscowości, ale to może być cały region, a nawet kraj. W jednym z artykułów Albrecht opisał solastalgię w kontekście zmian środowiskowych wynikających z trwałej suszy na obszarach wiejskich w Nowej Południowej Walii w Australii. Pisał o smutku rolników australijskich, obserwujących to, że ich świat się zmienia. Świat w znaczeniu mój dom, miejsce, w którym żyłem. Solastalgia dotyczy przede wszystkim tych sytuacji, gdy na skutek zmian środowiskowych otoczenie zmienia się tak bardzo, że mamy wrażenie, że znika dotychczasowy świat.

Jak wygląda stan badań na ten temat?

– Jest coraz więcej badań, które dotyczą emocji związanych ze zmianami klimatu, problem staje się coraz bardziej powszechny i naglący. Część z tych badań dotyczy też solastalgii. Z moim zespołem badawczym pracujemy od ponad roku nad narzędziem do pomiaru negatywnych emocji związanych ze zmianą klimatu, a obecnie przygotowujemy artykuł opisujący wyniki badań dotyczących związku między odczuwanymi emocjami a indywidualną aktywnością na rzecz przeciwdziałania zmianie klimatu. Okazuje się, że te nieprzyjemne emocje w pewnych okolicznościach mogą aktywność zwiększać.

DR MARZENA CYPRYAŃSKA-NEZLEK
– psycholożka społeczna, pracuje na Uniwersytecie SWPS. Zajmuje się badaniami z zakresu dehumanizacji, porównań społecznych oraz porównań temporalnych (postrzegania siebie w różnych perspektywach czasu). Prowadzi też badania dotyczące percepcji i skutków społecznych zmiany klimatu.

Czy ten temat naprawdę jest tak poważny?

– Tak. Z dotychczasowych raportów wynika, że ludzie coraz częściej odczuwają niepokój i niepewność związane ze zmianą klimatu. Towarzyszą im również takie uczucia jak przygnębienie, bezsilność i bezradność. Coraz więcej osób szuka wsparcia terapeutów. Problem jest poważny również dlatego, że jeśli nie powstrzymamy kryzysu klimatycznego, te negatywne stany psychologiczne będą coraz powszechniejsze i coraz trudniejsze.

Znam osobę, która rozważa urodzenie drugiego dziecka, ale nie jest pewna, czy to w porządku sprowadzać je na świat w takim momencie.

– To bardzo ważna kwestia i ta osoba nie jest odosobniona w swoich wątpliwościach. Nie mam prawa ani kompetencji, by mówić komuś, czy ma mieć dziecko, czy nie. Jednak, jak rozumiem, ta osoba jedno dziecko już ma. Może więc warto odsunąć na jakiś czas rozważania i skupić się na tym, jak chronić to dziecko i jak zawalczyć o przyszłość dla niego, bo jeśli to się uda, wątpliwości znikną. Być może w publikacjach medialnych brakuje położenia akcentu na działanie.

Nie powinniśmy więc mówić zbyt wiele o lękach?

– Chodzi raczej o to, by nie tworzyć wrażenia, że zaburzenia lękowe i depresja są koniecznym następstwem zmian klimatu. Bo nie są. Ryzyko problemów emocjonalnych

eprasa.pl 102024b1cf

pojawia się głównie wtedy, gdy z jednej strony ludzie są świadomi powagi zagrożenia, a z drugiej nie widzą możliwości przeciwdziałania i tracą nadzieję, czyli nie wierzą w to, że możemy uniknąć katastrofy. Dodam, że mnie wcale nie dziwi, że ludzie się martwią. Dziwi mnie raczej to, że się nie martwią. Strach i martwienie się są naturalnymi reakcjami na zagrożenie i mają funkcje adaptacyjne, ponieważ pobudzają do działania, aby zagrożenie zniwelować, o ile oczywiście ktoś ma możliwość działania i przekonanie, że to ma sens.

To istotne też dla nas jako dziennikarzy. Co powinniśmy mówić ludziom, by ich jeszcze bardziej nie straszyć, ale jednocześnie nie pomijać tego tematu?

– Nie chodzi o to, aby nie mówić o zagrożeniu, skoro ono istnieje. Chodzi raczej o to, aby zaczynać od sedna problemu, a problemem jest obecnie brak efektywnego działania na rzecz zapobiegania katastrofie klimatycznej. Oczywiście widać coraz większą aktywność społeczną i decyzje na poziomie systemowym, ale to ciągle za mało, aby powstrzymać katastrofę. Komunikaty są często skoncentrowane na samym zagrożeniu. Tymczasem narracja powinna się skupiać na konieczności działania i zamiast komunikatu: będzie katastrofa, nieść przekaz: jeśli nie będziemy działać zdecydowanie i natychmiast, nastąpi katastrofa.

Jak zatem możemy działać?

– Zwykle powtarzamy: zacznijmy od małych rzeczy, które są związane z ograniczaniem emisji gazów cieplarnianych do atmosfery. Myślę, że większość już wiele razy słyszała: możesz ograniczyć używanie samochodu, spożywanie mięsa, zmniejszyć zużycie energii elektrycznej… We wszystkich tych ograniczeniach możesz w istocie znaleźć korzyść – oszczędności z ograniczenia zużycia energii elektrycznej czy lepszą kondycję dzięki przesiadaniu się na rower. To wszystko jest ważne, ale w tym zestawie konieczna jest jeszcze edukacja własna i innych oraz – co bardzo istotne – nacisk na zmiany systemowe, np. poprzez petycje czy udział w pokojowych marszach, które pokazują, że jako społeczeństwo rozumiemy konieczność zmian i chcemy ich. Myślę też, że za mało mówi się wprost o tym, co jest przyczyną zmiany klimatu. I o tym, że niezbędna jest transformacja energetyczna, odejście od paliw kopalnych, w tym węgla. Tymczasem my uwierzyliśmy, że spalanie paliw kopalnych to sprawa kontrowersyjna i kwestia polityczna, wolimy więc o tym nie mówić. Problemy emocjonalne wynikają zatem nie tylko z tego, że ludzie obawiają się konsekwencji zmiany klimatu, ale również z poczucia bezradności i bezsilności, gdy nie widzimy wsparcia na poziomie systemu.

Ja nie mam obaw przed mówieniem otwarcie o przyczynach zmiany klimatu. Przyznam jednak, że czasem nie chce mi się już o tym mówić publicznie czy pisać na Facebooku, bo może ktoś mnie zaraz wyśmieje: „lewaki" najpierw się straszą wzajemnie tym klimatem, a teraz mają z tego powodu depresję.

– Warto sobie samemu przypominać, że tak naprawdę to od nas zależy, czy dajemy innym moc ranienia nas słowami. Trzeba korzystać z siły, jaka tkwi w ignorowaniu, szczególnie jeśli to są złośliwe czy wulgarne zaczepki internetowych trolli. Gorzej, gdy mówimy o zorganizowanej dezinformacji ze strony tzw. negacjonistów klimatycznych, często związanych z lobby paliw kopalnych.

Czyli nie powinniśmy mieć wyrzutów sumienia, że sami się straszymy, a potem dziwimy się, że ludzie się boją?

– Chodzi raczej o to, że różne są źródła lęku. Na przykład może nim być celowa dezinformacja. Słyszymy takie hasła jak ekoterroryzm, co od razu tworzy bardzo negatywne skojarzenia, z którymi trudno dyskutować, bo nie mają żadnych racjonalnych, merytorycznych podstaw. Tego rodzaju etykietki powodują nie tylko chaos i dezinformację, ale też duże trudności dla samych aktywistów na rzecz ochrony środowiska. Hejt wymierzony w ekologów można widzieć jako element potężnej machiny dezinformacji, rozprzestrzenianej celowo, aby zatrzymać, a przynajmniej spowolnić przeciwdziałanie zmianom klimatu. W jednym z numerów „Guardiana" z marca 2019 r. mogliśmy przeczytać, że pięć największych giełdowych spółek naftowych i gazowych wydaje prawie 200 mln dol. na lobbing na rzecz opóźniania, kontrolowania lub blokowania programów przeciwdziałania katastrofie klimatycznej.

Ludzie często też myślą: co z tego, że ja się staram, skoro sąsiedzi palą w piecach.

– Jeśli chodzi o bierność innych, wystarczy się rozejrzeć, aby zdać sobie sprawę z różnorodności naszej przestrzeni. Łatwo można dostrzec, że wokół nas są zarówno ci bierni, jak i ci aktywni. Możemy ulegać wpływowi tych, którzy nic nie robią, albo wręcz szkodzą, ale także możemy łączyć wysiłki z tymi, którzy chcą działać i zapobiegać katastrofie. Warto pamiętać, że tak jak inni mogą wpływać na nas swoją biernością, tak my możemy wpływać na innych aktywnością. Jeśli chodzi o rządy – nie tylko Polski – to wiadomo, że zwykle ulegają w końcu naciskowi społecznemu. Musimy jedynie nauczyć się rozmawiać o istocie problemu, bez wpadania w pułapkę tabu społecznego. Co więcej, gdyby w sferze politycznej – tak jak w świecie naukowym – była zgodność co do tego, że musimy dojść do szybkiej transformacji energetycznej, poziom lęku w społeczeństwie z pewnością byłby niższy, bo i przekaz w mediach byłby inny. Niezależnie od kraju, mając jasny komunikat: idziemy w stronę zdecydowanej transformacji energetycznej, ludzie zyskaliby nadzieję na to, że unikniemy katastrofy, ponieważ ich działania jednostkowe zyskałyby wsparcie na poziomie systemowym.

Pięć największych giełdowych spółek naftowych i gazowych wydaje prawie 200 mln dol. na lobbing na rzecz blokowania programów zapobiegania zmianom klimatu.

Zauważmy: jeszcze jakiś czas temu powszechnie zaprzeczano, że zmiana klimatu w ogóle ma miejsce. Gdy stała się już tak widoczna, że trudno jej zaprzeczyć, skupiono się na negowaniu tego, że jest wynikiem działań człowieka.

Jak to wygląda w Polsce? Partia rządząca nadal ma spore poparcie społeczne, mimo że nie słyszymy

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 102024b1cf

z jej strony zapowiedzi szybkiej transformacji energetycznej. Czy to odzwierciedla opinię Polaków?

– W zeszłym roku analizowałam przekonania Polaków dotyczące zmiany klimatu. Jedynie niewielki odsetek twierdził, że zmiana klimatu nie występuje, ewentualnie, że nie wiadomo, czy występuje. Relatywnie popularne było natomiast przekonanie, że zmiany klimatu wynikają z przyczyn naturalnych. Jeśli zaś ktoś myśli, że przyczyna jest poza działalnością człowieka, to myśli również, że nie musimy zmieniać swojego zachowania.

I właśnie taką otrzymujemy narrację: Unia niech robi, co chce, a my „idziemy swoim tempem".

– Jasne, że nie można zamknąć kopalni z dnia na dzień. Pytanie raczej, co oznacza „własne tempo". Gdy mówimy o terminie osiągnięcia neutralności klimatycznej przez UE, to nie wynika on z negocjacji z naturą. Z naturą nie ma negocjacji. Jeśli nie zdążymy, nie będzie terminu B.

Czy osoby wierzące negacjonistom są wolne od lęków?

– Oczywiście, że nie. Jedynie źródło tych lęków jest inne. Przecież komunikaty negacjonistów są w dużej mierze oparte na strachu i często wywołują lęk związany z zagrożeniem tradycyjnych wartości. Jeśli więc wierzysz, że węgiel jest elementem twojej narodowej tożsamości i podstawą bezpieczeństwa, naturalnie boisz się odchodzenia od węgla. Jeśli wierzysz, że prawdziwy mężczyzna je schabowe i zagryza gruzem – jak mawia żartobliwie mój przyjaciel – to pogarda dla warzyw jest w istocie maskowaniem własnych lęków.

Ale oni także widzą tę zimę bez śniegu!

– Tak, ale przecież jest przyjemnie, jeśli jest ciepło, prawda?

Za 20 lat już nie będzie.

– Jeśli nie będziemy działać zdecydowanie i szybko, ten optymizm zniknie już wkrótce, kiedy zaczniemy się borykać z poważnymi konsekwencjami upałów i suszy. Niestety, musimy je odczuć na własnej skórze, aby uwierzyć w to, co naukowcy zapowiadają od lat. Zresztą w wielu innych regionach świata ludzie dużo wcześniej doświadczali negatywnych skutków zmiany klimatu – kataklizmów, suszy, powodzi. Mogliśmy to obserwować, ale to działo się „u nich", nie u nas. To obnaża nasz problem z empatią i zgubny etnocentryzm.

Widoczny też w naszym stosunku do imigrantów.

– I tak jak odcinamy się od cierpienia ludzi, którzy są daleko od nas, słabo docierają do nas również zagrożenia w dłuższej perspektywie czasowej. Perspektywa 20 czy 30 lat wydaje się nam bardzo odległa. Stąd tendencja, by myśleć, że może „jakoś" tego wszystkiego nie będzie. Warto przy tym wspomnieć, że o konsekwencjach zmiany klimatu mówi się od bardzo dawna. Na przykład już w 1956 r. w „New York Timesie" pojawił się artykuł, w którym wskazywano, że skumulowane emisje gazów cieplarnianych z produkcji energii elektrycznej doprowadzą do poważnych zmian w środowisku. Pierwszy raport IPCC (Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu) ukazał się zaś 30 lat temu. Już wtedy pisano w nim o zagrożeniach i o tym, co powinniśmy zrobić.

Zastanawiam się, co odpowiadać na argument: co z tego, że my coś robimy, skoro Chiny nic nie robią. Albo robią za mało.

– Dzisiaj powinniśmy raczej zapytać pozostałych członków UE, co oni mają zrobić z nami, jeśli nie przystąpimy do unijnego celu neutralności klimatycznej. Dodam, że na razie prócz woli politycznej najbardziej nam chyba brakuje rzetelnej, przygotowanej przez naukowców edukacji – w szkołach, w telewizji publicznej – na temat zmian klimatu. Niestety, w tej chwili jesteśmy na etapie, gdy nasza wiedza zależy od tego, co przeczytaliśmy we własnym zakresie. I trafiamy na mnóstwo sprzecznych informacji, szczególnie tych wychodzących z potężnej machiny dezinformacji, o której już wspomniałam.

Widzę jeszcze jeden problem. Poczucie winy, że robimy za mało.

– Trzeba sobie wtedy zadać pytanie, czy możemy robić więcej. Jeśli możemy – róbmy. Jeśli nie – musimy sami siebie zrozumieć. Nie chodzi przecież o to, by się katować. Podsumowując: pomyślmy o tym, że jest bardzo dużo osób, które mają dobre intencje, chcą walczyć. Domagajmy się wsparcia ze strony systemowej – i nie mówię tylko o Polsce – ponieważ bez tego nie damy sobie rady. Ważne jednak, byśmy ciągle byli racjonalni, i pamiętajmy, że jest granica i musimy się nauczyć sami sobie przebaczać. Ulgi poszukiwać możemy też w grupach wsparcia, których przybywa, a jeśli niepokój czy przygnębienie dezorganizują nam życie i są źródłem cierpienia, warto zwrócić się do terapeuty.

Gdzie szukać takich grup?

– Jest ich coraz więcej w mediach społecznościowych. W poszukiwaniu rzetelnych informacji warto sięgać do źródeł naukowych. Często zaglądam na stronę naukaoklimacie.pl. Na uczelniach tworzone są obecnie specjalne programy edukacyjne, które, mam nadzieję, będą wkrótce dostępne szerokiej publiczności.

Anna Brzeska

Ryzyko problemów emocjonalnych pojawia się wtedy, gdy ludzie są świadomi zagrożenia, ale nie widzą możliwości przeciwdziałania.

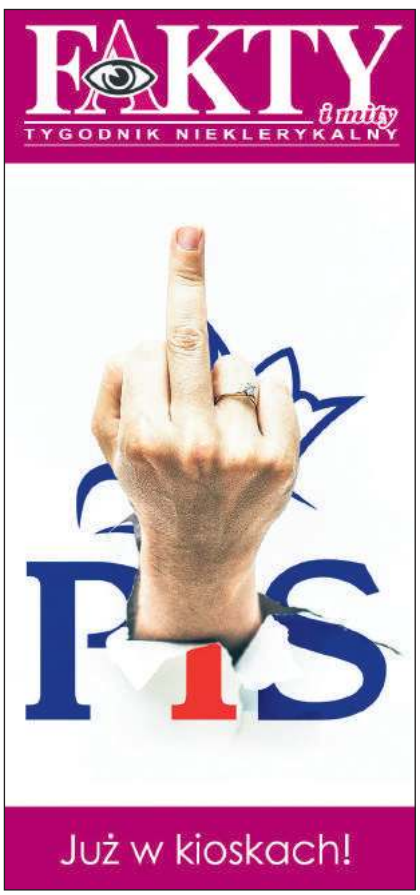

eprasa.pl 102024b1cf

Oko w oko

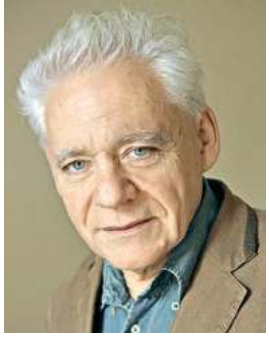

Tomasz Jastrun

Wielka wojna

W pobliskiej bibliotece jest półka, na której stoją książki wycofane z księgozbioru – można je sobie brać. Tytuły, które kiedyś zostałyby rozdrapane, teraz nie budzą pożądania i spokojnie zimują na tej półce. Znajduję tam skarb prawdziwy, „W stalowych burzach" Ernsta Jüngera. Bardzo cenię jego dziennik „Promieniowania", pisany w okupowanym przez hitlerowców Paryżu. Jünger rezydował tam jako wysoki rangą oficer Wehrmachtu. „W stalowych burzach" to dziennik i literacki reportaż z okopów I wojny światowej. Jünger całe bodaj życie pisał dziennik, a żył 103 lata. Dzięki pasji do notowania, także w okopach, ocalił tysiące szczegółów oraz przejmujący zapach brudu i śmierci. Książka miała w latach 20. wiele wydań, w kolejnych pisarz redukował tony nacjonalistyczne. Był bohaterem wojennym, można powiedzieć, że ciężko chorował na odwagę. Kilkanaście razy ranny, odznaczony wszystkimi możliwymi medalami. Z wielkim talentem maluje apokalipsę, mord wzajemny, sam też morduje, patrząc w oczy swoich ofiar. Zdumienie, jak można łączyć inteligencję, duszę artysty z ograniczeniem wrażliwości na ludzkie cierpienie. I nie widzi absurdu wojny, bo wierzy w hartowanie się ducha narodu, w ofiarę krwi. To nadawało jakiś sens bezsensowi apokaliptycznej rzezi.

Ludzkość jest autodestruktywna i niczego się nie uczy.

Nie tylko on na to chorował, miliony zaraziły się nacjonalistycznym obłędem. Od razu rodzi się pytanie: jak po takiej absurdalnej rzezi, za 20 lat, mogła mieć miejsce rzeź jeszcze większa, obozy zagłady, Holokaust? Niezbity dowód, że ludzkość jest autodestruktywna i niczego się nie uczy. II wojna światowa była ucieleśnieniem szaleństwa psychopaty, ale też efektem upokorzenia Niemiec przegraną wojną.

Jak łatwo można otumanić ludzi, którzy czują się upokorzeni, widzimy teraz w Polsce, w Stanach, w Wielkiej Brytanii. Dlaczego wybuchła I wojna światowa? Zupełnie zaskoczyła wszystkich. Powody nie są oczywiste. Znam historyka idei, który uważa, że wybuchła z powodu wielkiej nudy. Powiedzmy, że to był splot przyczyn, z nudą włącznie. A także reakcja łańcuchowa, jak od słowa do słowa między ludźmi dochodzi do mordobicia.

Książka Jüngera wkomponowała się w dwa nowe filmy. To australijski dokument „I młodzi pozostaną" zmontowany z odrestaurowanych i obdarzonych kolorem taśm z frontu. I oczywiście oscarowy „Rok 1917" genialnego Sama Mendesa. Filmy tak realistyczne, że tylko brakuje smrodu rozkładających się zwłok i krwi pryskającej na twarze widzów.

Brnę dalej w tę wojnę i wyciągam z półki moją ulubioną „Odciętą rękę" Blaise'a Cendrarsa. Walczył po francuskiej stronie, stracił rękę. Bohater wojenny i wybitny pisarz. Ta powieść też jest bliska dokumentowi. Idę dalej i pogrążam się w „Na zachodzie bez zmian" Remarque'a. Książka wybitna. Dla dopełnienia obrazu Apollinaire i jego frontowe wiersze i listy z okopów. Ta wojna zabije ciężko rannego poetę. Właściwie żaden z literackich dokumentalistów, oprócz Remarque'a, nie widzi w pełnym blasku absurdu tej rzezi. Opętany ciągłym szukaniem pomysłów, zazdroszczę pisarzom nie tylko talentu, ale i wspaniałego tematu.

•

Przez kilkanaście ostatnich lat wydawało się, że historia się skończyła, więc przestaliśmy obawiać się wojny termojądrowej. Trudno się bać tego, czego nie można sobie wyobrazić. Taka słabość wyobraźni bynajmniej nie chroni nas przed katastrofą. Bardzo się bano wojny w latach 50. i 60., pamiętam z dzieciństwa, jak wyły na próbę syreny pobliskich fabryk. I był kryzys kubański, apokalipsa nuklearna o włos. Uniknięto wtedy wojny też dlatego, że Kennedy tego dnia był w dobrej formie, a cierpiał na stany lękowe. Chruszczow cierpiący na chorobę dwubiegunową miał szczęśliwie depresję, a nie manię. I jakimś cudem dogadali się. A wszystko było już gotowe na koniec świata. Teraz świat także zdaje się gotowy na swój koniec. Jak nie zmiany klimatyczne, to realna jest wojna termojądrowa, nie może być inaczej, gdy broń atomowa wpada w ręce takich państw jak Korea Północna i Iran, zresztą Chiny i Rosja to też państwa zbójeckie, a prezydent Stanów Zjednoczonych jest kretynem. Zwaśnione o Kaszmir Indie i Pakistan siedzą na broni atomowej.

•

Postanowiłem, tak dla higieny psychicznej, napisać felieton bez jednego zdania o polskiej polityce, mimo takich atrakcji jak środkowy palec PiS w stanie wzwodu (a tacy cnotliwi), i wpadłem w jeszcze większe tarapaty. Straszę wszystkich końcem świata. A co będzie z dziećmi i z obrazami Vermeera i van Gogha?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 102024b1cf

Od lewej: Ada Chlebicka, reżyserka Natasza Parzymies i Ewelina Pankowska.

LGBT to ludzie, a nie **ideologia**

Niespodziewanie dla wszystkich o lesbijskim serialu „Kontrola" z Polski mówi cały świat. Łączna liczba wyświetleń na YouTubie sięga 28 mln

Artur Zaborski

Stojący za „Kontrolą" ludzie ledwo weszli w trzecią dekadę życia, a już mają serdecznie dość politycznych przepychanek wokół tematów, które dla nich są całkowicie normalne. I tak właśnie pokazują uczucie dwóch kobiet – jako coś zarazem powszedniego i niezwykłego, zwyczajnego i jedynego w swoim rodzaju. Niespodziewanie dla wszystkich o lesbijskim serialu z Polski mówi cały świat.

Kiedy w południowo-wschodniej części kraju kolejne samorządy przegłosowywały uchwały zakazujące „ideologii" LGBT, Natasza Parzymies, młodziutka studentka reżyserii Warszawskiej Szkoły Filmowej, skupiała się na leczeniu serca po bolesnym zakończeniu długiego związku. Uciekała w pracę. A miała co robić, bo na zaliczenie zajęć prowadzonych przez Macieja Ślesickiego musiała nakręcić pięć krótkometrażowych ćwiczeń filmowych.

Jednym z tematów był erotyk, idealny, żeby wykorzystać towarzyszące jej emocje. Szybko nakreśliła scenariusz i zaangażowała ekipę. Gdy weszli na plan, okazało się, że operator Filip Pasternak, aktorki Ada Chlebicka i Ewelina Pankowska oraz kierowniczki produkcji Magda Knapczyńska i Ola Rudzka mają do dodania coś od siebie. Reżyserka nie bojkotowała ich głosów, tylko uważnie im się przysłuchiwała. I dzięki temu stworzyła międzynarodowy fenomen. W chwili oddawania tego tekstu do druku łączna liczba odtworzeń „Kontroli" sięgała 28 mln. Dla porównania – galę oscarową, na której promocję wydaje się w USA krocie, oglądało w tym roku 23 mln Amerykanów. A najpopularniejszy w Polsce w 2019 r. odcinek serialu „M jak miłość" przyciągnął przed telewizory 5 810 128 widzów.

OCZY(WIŚCIE)

Choć oddani sprawie twórcy spierali się o każdy ruch bohaterek i ustawienie kamery, w jednym wszyscy zgadzali się bez słów: historia miłości pracującej na lotnisku jako kontrolerka Natalii (Chlebicka) i lecącej w podróż Majki (Pankowska) musi być opowiedziana za pomocą gestów, wzroku, tików. I być wolna od stereotypów tęczowego kina, w którym każdy bohater mierzy się z brakiem akceptacji, nietolerancją i walczy o szacunek. Studenci nie zamierzali powielać schematów.

– Dla mnie najważniejsze w kinie są spojrzenia. W oczach jest najwięcej. Miłości nie da się wyrazić słowami. Jest tym, co dzieje się między ludźmi. Ją widać, a nie słychać – przekonuje reżyserka. Barbara Pawłowska, wykładowczyni i prorektorka ds. studenckich Warszawskiej Szkoły Filmowej, uważa, że erotyk to sprawdzian wrażliwości, postrzegania świata, uważności i talentu studentów. – Erotyk jest najtrudniejszy, bo łatwo w nim przekroczyć granice dobrego smaku. Etiudę Nataszy Parzymies pamiętam doskonale, bo była najlepsza na roku. Nam, członkom komisji, podobało się wszystko: sposób opowiadania, poprowadzenia aktorów, oszczędność w słowach, delikatność i jednocześnie ogromne emocje – wylicza.

Po egzaminie zdanym na 4,5, co u wymagającej komisji WSF jest jedną z najwyższych not, do operatora Filipa Pasternaka podszedł wykładowca. – Był zdziwiony, że dostaliśmy zgodę, żeby kręcić na lotnisku. Nie spodziewał się, że studentom uda się wejść tam z kamerą. Nie zorientował się, że tak naprawdę kręciliśmy na Politechnice Warszawskiej – śmieje się Filip, rodzynek w sfeminizowanej ekipie.

Zgodnie ze zwyczajem studentów, którzy chcą nawzajem śledzić swoje dokonania, etiuda trafiła do internetu. Natasza Parzymies dodała do niej angielskie napisy, bo chciała przesłać link znajomym z zagranicy. Chwilę głowiła się nad tytułem. „Kontrola lotniskowa" wydała się jej za długa, więc skróciła to do samej „Kontroli". Bawi ją, że widzowie przypisują temu tak wiele znaczeń. – Dotarło do mnie po czasie, jak wielką zagwozdką dla oglądających jest tytuł. Czytam w komentarzach, że dopiero gdy wypuściliśmy finałowy odcinek, dla wielu staje się jasny. A powstał, kiedy nawet nie było planu kręcenia drugiego epizodu – śmieje się reżyserka.

Pokazaliśmy homoseksualną miłość w uniwersalny sposób. I chyba to wszystkich uwiodło.

Niespodziewanie licznik odtworzeń dwuipółminutowej „Kontroli" rósł, a ekipa zaczęła dostawać powtarzające się w kółko zapytania z całego świata: „Z jakiego filmu pochodzi ta scena?", „Kiedy wreszcie wrzucicie resztę?". Młodzi artyści za-

eprasa.pl 102024b1cf

stanawiali się, czym zaskarbili sobie sympatię widzów z różnych kręgów kulturowych. – Sama dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak rzadko temat homoseksualnej miłości jest poruszany – mówi odtwórczyni roli Majki, Ewelina Pankowska. – My pokazaliśmy ją w uniwersalny sposób. I chyba właśnie to ludzi uwiodło.

Przez pół roku Natasza Parzymies skrupulatnie tłumaczyła fanom, że „Kontrola" to zamknięta całość, jednocześnie akceptując kolejne napisy, które użytkownicy YouTube'a dodawali do jej filmiku. Najpierw pojawiały się te oczywiste języki: hiszpański, francuski, portugalski, rosyjski. Parę tygodni później doszły włoski, tajski, turecki, perski, arabski czy mandaryński.

– W statystykach mogliśmy podglądać, że oglądają nas na całym świecie. Mamy fanów na Tajwanie, w Chinach czy w Kuwejcie. W tym ostatnim intensywnie promował nas kolega, który tam studiuje. Wszystko rozchodziło się pocztą pantoflową, bez żadnej reklamy. Po prostu komuś podobało się to, co zobaczył, więc udostępniał link w mediach społecznościowych – tłumaczy Natasza.

Teraz, po udostępnieniu siódmego odcinka, dostała wiadomość od Brazylijki, która napisała, że choć nie rozumiała dialogów, popłakała się. To jeden z wielu głosów z Brazylii, gdzie fanów serial ma tak dużo, że w jednym z odcinków ekipa pokazała flagę tego kraju. Natasza: – Chciałyśmy w ten sposób wyrazić naszą wdzięczność.

BEZIMIENNE

Po pół roku zainteresowanie produkcją nie malało i reżyserka ugięła się. Uruchomiła zrzutkę w internecie na kolejne odcinki. A w procesie pracy nad dalszymi losami bohaterek ekipa zaczęła się zaznajamiać z ich historią, odpowiadać sobie na pytanie, kim właściwie są.

– Kiedy kręciliśmy etiudę, Natalia i Majka nie miały nawet imion. A ja z Eweliną się nie znałyśmy. Kiedy wchodziłam na plan, zastanawiałam się, jak osiągniemy napięcie, które towarzyszy naszym bohaterkom. Nie wiedziałam, czy się polubimy, a co dopiero czy pokażemy na ekranie tak intensywne uczucie – zwierza się Adrianna Chlebicka, serialowa Natalia.

Wątpliwości rozwiały się, gdy dziewczyny na potrzeby scenografii miały zrobić sobie wspólne *selfie*. – Kiedy zobaczyłam, ile przybierają przy tym póz i jak je to bawi, nie miałam już najmniejszych wątpliwości, czy uda im się pokazać chemię, o którą chodziło – wspomina Natasza Parzymies.

Praca nad kontynuacją scementowała ich przyjaźń. – Zżyłyśmy się do tego stopnia, że gdy w ostatnim odcinku całowałam inną dziewczynę, a Ewelina na to patrzyła, miałam wrażenie, jakbym ją zdradzała. Czułam się niezręcznie! – śmieje się Ada Chlebicka.

Kierowniczka produkcji Magda Knapczyńska macha ręką, kiedy pytam o budżet. Mówi, że „Kontrola" powstała nie dzięki pieniądzom, ale za sprawą ludzi dobrej woli, którzy nie odmawiali, nawet gdy powołujący się na przywiązanie do strony wizualnej amerykańskich filmów z przełomu lat 70. i 80., w rodzaju „Bliskich spotkań trzeciego stopnia" Spielberga czy „Łowcy androidów" Scotta, operator Pasternak wymyślał najbardziej nietypowe rozwiązania. Udało się zrealizować nawet tak abstrakcyjne jak deszcz na oświetlonej neonami stacji benzynowej, motyw sztandarowy dla kina za oceanem i praktycznie niespotykany w Polsce.

– Dostawaliśmy niespodziewane wsparcie. Nie natrafiliśmy na odmowę ze względu na temat. Nie przeszkadzał strażakom z podwarszawskiej gminy Prażmów, którzy lali wodę na plan na stacji Arto, którą udostępnili nam właściciele, również niewzruszeni tym, o czym opowiadamy – podkreśla Knapczyńska.

Na czas zdjęć stacja pozostawała czynna. Choć kręcono głównie nocą, klientów nie brakowało, bo w okolicy to jedyny punkt handlowy czynny całą dobę. Dochodziło do sytuacji, że stojącą za ladą Ewelinę Pankowską brano za pracowniczkę. Nawet kiedy Filip Pasternak zasłonił okna czarną płachtą, żeby już po wschodzie słońca imitować noc, i metodą chałupniczą wywołano pioruny, klienci odważnie wchodzili do środka, gdzie stawali przed aktorką, prosząc, żeby policzyła im zakupy. Lokacje udostępniono nieodpłatnie. Cała ekipa też pracowała *pro bono*, nawet Pankowska i Chlebicka, obecne na aktorskim rynku od lat. Jedynym wynagrodzeniem były kanapki, które producentkom udało się załatwić od jednej z firm cateringowych.

BEZ POLITYKI, BEZ POLITOWANIA

Choć przez ten czas dyskusja o LGBT w Polsce coraz bardziej się polaryzowała, młodzi twórcy, przystępując do pracy nad serialem, nie zamierzali się angażować w polityczny spór. Zaznaczają, że „Kontrola" nie powstała, żeby wspierać którekolwiek ugrupowanie, a wykorzystywanie jej w ten sposób będzie wbrew ich woli. Zamiast tego wypełniają lukę – gdy politycy próbują załatwiać swoje interesy, opowiadając się za lub przeciw mniejszościom, oni uczą empatii.

– Choćby u nas w szkole to nie jest w ogóle przedmiot dyskusji. Nikogo ze studentów ani wykładowców nie interesuje, jakiej orientacji są bohaterowie bądź twórcy. Liczy się historia i to, co z niej wynika, a nie sam

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, RAFAŁ SKŁODOWSKI

eprasa.pl 102024b1cf

temat – przekonuje Natasza Parzymies. – Dlatego od początku postanowiliśmy, że „Kontrola" nie stanie po żadnej stronie barykady, tylko pokaże uniwersalną historię o miłości – wtóruje jej Magda Knapczyńska. A reżyserka dodaje: – Wiedzieliśmy, że w ten sposób zdziałamy więcej, niż krzycząc do ludzi: „Hej, to, co wam pokazujemy, jest normalne!". Zamiast tego po prostu pokazaliśmy, że to jest normalne.

Problemu w tym, że Warszawska Szkoła Filmowa została rozpromowana na świecie dzięki filmowi o tematyce LGBT, nie widzą też władze uczelni. – Szkoła nie boi się etykietek, wspieramy studentów w ich pomysłach i działaniach, bo liczy się dla nas tylko jedno: dobry film. A „Kontrola" jest znakomita! I daleka od polityki. Tak jak miłość – mówi prorektorka Barbara Pawłowska, która zaangażowała się w pomoc nie tylko przy etiudzie, ale też przy pozostałych odcinkach, realizowanych już poza szkołą.

Strategia młodych twórców przyniosła zamierzony efekt. Zamiast wyklinania w komentarzach otrzymują podziękowania zarówno od osób LGBT, jak i od widzów heteroseksualnych. Nawet tych, którzy na co dzień deklarują się jako przeciwnicy mniejszości. – Nie było do tej pory żadnego hejtu. Natrafiliśmy nawet na wypowiedzi: „Nie wspieram tego całego LGBT w Polsce, ale kocham to, co wy robicie. Czekam na ciąg dalszy!". Dla nas to najlepsze, co można dla sprawy zrobić, bo ludzie, oglądając „Kontrolę", kompletnie zapominają o politycznej otoczce tematu – cieszy się Natasza. – W końcu złamane serce boli każdego tak samo.

– To również dowód, że kiedy ludziom pokazuje się własną wrażliwość, mogą się nią zarazić – dodaje Ewelina. – Jeśli chodzi o uczucia, wszyscy mówimy tym samym językiem.

Podejście twórców okazało się na tyle oryginalne w Polsce, że od kilku tygodni ich telefony nie przestają dzwonić. Poza gratulującymi sukcesu znajomymi odzywają się najwięksi gracze na filmowym rynku, łącznie z jedną z najważniejszych platform streamingowych. Autorzy jednak nie rzucają się na każdą propozycję, tylko spokojnie negocjują warunki. W przeciwieństwie do wielu młodych ludzi w tej branży doskonale wiedzą, czego chcą – a na ten moment jest to kontynuacja „Kontroli".

Deklarują, że jeśli wejdą we współpracę z którąś z grubych ryb, to tylko w tym celu, bo robienie remake'u pierwszego sezonu ich nie interesuje. Wychodzą z założenia, że są winni ciąg dalszy fanom, którzy nawołują ich do powrotu na plan. Tylko gdy siedzimy w Barze Studio w środowe przedpołudnie, aktorka Ewelina Pankowska dostaje podziękowanie od widza z Hongkongu, a Filip Pasternak pytanie od meksykańskiego operatora, czy może użyć jego zdjęć z „Kontroli" jako referencji w swoim projekcie. To pokazuje, o jakiej skali zainteresowania mówimy. Pozostaje się cieszyć, że w ten sposób młodzież odczarowuje wizerunek Polski na świecie.

Artur Zaborski

eprasa.pl 102024b1cf

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Sceny narodowe

Obrady sejmowe zawsze sprawiały na mnie wrażenie teatru w złym guście – jakby na scenę narodową wdarli się naturszczycy bez krzty talentu aktorskiego, by uparcie odgrywać nobliwe role, które autor pisał z myślą o zawodowcach. Od kiedy scena polityczna w Polsce podzieliła się na partyjny duopol, wygląda to jak amatorska nawalanka Montecchich i Capuletich. Nie chodzi tu o żadne nadrzędne dobro ojczyzny, tylko o to, kto kogo z przeciwnego klanu dźgnie i usiecze – na razie retorycznie. Posłowie obozu rządzącego prezentują się w tym tyngiel-tanglu nader nieurodziwie jako zgraja parweniuszy lub najzwyklejszych chamów przyodzianych w kostiumy i immunitety. Jedno, co czyni z ich (za)istnienia przy Wiejskiej dramat szczery i prawdziwie zajmujący, to imperatyw upokorzenia oponentów – ta diabla satysfakcja, że można komuś pokazać, jak bardzo się go ma w pogardzie. Resentyment, nienawiść i kompleksy – to wszystko wyziera z ich gęb nieustannie, tego ukryć nie potrafią, a ostatnio – jak w przypadku pewnej korpulentnej i zajadłej posłanki wycierającej oko – nawet nie chcą.

Komedianci z nich kiepscy, ale nienawistnicy z urodzenia, przeto patrzeć na wystąpienia kaczystów w sejmowym teatrum można z realną bojaźnią i trwogą. Mieszkam przy Wiejskiej, podczas zebrań sejmowych wyczuwam przez ściany taką kumulację złej energii, że czym prędzej zwiewam byle dalej, choćby do teatru prawdziwego. Skądinąd w teatrze też marudzę niczym stetryczały Don Juan: ilekroć zbliża się premiera, merdam kością ogonową z podniecenia, oczekuję olśnienia, misterium, metafizycznych dreszczy i czego tam jeszcze – a w trakcie spektaklu cały zapał więdnie. Miały być rozkosze, a jest rutyna, marazm, ani to mądre, ani ładne, znowu się nie udało, cóż, próbować trzeba.

Szczególnie teatr postdramatyczny mnie mierzi, bo waży sobie lekce słowo jak żaden inny, autorem się wspiera najczęściej jedynie w tytule, odbiera mu tekst oryginalny, ba – gardzi oryginałem niejako programowo. W teatrze postdramatycznym przedmiot adaptacji jest jedynie trampoliną, z której reżyserzy ochoczo skaczą do basenu bez względu na to, czy jest w nim woda. Sławetna „Klątwa", dla której kiedyś poświęciłem ostatnie zwycięstwo Ruchu Chorzów nad Legią Warszawa (z perspektywy czasu waga tej utraty rośnie do rozmiarów niepowetowanych), zirytowała mnie przecież nie za sprawą doraźnej żarliwości publicystycznej ani też z powodu *fellatio* dokonanego na papieskiej pycie (paragraf za obrazę tzw. uczuć religijnych uważam za niedopuszczalny w świeckim państwie, równie dobrze należałoby karać tych, którzy znakiem krzyża obrażają czyjeś „uczucia ateistyczne"). Najbardziej wkurzyło mnie to, że w tytule ostał się Wyspiański. Jak mnie kto zaprasza do teatru na swoją autorską halucynację, chętnie skorzystam, ale niechże się pod nią podpisuje, zamiast nadpisywać na innym twórcy.

Teatr Narodowy w Warszawie ma jedną zaletę stałą i niepodważalną – otwarty na reżyserów wyznających najrozmaitsze paradygmaty, postdramatystom mówi „nie". Chcesz wystawić klasyka nowocześnie, a nawet ponowocześnie – hulaj dusza, bylebyś o tekście nie zapomniał. Co prawda, dyrekcja w osobie Jana Englerta coraz częściej idzie na kompromis i zezwala reżyserom poszukującym na, by tak rzec, niekanoniczne traktowanie litery oryginału – ale tekst ostać się musi – misją sceny narodowej jest także trzymanie pieczy nad klasyką literatury dramatycznej. TN-owi udaje się przy tym unikać staroświeckich, by nie powiedzieć ramotowatych, bryków dudniących od deklamacji. Na premierę „Woyzecka" w reżyserii Piotra Cieplaka wybierałem się zatem spokojny – nawet gdyby Cieplak zrobił przedstawienie poniżej swoich możliwości, oczy można zamknąć i posłuchać arcydzielnego tekstu Büchnera. Jakże więc pogniewałem się na reżysera za to, że uznał za sposobne przyozdobić ten diament pozłotką.

Ja wiem, jak to bywa: zespół jest duży, aktorzy muszą mieć robotę, czasem ktoś podszepnie, żeby się zlitować nad Sławkiem czy inną Maryśką, bo nie mają co grać ostatnio. Albo inaczej: coś podszepnie reżyserowi, że może i tekst jest wspaniały, ale należałoby go jakoś wzmocnić, dowspanialić, od przybytku głowa nikogo nie rozboli, zwłaszcza że to przybytek Narodowy. Cieplak dołożył „Woyzeckowi" z grubej dwururki: nie dość, że apokaliptyczność tej tragedii wzmacniać mają fragmenty biblijnej Apokalipsy, recytowane przez aktora wdrapującego się z tej okazji za każdym razem na taborecik (dobrze, że nie na drabinkę), to jeszcze dramat obramowany jest alegoryczną baśnią Andersena, którą wypowiada aktorka, usytuowana na wszelki wypadek gdzieś między sceną a widownią, gdyby kto nie rozpoznał, że to nie Büchner, że to z innego porządku historia. Wyczułem w takiej kompilacji tekstów raczej grzech rutyny niż pychy – stary wyga Cieplak może po prostu trochę już się nudzi, realizując klasyków, nawet jeśli chodzi o tekst romantycznego rewolucjonisty. A może by tak wyreżyserować psychodramę sejmową choć raz? O, to nie byłoby nudne – z marszałkowskiego siedziska pokierować obradami tak, żeby znowu dało się bez grymasu obrzydzenia słuchać i widzieć tych wybrańców narodu. Bo ich słowa „są – wiem, że to niepojęte – słowami jednego i tego samego języka" (mistrz Barańczak).

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 102024b1cf

Tomasz Jastrun

Opiłki i okruszki

Teraz coraz więcej kobiet mu się podoba, co z tego, skoro nie ma już szans i nie wypada. Nie wypada też dlatego, że nie ma szans

2009

Patrzył na wagę jak na osobistego wroga. Bał się, co mu powie. Wiedział, że nie mieści się w spodniach i w koszulach, lustro też nie miało litości, brzuch zdawał się coraz większy. Gdy stał pod prysznicem i patrzył prosto na dół, nie widział już swojego przyrodzenia, a rok temu widział. Niedobrze. Mniej więcej raz dziennie, na ogół rano przed prysznicem, pod wrażeniem swego brzucha postanawiał – od dzisiaj zaczynam się odchudzać. Bywało, że trzymał się dzielnie z niejedzeniem do południa, a nawet do popołudnia, tragedia zaczynała się wieczorem, kiedy ogarniał go wilczy apetyt. Obżerał się wtedy, myśląc: Ostatni raz tak się objadam, od jutra piję tylko gorącą wodę. Co gorsza, miał problem z zasypianiem. Nie spał już z żoną w jednym łóżku, bo podobno chrapał. Jeśli po dwóch godzinach rzucania się na łóżku szedł do kuchni i zjadał musli z mlekiem, zasypiał jak niemowlę. Kiedy tak rzucał się na łóżku, nie mogąc zasnąć, zwykle czas zapełniał erotycznymi myślami. Wspominał wszystkie kobiety, z którymi się kochał, robił to z nimi jeszcze raz w myślach, za każdym razem jakoś po nowemu, więc nigdy mu się nie nudziło. Czasami wyobrażał sobie, że robi to z żoną. Coraz bardziej jestem zaplątany w sobie, myślał, wywikłam się, jak umrę. Tej nocy jakimś cudem zasnął bez jedzenia. Obudził go chrobot klucza w zamku. Żona spała, nieświadoma, że ktoś próbuje się włamać do ich mieszkania. Poczuł nagle wielki lęk i chęć, by zakopać się jak najgłębiej w kołdrze. Odważny za dnia, w nocy był tchórzem. Pobiegł jednak do kuchni, wyjął z szuflady najdłuższy nóż i zaczął skradać się do drzwi. Klucz nadal chrobotał w zamku.

– Kto to? – zwołał tak grubym i stanowczym głosem, na jaki było go stać.

Chrobot ustał, ale czuł, że po drugiej stronie drzwi ktoś jest. Podążył do łazienki, by włożyć szlafrok i ponownie z nożem w dłoni stanął przy drzwiach. Było cicho. Nagle ujrzał, że spod drzwi wypływa jakiś płyn, zastanawiał się, co to jest, po chwili był już pewien, że to mocz.

– No jeszcze tego brakowało – powiedział do siebie. To zabrało jednak część grozy sytuacji, za to wzbudzało jego gniew. Gwałtownie otworzył drzwi, zwalił się na niego pijany sąsiad. Zdawał się nieprzytomny. Usłyszał jęk od strony sypialni, żona stała w koszuli nocnej z zaciśniętymi dłońmi przy ustach.

– Kto to, on żyje?

– Pijany sąsiad spod dwudziestki, najgorsze, że nasikał.

– Po co żeś otwierał drzwi?

– Po co, po co – przedrzeźniał ją. – Dobierał się kluczem do zamka.

Wziął sąsiada za nogi i wyciągnął na korytarz. Ten korytarz zdawał się dłużyć w środku nocy i milczał przeciągle. Poszedł pod dwudziestkę i zadzwonił. Nikt nie otwierał, dzwonił kilka razy, nic. Nie są tacy głupi, żeby otwierać, mruknął. Wrócił do mieszkania, leżący poruszył się i jęknął, zdawało mu się, że wyraz twarzy ma radosny, nawet kpiący.

– Ja tych szczyn nie będę sprzątać – powiedziała żona.

– Ja też nie – odparł. – To tak zostanie, posprząta, jak oprzytomnieje.

Jakby nigdy nic poszła do łóżka, w trudnych sytuacjach zawsze go zostawiała samego. Wziął szmatę i wytarł kałużę. Potem płukał ją, krzywiąc się z obrzydzenia. Nagle poczuł, że ktoś patrzy na niego. Patrzyła waga. Zrzucił szlafrok, koszulę, wysikał się, zupełnie nagi i zdesperowany wszedł na nią. Zawahała się. Wyrok był druzgocący: 92 kilogramy. O pięć kilogramów więcej niż rok temu. Przekroczył czerwoną granicę setki. A to skurwiel jadowity, bydlę jedno, pomyślał o sąsiedzie, niech go szlag trafi, niech zdechnie na tym korytarzu.

2011

Coraz rzadziej jeździł samochodem, parkowanie w mieście stało się koszmarem. Nauczył się w autobusie czytać, czytał, nawet stojąc w tłoku. Teraz też jedną ręką trzymał się poręczy, w drugiej miał otwartą książkę, do której zerkał. Zwrócił uwagę na dziewczynę, siedziała obok okna, też czytała. Nastolatka. Kiedyś nie zwróciłby na nią uwagi. Nie była ładna wedle jego dawnych gustów, ale teraz coraz więcej kobiet mu się podoba, co z tego, skoro nie ma już szans i nie wypada. Nie wypada też dlatego, że nie ma szans. Szczupła, bardzo szczupła, ale nie wychudzona, uroda charta. Jasne włosy, mały kolczyk w nosie i na wardze. Jak to się czuje przy całowaniu? Starał się podejrzeć, jaką książkę czyta, głupi romans czy coś poważnego? Na pewno ma chłopaka, tacy beznadziejni są chłopcy w jej wieku, poczuł, że mu zazdrości tej dziewczyny, na pewno jest niedoświadczonym, bezradnym kochankiem, gorszym niż on… Nie mógł się już skupić na czytaniu, obserwował dziewczynę. Musiała poczuć jego spojrzenie, oderwała się od książki, spojrzała na niego i w popłochu zerwała się z miejsca.

– Bardzo pana przepraszam, nie zauważyłam, proszę usiąść.

– Nie! – powiedział stanowczo. – Proszę siedzieć.

Była uparta, nie chciała już siadać na powrót, on też uparł się nie korzystać z jej grzeczności. Rozejrzał się, miał wrażenie, że ludzie patrzą na niego ze współczuciem, myślą, żałosny stary, nie może pogodzić się ze swoim wiekiem i się kryguje. Tak się spłoszył tymi spojrzeniami, że

eprasa.pl 102024b1cf

jednak usiadł i pogrążył się w książce, ale tylko udawał, że czyta, słowa nie układały się w zdania.

2013

Do sanatorium w Ciechocinku przyjechał kilka dni temu. Przebywał tu w dzieciństwie z babcią. Pyszny był kefir, nie ma teraz takiego kefiru, piło się go ze szklanych butelek, ten smak ma w pamięci. I tężnie, zapach soli, drewniane słupy pokryte białym kożuchem, lizał sól namiętnie, pamięta fontannę w postaci grzybka, woda przelewała się przez jego brzegi z oceanicznym szumem. Niedawno znalazł starą fotografię z Ciechocinka, stoi pod parasolką z dziewczynką w jego wieku, w krótkich niezgrabnych portkach, ona w sukience w groszki, patrzą na siebie. Już nawet nie wie, czy naprawdę pamięta tę dziewczynkę, czy tylko zna ją z fotografii. Pamięć przeszłości zwykle jest niepewna i pełna zakłamań. Z Kasią już nigdy się nie spotkał. Jeśli żyje, to jest o rok starsza od niego, już dawno po klimakterium, może po kilku mężach, z pomiętym i pokrzywionym życiem.

Czuł się w tym Ciechocinku samotnie, a jednak chronił się przed ludźmi, męczyli go. Czasami zdawało mu się, że czuje zapach nudy, ten, który pamiętał z wczesnego dzieciństwa. Nie mógł się skupić na lekturze książek, wziął ich dużo, tak na wszelki wypadek. Zauważył, że z biegiem lat coraz więcej rzeczy robi na wszelki wypadek, wychodzi na pociąg o pół godziny wcześniej niż kiedyś, na wszelki wypadek bierze w podróż lekarstwa, których potem nie używa, więcej koszul i majtek na wyjazd, niż potrzeba, domyślał się, że ze strachu przed życiem, który był teraz większy niż kiedyś. Miał przecież mniej sił i energii i już wiedział, jak wszystko jest kruche i przemijające.

Z zabiegów najbardziej lubił masaże. Masażystki były młode i ładne, miały silne, sprawne dłonie. Starał się nie rozmawiać z nimi, chociaż chętnie mówiły, skupiał się tylko na swoim ciele i na przyjemności. Ciało było już zużyte, sfatygowane, ale nadal czułe na dotyk.

Cały Ciechocinek kojarzył mu się teraz ze szpitalem geriatrycznym. Przed wyjazdem znajomi śmiali się, że jedzie romansować. Taką opinię mają sanatoria. Samotność, wolny czas i poczucie, że to ostatnia okazja na cielesną i duchową bliskość, sprzyjają flirtom i romansom. Przyjeżdżają tu ludzie, ciągnąc za sobą choroby i ruiny swojego życia. Jak nie pozwolić sobie na grę w złudzenia.

Tego dnia miał być wieczorek zapoznawczy. O, nie ma mowy, pomyślał, potem wahał się, pójdę tylko jako obserwator, tak dla zgrywu, będzie potem o czym opowiadać znajomym i czym straszyć żonę. Nie chciał być jednym z tych podstarzałych, żałosnych kuracjuszy. Czuł się lepszy, głupio mu było z tą wyższością, a jednak czuł ją całym sobą i był wobec niej bezradny.

Usiadł w kącie, zamówił herbatę i patrzył spode łba na podstarzałych zalotników uwijających się wśród stolików, przy których szczebiotały, oczekując na awanse, wystrojone kuracjuszki. W pobliżu siedziała samotna kobieta, pewnie w jego wieku, może trochę starsza, zawsze dziwił się, jak starzy są ludzie w jego wieku. Musiała być kiedyś ładna. W myślach zawędrował całkiem daleko po śladach jej dawnej urody. Spostrzegła, że się jej przygląda, i uśmiechnęła się. Trochę się spłoszył, ale zaraz też się uśmiechnął.

– Pan od dawna tutaj? – zagadnęła.

– Od wczoraj.

Zaczęli rozmawiać, po chwili przysiadł się do niej. Wytworzyła się szybko bliskość, opowiedzieli sobie nawet w skrócie swoje życia. Była wdową, wyszła z raka, nie była zgorzkniała, była pogodna i śmiała. Powiedział, że kilka lat temu miał wypadek samochodowy, ledwie wyszedł z życiem, miał wtedy uraz głowy i uszkodzony bark i teraz ten bark się odzywa. Pokazał bliznę na czole. Opowiedział jej dokładnie o tym wypadku. Zdawała się serdecznie poruszona. Nagle zapytała, czyby z nią nie zatańczył? Nie wypadało odmówić. Ostatni raz tańczył tango w młodości, z dziewczyną, której nie znał, która mu się tak łatwo oddała, i która go potem tak brutalnie odtrąciła. Minęło tyle lat, a nadal tęskni za nią, tamtą dawną, niezmienioną przez czas. Potem tango wyszło z mody, bo wszystko przyśpieszyło, także taniec. Starsza pani ładnie pachniała, jakoś podobnie do tamtej dziewczyny, której imię zapomniał i nie pamiętał, jaki kolor miały jej oczy. Poczuł podniecenie do tamtej dziewczyny, a ono przelało się na obecną, one obie zaś jakimś cudem scaliły się w jedną osobę.

Szli potem do swoich pokoi, które były blisko siebie, jaki przypadek.

– Może zajdziesz do mnie? – Sam siebie zaskoczył tą propozycją. I że przeszedł z nią samowolnie na ty.

Spojrzała na niego zdziwiona, jakby z wyrzutem, i pokręciła przecząco głową.

W pokoju zajrzał w lustro i wykrzyknął do swojej gęby: – Jesteś stary dziad, już nawet staruszki cię nie chcą, wygłupiłeś się, jaki wstyd! – Wstydzę się! – krzyknął na cały głos.

Fragmenty książki Tomasz Jastruna *Opiłki i okruszki*, Czarna Owca, Warszawa 2020

eprasa.pl 102024b1cf

KURTYNA W GÓRĘ

Georg Büchner, „Woyzeck", tłumaczenie Jerzy Liebert, opracowanie tekstu i reżyseria Piotr Cieplak, Teatr Narodowy, premiera 15 lutego 2020

NA SREBRNYM PÓŁMISKU

Niezwykły, poetycki spektakl. Aż wierzyć się nie chce, że historii tak tragicznej Piotr Cieplak nadał formę przypowieści o daremnych ludzkich marzeniach. Baśniową atmosferę wprowadził fragmentami ze „Szczęśliwej rodziny" Andersena, rezonującej z nieukończonym dramatem Büchnera. Baśń o rodzinie ślimaków to nieledwie subtelna, lecz okrutna dobranocka, którą przez cały spektakl opowiada Babcia (Sławomira Łozińska). Ślimaki królują w gęstwinie łopianów, marząc, że pewnego dnia zostaną ugotowane i podane na srebrnym półmisku w pobliskim dworze. Ale dwór popadł w ruinę i marzenie staje się równie nierealne jak sen Woyzecka (Cezary Kosiński) o okruchu szczęścia.

Traktowany jak przedmiot, strofowany przez Kapitana, wykorzystywany jako królik doświadczalny przez Doktora, poniżany przez Tamburmajora, Woyzeck tylko raz się zbuntuje. Zdarzy się to wówczas, kiedy zrozumie, że musi uchronić swoją kobietę przed złem świata. Scena, w której dochodzi do mordu, przejdzie do historii polskiego teatru jako najbardziej liryczne zabójstwo z miłości.

Jest w tym spektaklu wiele niezwykłego. Zaciekła musztra pod ręką Tamburmajora (Oskar Hamerski). Śpiewane apokaliptyczne proroctwa natchnionego Dziada (Mariusz Benoit). Rozpasany pokaz dziwolągów z trupy wędrownych artystów. Lekcja anatomii Doktora (Paweł Paprocki). Niekończące się połajanki, którymi walczący z postępującymi trudnościami wymowy Kapitan (Jerzy Radziwiłowicz) smaga Woyzecka. Słowem, galeria odrażających monstrów i prześladowców.

Piotr Cieplak działa obrazami i dźwiękami, w ścisłej współpracy z Andrzejem Witkowskim (scenografia) i twórcami muzyki, budując emocjonalne sceny rozpięte między snem i brutalnością. Morderca Woyzeck w tym świecie sprawia wrażenie kruchej, zaszczutej ofiary.

Tomasz Miłkowski

Lidia Amejko, „Silesia, silentia", reżyseria i scenografia Marek Fiedor, Wrocławski Teatr Współczesny, spektakl 14 lutego 2020

PŁASZCZ JAKO CZŁOWIEK

Symbolistyczne widowisko z repertuaru Wrocławskiego Teatru Współczesnego zawiera najbardziej wstrząsającą scenę odnoszącą się wprost do niedawno obchodzonej rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz. Kilkadziesiąt równo wiszących płaszczy za jednym podcięciem niemieckiego żołnierza zwala się na bezładną stertę, a potem krążący wokoło oprawcy wybierają z niej dla siebie co lepsze. W tym przedstawieniu nie drażni nagość aktorów, bo ona też była codziennością zbrodni przeciwko ludzkości. Ale historia płaszczy uszytych przez żydowskiego krawca na tym się nie kończy. Niektóre przeżyły wielokrotnie swoich właścicieli. Jesteśmy świadkami wyzwolenia, a potem Światowego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu i towarzyszymy mieszkańcom Dolnego Śląska w ich pracy, rozterkach i radościach. Stare-nowe płaszcze budują mozolnie ich tożsamość i dowodzą, że nie wolno zapomnieć żadnego fragmentu historii, naszej i obcej.

Bronisław Tumiłowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Steve Cavanagh

Trzynaście

tłum. Janusz Ochab

Albatros, Warszawa 2020

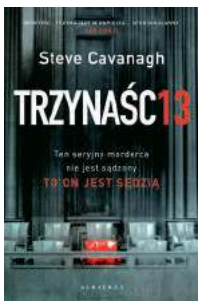

Dziś obrońca, dawniej oszust, w dodatku ze skłonnością do zapijania problemów – taki obraz amerykańskiego adwokata ociera się o karykaturę. Jednak Eddie Flynn ma sumienie i zasady. Przede wszystkim nie broni winnych. Nie odpuszcza też policjantom, którzy próbują dopasowywać wyniki śledztwa do swoich przekonań. Jeżeli manipulowali dowodami, zostaną na sali rozpraw zdemaskowani. Jak można się domyślać, funkcjonariusze za Flynnem nie przepadają, ale właśnie atakowanie ich ma być jego zadaniem w głośnym procesie o podwójne morderstwo. Dołącza do zespołu z potężnej kancelarii – i nic nie przebiega tak, jak zakładał. Oskarżyciel to z kolei uosobienie najgorszych cech amerykańskiego prokuratora, tym razem bez żadnego ale. Chodzi mu o walkę i szybką wygraną, a nie o byle prawdę i sprawiedliwość. Jednak nie on jest największym problemem. Flynn ma za przeciwnika zabójcę, który uwielbia zastawianie pułapek.

„Trzynaście" to thriller prawniczy po tuningu, wyścigówka. Cavanagh potwierdza tu talent do konstruowania zwrotów akcji, którym wykazał się we wcześniejszych „Wkręconych", i brawurowo wchodzi w kolejne zakręty. Ostra jazda!

Aleksandra Pańko

eprasa.pl 102024b1cf

NA EKRANACH

NĘDZNICY

reż. Ladj Ly, prod. Francja, w kinach od 28 lutego

Już Victor Hugo w „Nędznikach" pisał o Montfermeil jako o dzielnicy występku. Od jego czasów sytuacja zmieniła się tylko na gorsze, choć początek debiutu Ladja Ly sugeruje co innego – zwycięski dla Francuzów Mundial 2008 zdaje się przecież wszystkich jednoczyć. Podzielony na strefy wpływu Paryż na chwilę zapomina o rozłamach. Ale to radość krótkotrwała. Nie jest w stanie zlikwidować panujących na co dzień napięć. Nasilają się zwłaszcza te między białą policją a czarnymi dzieciakami. Jedni ani drudzy nie znają pojęcia szacunku. Funkcjonariusze trzymają okolicę pod butem. Gdy dociskają, dzieciaki sięgają po kamienie i petardy. Wtedy policjanci dociskają jeszcze bardziej. Przedmieścia to beczka prochu. Pytanie tylko, kto podpali lont.

Ladj Ly, choć sam wywodzi się z Montfermeil, nie trzyma niczyjej strony. To siła, ale też paradoksalnie największa słabość jego filmu, mocno zaangażowanego, lecz niepotrafiącego wskazać, kogo oskarża. W efekcie krzyk twórcy rozchodzi się w każdym kierunku, trochę do wszystkich, trochę do nikogo. Za to nie można gniewnemu reżyserowi odmówić warsztatu. Świetnie buduje napięcie i wyzwala złość w bohaterach – czarnych nastolatkach. Przez przypadek nagrywają dronem nadużycia policjantów, którym wyjątkowo zależy na zatuszowaniu sprawy. Żeby zdobyć kartę pamięci z nagraniem, nie cofną się przed niczym. Nie spodziewają się jednak, do czego jest zdolna wkurzona młodzież, dla której przekraczanie granic prawa to nie forma buntu, tylko rzeczywistość, w jakiej się wychowała. Z każdym kwadransem projekcji wszyscy przekraczają kolejne bariery: moralności, humanitaryzmu, kodeksu.

Świat wartości rozpada się na naszych oczach, gangsterzy zrównują się z policjantami. Wolność, równość, braterstwo są już możliwe tylko w anarchii. Po seansie inaczej patrzy się na zamieszki wywołane przez żółte kamizelki. Bo wreszcie realia imigranckich przedmieść pokazują nam nie biali reporterzy, tylko sami zainteresowani. Ten widok ściska za gardło. Nic dziwnego, że przyniósł Ladjowi Ly nominację do Oscara.

Artur Zaborski

ZAJRZYJ TU

Tomasz Nalewajk

Chciałbym, żeby dzisiaj coś się wydarzyło

Wydawnictwo Cyranka, Warszawa 2020

Niszowe wydawnictwo Cyranka pozwoliło sobie na coś, na co nie zdobywają się wielcy wydawcy – opublikowanie wyrazistej i opasłej (ponad 700 stron!) powieści debiutanta. Temat książki, zmagania głównego bohatera, Marka, z alkoholem, narkotykami i demonami przeszłości, jest dość banalny, ale pośród dziesiątek podobnych tytułów corocznie rzucanych na rynek ten jest wart uwagi. To opowieść autentyczna. Niestety, autor nie ustrzegł się typowych dla debiutanta błędów. Choć powieść wciąga i nie pozostawia obojętnym, momentami jest przegadana, niektóre wątki są zbyt rozbudowane, napęczniałe od słów, z drugiej strony brakuje dobrze zarysowanego tła. Być może Nalewajk jeszcze się nie nauczył, że najważniejsze w pisaniu jest skreślanie. Mimo wszystko czekam na jego kolejną powieść, bo widać, że ma zmysł pisarski, odwagę i przenikliwość. Jeśli pozbędzie się gadulstwa, może namieszać wśród autorów nowej prozy polskiej.

Rafał Pikuła

ANDRZEJ KRAUZE
Lekcja fruwania

Wybitny rysownik Andrzej Krauze od prawie 40 lat mieszka i tworzy w Londynie. W Polsce zapamiętany został głównie jako twórca satyryczny, zwłaszcza że starsi pamiętają jego prace z lat 70., publikowane w „Kulturze". Wystawa w Zachęcie skupia się jednak na ilustracjach i rysunkach tworzonych w ostatnich 30 latach w ramach współpracy z „Guardianem". Rysunki Krauzego to nie tyle rysunki satyryczne, ile „uniwersalne komentarze bez słów, ilustracje, alegorie, czasem wprost nawiązujące do tematu artykułu, często jednak będące swobodną interpretacją całych wątków. Niejednokrotnie autonomiczne dzieła", jak podkreślono w opisie wystawy.

WARSZAWA, ZACHĘTA, DO 17 MAJA

SECESJA W METALU

W muzealnym skarbcu możemy podziwiać ok. 40 secesyjnych wyrobów ze srebra, cyny i innych metali, powstałych w latach 1898--1910. Zastawy stołowe, wyposażenie wnętrz i drobne przedmioty dekoracyjne zdobiły domy średniozamożnej klasy średniej, ciesząc oko niezwykłym wyglądem. Nie nadszarpywały finansów właściciela, bo do ich produkcji użyto nowych, opatentowanych stopów, które skutecznie konkurowały ze szlachetnymi kruszcami. Za projektami „metalowej secesji" stoją Hugo Leven, Theo Blum, Friedrich Adler czy Ernest Sanglan.

MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU, DO 19 KWIETNIA

Kolumny przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, KRZYSZTOF BIELIŃSKI, ARKADIUSZ PODSTAWKA (2)

eprasa.pl 102024b1cf

Rozmawia Barbara Jagas

Na razie epidemia podejrzeń

Chroniąc się przed koronawirusem, już teraz powinniśmy się zaszczepić przeciwko grypie

Panie inspektorze, jak polskie państwo jest przygotowane na zetknięcie z koronawirusem?

– Na szczęście w Polsce nie mamy potwierdzonego laboratoryjnie przypadku zachorowania, to tylko epidemia podejrzeń. W chwili obecnej ograniczone są połączenia z Chinami, czyli możliwość zawleczenia wirusa z Wuhan zmniejsza się. Prawdopodobieństwo, że taki przypadek pojawi się w najbliższej przyszłości, jest niewielkie, choć istnieje. Dlatego służby graniczne na lotniskach zostały przeszkolone, jak się zachowywać w przypadku kontaktu z osobą podejrzaną o zakażenie. Na terenie całej Polski są w szpitalach oddziały chorób zakaźnych, do których powinni się zgłaszać ci wszyscy, którzy wrócili z Chin bądź mieli kontakt z osobami, które mogły być chore, i wystąpiły u nich objawy infekcji dróg oddechowych, szczególnie gorączka, kaszel i duszność. Taki człowiek powinien być poddany obserwacji w szpitalu, izolacji oraz diagnostyce, by wykluczyć zakażenie koronawirusem.

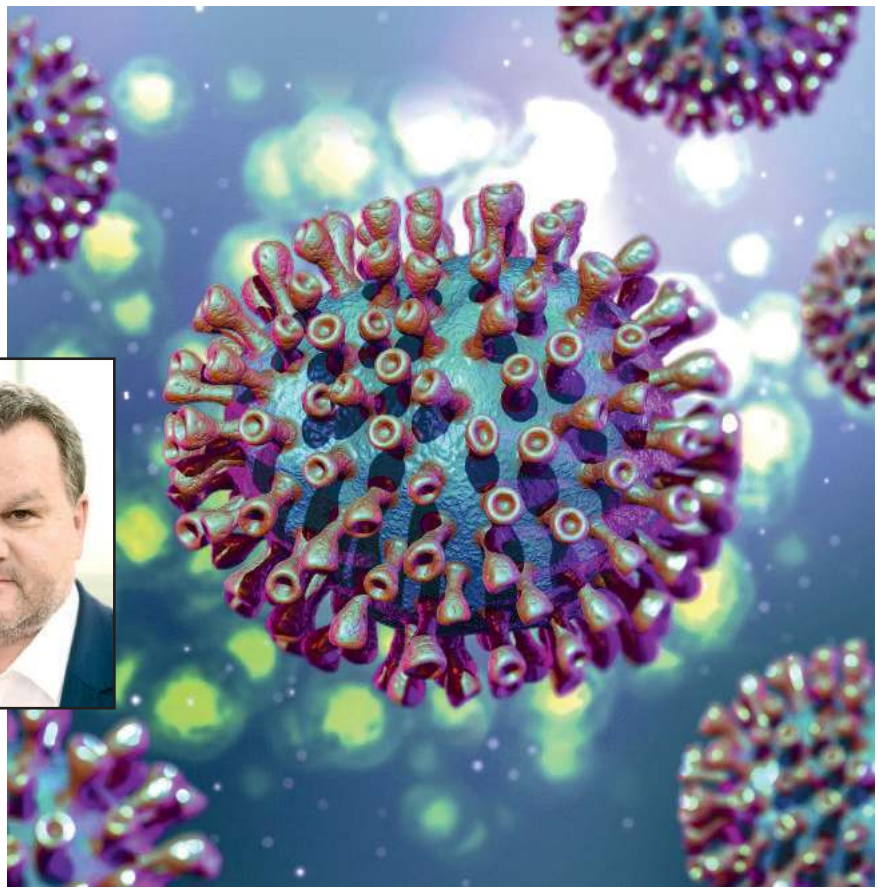

DR MAREK POSOBKIEWICZ
– główny inspektor sanitarny

Mówi pan o osobie, która wróciła z jakiegoś kraju, gdzie miała kontakt z Chińczykami. Takich przypadków mogą być tysiące.

– Należy podchodzić do tego w sposób racjonalny, oceniać prawdopodobieństwo zachorowania. Samo to, że ktoś gdziekolwiek na świecie spotkał Chińczyka, nic nie znaczy. Bo ten Chińczyk mógł przecież być ze Stanów i nie musiał być nosicielem wirusa. Natomiast gdyby ktoś miał kontakt z osobą chorą, która przyjechała z Chin, lub przebywał w krajach, gdzie jest duża transmisja wirusa, powinien się zgłosić do szpitala, by tego wirusa dalej nie przekazywać. A także pomóc samemu sobie.

W Europie zanotowano już zgon z powodu koronawirusa.

– Tak, był to 80-letni Chińczyk, który przyjechał z prowincji Hubei i zmarł we Francji. Można powiedzieć, że jeden przypadek śmiertelny nie stanowi zagrożenia. Ale jeśli to porównać do poprzednich epidemii: SARS z 2002 r. i MERS z 2012 r., to w pierwszym wypadku mieliśmy śmiertelność 9% i ponad 8 tys. zachorowań, a więc zmarło 775 osób, w drugim zachorowań było mniej, śmiertelność była jednak większa, bo sięgała prawie 40%. Przy nowym koronawirusie z Wuhan, na początku nazwanym technicznie 2019-nCoV, a w chwili obecnej SARS-CoV-2 (SARS, *severe acute respiratory syndrome*, ciężka niewydolność oddechowa), śmiertelność jest dużo niższa, bo wynosi 2%, ale zaraźliwość tego wirusa jest dużo większa.

Wirus szybciej się rozprzestrzenia?

– Tak. W sytuacji gdy wirus ma bardzo dużą zjadliwość, czyli śmiertelność, jego zaraźliwość jest mniejsza, bo ciężki przebieg choroby sprawia, że chorzy szybko trafiają do szpitali, częściej umierają i nie zdążą zarazić innych. Natomiast nowy wirus SARS-CoV-2, chociaż czasami powoduje łagodne objawy, potrafi być zaraźliwy nawet w okresie inkubacji.

Dlatego jest to groźne?

– Tak, bo normalnie wirus, który dostanie się do organizmu, namna-

eprasa.pl 102024b1cf

ża się, potem występują objawy: temperatura, katar, kaszel, bóle głowy, bóle mięśni, złe samopoczucie. Chory, kichając czy kaszląc, zaraża innych. W wypadku koronawirusa z Wuhan można się zarazić od osoby, która jeszcze nie ma żadnych objawów. Jednym słowem, człowiek wyglądający na zdrowego, czujący się dobrze, już może zarażać innych, co utrudnia zahamowanie rozprzestrzeniania się tego wirusa, izolację osób, które zarażają. Tymczasem codziennie przybywa po kilka tysięcy nowych przypadków i w tej chwili mamy ponad 70 tys. osób chorych, a rzeczywista liczba zakażonych jest dużo większa, może ich być nawet kilkaset tysięcy. A patrząc matematycznie, gdy liczba zachorowań jest bardzo wysoka, to nawet przy niskiej śmiertelności będzie dużo zgonów. W tej chwili już się zbliżamy do 2 tys. przypadków śmiertelnych. W tych krajach, w których będzie dużo zachorowań, dodatkowym utrudnieniem stanie się to, że w sytuacji ciężkiego przebiegu choroby, kiedy pacjentów trzeba będzie podłączyć do respiratora, może tych urządzeń zabraknąć. A przy zakażeniu nowym koronawirusem taka pomoc często jest niezbędna ze względu na niewydolność oddechową.

Czyli najskuteczniejsze jest to, co robią Chiny oraz inne kraje – działanie profilaktyczne, izolacja ludzi?

– Tak, najlepsze jest działanie prewencyjne, dążące do ograniczenia nowych przypadków zakażenia wirusem.

Nawet w Brazylii umieszczono w szpitalu osoby podejrzane o zarażenie wirusem.

– Bardzo ważne jest odizolowanie każdej takiej osoby i ludzi, z którymi się kontaktowała. Zakładając, że okres inkubacji wirusa wynosi do 10-14 dni, to minimum tyle czasu powinna trwać kwarantanna osób, które miały kontakt z chorym. Po tym czasie, jeśli nie wystąpią u nich objawy, a nie stykały się przecież z innymi ludźmi, można je wypuścić ze szpitala. Takim przykładem jest statek wycieczkowy „Diamond Princess", na którym w ramach kwarantanny przebywało 3,5 tys. osób. Ponieważ pojawiły się kolejne przypadki zakażeń, zaczęto okres izolacji wydłużać.

W wypadku koronawirusa z Wuhan można się zarazić od osoby, która jeszcze nie ma żadnych objawów.

Mówi się już o szczepionce.

– Naukowcy bardzo intensywnie nad tym pracują, ale to proces, który wymaga czasu. Jeśli w ciągu kilkunastu miesięcy szczepionka zostanie wprowadzona na rynek, będzie można mówić o sukcesie. I być może ten koronawirus wejdzie też do szczepionki sezonowej przeciwko grypie. To jest kolejny temat, bo my, bojąc się tego wirusa, jednocześnie musimy zdawać sobie sprawę, że właśnie grypa może nam wbić nóż w plecy. Co roku z jej powodu umiera w Polsce od kilkudziesięciu do stu kilkudziesięciu osób – i mówimy tu tylko o przypadkach potwierdzonych laboratoryjnie. A przecież jest ich na pewno więcej, dotyczy to osób schorowanych, starszych, które oficjalnie zmarły z powodu zapalenia płuc, a pierwotną przyczyną był wirus grypy.

Jaki może to mieć związek z najnowszym koronawirusem?

– Na razie nie ma, ale kiedy wirus SARS-CoV-2 pojawi się u nas i w naszym organizmie spotka z wirusem grypy, to mogą one spowodować dużo poważniejsze skutki zdrowotne – większe powikłania i zgony. Czyli chroniąc się przed koronawirusem, już teraz powinniśmy się zaszczepić przeciwko grypie. W ten sposób minimalizujemy nie tylko ryzyko zachorowania na grypę, ale także mamy szansę na łagodniejszy przebieg choroby w przypadku zakażenia koronawirusem. Również w okresie rekonwalescencji pogrypowej, gdy jesteśmy bardziej osłabieni i podatni na ponowną infekcję, np. spowodowaną nowym wirusem.

A gdybyśmy porównali dzisiejszą sytuację z tą sprzed 100 lat, gdy Europę opanowała hiszpanka i z jej powodu zmarło więcej ludzi niż w czasie I wojny światowej?

– Wtedy umarło prawie 100 mln osób. To był wirus grypy, który zmutował nagle, przy dużej zaraźliwości, miał też dużą zjadliwość. Zjadliwość SARS-CoV-2 nie jest duża, bo jak mówiliśmy, śmiertelność z jego przyczyny wynosi 2%, ale powoduje on dużo powikłań w postaci zapalenia płuc. Z kolei różnica polega na tym, że możliwości intensywnej terapii są większe niż 100 lat temu.

Musimy zdawać sobie sprawę, że to grypa może nam wbić nóż w plecy.

Jak się go leczy?

– Niestety, nie ma w chwili obecnej swoistego leczenia. Pozostaje leczenie objawowe, takie jak przy innych chorobach przebiegających z ciężką niewydolnością oddechową, i nadzieja na to, że organizm poradzi sobie z wirusem. I to jest problem. Na szczęście w przypadku koronawirusów mamy do czynienia z sezonowością zachorowań. Podobnie zresztą było z SARS i MERS, których epidemie same wygasły. Jest więc szansa, że ta również zacznie łagodnieć. Ale na razie ekspansja tego wirusa jest duża, w stosunkowo krótkim czasie dotarł aż do 30 krajów. Przy tak dużej liczbie zakażonych nie należy się spodziewać, że z koronawirusem będziemy mieli spokój. ■

Koronawirusy z reguły są przypisane do jednego gatunku nosiciela. Spośród zwierząt zakażają ssaki i ptaki, powodując u nich choroby układu oddechowego, pokarmowego i nerwowego. U ludzi powodują infekcje układu oddechowego, których przebieg często jest łagodny. Od lat 60. ubiegłego wieku opisano siedem gatunków koronawirusów powodujących infekcje u człowieka.

Koronawirus z Wuhan (SARS-CoV-2) jest wirusem odzwierzęcym, którym pierwszy człowiek zaraził się prawdopodobnie na popularnym targu rybnym, na którym sprzedawanych jest wiele produktów żywnościowych, a także żywych zwierząt.

FOT. EAST NEWS (2)

eprasa.pl 102024b1cf

Widok na Ostrów Tumski.

Śródmieście – wrocławska perła w koronie

Jest tu wszystko: zieleń, zabytki, miejsca kultury, uczelnie, piękna architektura, sztuka i rozrywka. Docenił to brytyjski „The Guardian"

Przemysław Witkowski

Brytyjski dziennik „The Guardian" umieścił niedawno wrocławskie Śródmieście na liście 10 najlepszych dzielnic w Europie. Przyjrzyjmy się lepiej tej okolicy i zobaczmy, co stanowi o jej specyfice.

Śródmieście jest wyspą. A nawet kilkoma. Wrocław leży bowiem w zlewni pięciu rzek, które tworzą 23 duże wyspy oraz o wiele więcej mniejszych i całkiem malutkich. Trudno się dziwić ocenie „Guardiana", bo we wrocławskim Śródmieściu można znaleźć wszystko, co tylko cenią sobie mieszkańcy: zieleń, zabytki, miejsca kultury, uczelnie, piękną architekturę, sztukę i rozrywkę. Wschodnia część Śródmieścia – nazywana Wielką Wyspą – to w dużej mierze jego najzamożniejsza część. Od lat ostoja wrocławskiej obywatelskości i zieleni. Zmienia się też zachodnia część tej dzielnicy. Dawniej zaniedbana i omijana przez turystów, szybko przeszła proces rewitalizacji i staje się jedną z pereł we wrocławskiej koronie.

WuWa na Wielkiej Wyspie

Wschodnia część dzielnicy Śródmieście to tereny od lat uznawane przez mieszkańców stolicy Dolnego Śląska za prestiżowe. Znajduje się tam rozległy, 100-hektarowy park Szczytnicki, a w nim XVI-wieczny drewniany kościółek, dziś używany jako placówka kulturalna. To jeden z najstarszych parków w Europie. Powstał bowiem już w roku 1783. Od 1912 r. można w nim odwiedzać wydzielony Ogród Japoński, urządzony przez ogrodników z Kraju Kwitnącej Wiśni. Do parku przylega zaprojektowana przez Maxa Berga monumentalna Hala Stulecia, w której do końca Polski Ludowej działało jedno z największych w Polsce kin, z salą dla 5 tys. widzów. Dziś zabytek pełni przede wszystkim funkcję hali wystawowej. Obok znajduje się rozległa spacerowa pergola i multimedialna fontanna. Tuż za nią, w dawnych budynkach wytwórni filmowej – w Pawilonie Czterech Kopuł – zwiedzić możemy bardzo ciekawą kolekcję polskiej sztuki współczesnej, której atrakcją są dzieła Katarzyny Kobro, Władysława Strzemińskiego, Marii Jaremy, Tadeusza Kantora, Aliny Szapocznikow, Magdaleny Abakanowicz czy Władysława Hasiora. Z drugiej strony kompleksu zajrzeć można do WuWa (niem. Wohnungs- und Werkraumausstellung – Wystawa mieszkanie i miejsca pracy), czyli modelowego modernistycznego osiedla z 1929 r. wybudowanego przez Deutsche Werkbund, do dziś często odwiedzanego przez studentów architektury z całego świata.

Ta część miasta to spacerowo-rekreacyjne centrum Wrocławia. Wystarczy bowiem przejść przez jedną z kładek nad ulicą Wróblewskiego, żeby znaleźć się w najstarszym na ziemiach polskich ogrodzie zoologicznym. To piąte pod względem liczby odwiedzających zoo w całej Europie. Pięknie położone, z wyremontowanymi zabytkowymi budynkami, ciągnie się aż do Odry. Tam zaś, mniej więcej na wysokości zoo, zaczynają się rozkładać w lecie nad samą rzeką knajpki, które ciągną się aż do Starego Miasta. Jeśli przekroczymy tu rzekę uroczą kładką, znajdziemy się na ulicy Na Grobli, gdzie po jednej stronie mamy Muzeum Wody, ulokowane w dawnej przepompowni, a po drugiej Instytut im. Jerzego Grotowskiego. Jeśli zaś pójdziemy w stronę przeciwną od Starego Miasta, możemy pod stuletnimi zadrzewionymi wałami przeciwpowodziowymi obejść całą Wielką Wyspę, po drodze mijając park Biskupiński czy lesisto-łąkową Wyspę Opatowicką z ruinami dawnych bunkrów i amfiteatru.

To jedna z najpopularniejszych we Wrocławiu tras spacerowych, rowerowych i biegowych. Nie dziwne więc, że podążając nią dalej, trafiamy w końcu na Akademię Wychowania Fizycznego, zlokalizowaną przy tzw. stadionie olimpijskim. To przedwojenny kompleks sportowy ze stadionem, welodromem, strzel-

eprasa.pl 102024b1cf

Obok Hali Stulecia znajduje się rozległa spacerowa pergola i multimedialna fontanna.

Afrykarium we wrocławskim ogrodzie zoologicznym.

nicą, kortami tenisowymi, boiskiem do bejsebolu, basenami i wielkim terenem zlotowym – „Polem Marsowym", wszystko według projektu Richarda Konwiarza. I wszystko to sprawia, że leżące na Wielkiej Wyspie osiedla Zacisze, Zalesie, Sępolno, Biskupin, Dąbie oraz Bartoszowice to wymarzone lokalizacje wrocławskiej klasy średniej. Już dawno zajęto wszystkie miejsca pod budowę, a tereny w tej okolicy osiągają zawrotne ceny.

Nadodrze odzyskuje blask

Bramą Wielkiej Wyspy jest osiedle Plac Grunwaldzki. Tu dominują kamienice i XIX-wieczne budynki szpitalne, w tym bowiem miejscu przez wiele lat miał siedzibę wrocławski Uniwersytet Medyczny. Dziś to jego główny kampus. Siedziby mają tu także Politechnika Wrocławska i Uniwersytet Przyrodniczy. Każdego dnia przewijają się tu dziesiątki tysięcy studentów. Szczególnie że ciągnie się tu także największe we Wrocławiu skupisko akademików z „Dwudziestolatką", „Parawanowcem" czy legendarnymi „Kredką" i „Ołówkiem". Centralny punkt „Grunwaldu" to wrocławski „Manhattan" – awangardowe wieżowce projektu Jadwigi Grabowskiej-Hawrylak, które w ostatnich latach odzyskały świetność i znów są piękną wizytówką miasta. Powstałe w czasie wojny wyrwy w zabudowie (cały kwartał miasta wyburzono pod polowe lotnisko) już dawno uzupełniły biurowce, w których siedziby mają przede wszystkim zagraniczne korporacje.

W Śródmieściu można znaleźć też najpiękniejsze wrocławskie zabytki. Na dawnej wyspie (obecnie zasypano oddzielającą ją od Śródmieścia odnogę Odry) Ostrów Tumski znajdują się najstarsze wrocławskie kościoły – św. Idziego i św. Marcina, katedra św. Jana Chrzciciela, kolegiata Świętego Krzyża i św. Bartłomieja, a także pałac biskupi i seminarium duchowne. Niestety, większa część tego terenu należy do Kościoła katolickiego, co uniemożliwia wykorzystanie go w pełni w turystyce.

Tuż obok Ostrowa znajdują się założone w 1814 r. Muzeum Przyrodnicze i Ogród Botaniczny Uniwersytetu Wrocławskiego. Oba obiekty otaczają osiedla zachodniej części Śródmieścia, Ołbin i Nadodrze, gdzie rozpadające się kamienice i zdewastowane podwórka odzyskują dawny blask. To tu od razu po II wojnie znajdowały się siedziby nowych polskich władz Wrocławia. Większa część miasta była wtedy w ruinie. Niestety, wiele kamienic nie doczekało się przez dekady remontu. Niszczały zarówno piękne fasady, jak i wnętrza mieszkań. Sporo osób wyprowadzało się z tej okolicy do leżących dalej od centrum bloków, gdzie w standardzie były winda, zsyp, nie mówiąc już o nieoczywistej dawniej na Nadodorzu własnej toalecie. Dopiero ostatnie 30 lat przyniosło zachodniemu Śródmieściu zmianę. Pierwszymi nowymi mieszkańcami byli artyści i studenci. Kusiły ich niskie czynsze i lokalny koloryt dzielnicy. Wraz z pojawianiem się nowych mieszkańców wzrastała jej atrakcyjność, a jej legendarny charakter zyskiwał sławę. Dodatkowo centralne położenie, bliskość węzłów komunikacyjnych i atrakcyjna lokalizacja nad brzegami Odry sprawiły, że coraz więcej deweloperów zaczęło tu inwestować. Pomógł też miejski program rewitalizacji. Dziś możemy tam znaleźć kilka galerii sztuki, kilkadziesiąt zakładów rzemieślniczych, mediatekę, a dawne budynki industrialne czy szpitalne zamieniają się w lofty, mieszkania, biura i centra handlowe. Powstają bary, kluby i restauracje, a ceny mieszkań w odremontowanych kamienicach przekroczyły już 10 tys. zł za metr kwadratowy.

FOT. ADOBE STOCK (2), GERARD/REPORTER

eprasa.pl 102024b1cf

Słodowa i Tamka – mekki studentów

Na Nadodrzu od lat mieści się również III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza (siódme miejsce w rankingu „Perspektyw"), które od lat słynie z olimpijczyków w przedmiotach matematyczno-fizycznych. W centrum Ołbina z kolei można znaleźć piękny secesyjny budynek Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej, malowniczo otoczony małym parkiem ze stawem. Między Starym Miastem a Śródmieściem położone są też m.in. dwie niezwykle popularne wśród studentów wysepki – Słodowa i Tamka. Pierwsza to park, gdzie zacumowane są barki z wyszynkiem, miejsce spotkań wrocławskich studentów, druga mieści zaledwie dwa budynki, w tym bardzo popularny klub techno. W południowej, położonej bezpośrednio przy Odrze części zachodniego Śródmieścia trudno już znaleźć puste miejsce, gdzie deweloper mógłby wstawić plombę. W części zachodniej należąca do Śródmieścia wyspa Kępa Mieszczańska jest jedną z droższych lokalizacji we Wrocławiu. W środkowej świetnie zrewitalizowano park Staszica, wymieniane są torowiska, nawierzchnia ulic, remontowane kolejne kamienice.

Zmieniają się także lokalni aktywiści. Dawnych, takich jak wieloletni przewodniczący rady osiedla Nadodrze Jerzy Sz. z PiS (dziś oskarżony w aferze defraudacji środków z wrocławskiego PCK), zastępują nowi. Jeśli Jerzy Sz. zostanie skazany, na jego miejsce do rady osiedla wejdzie Izabela Duchnowska, dawniej pracownica wydziału kultury, teraz miejska aktywistka. Politycznie zapewniająca zupełnie inny klimat niż Sz. Między Zielonymi, Nowoczesną a nową Lewicą. Sadzi drzewa, organizuje pchli targ, walczy o remont dróg i chodników. Prowadzi na Nadodrzu hostel. Ona i jej współpracownicy to przyszłość miasta.

Oprócz wymiany kadr czekają tę dzielnicę jeszcze inne wyzwania. Sprywatyzowana ciepłownia nie ułatwia likwidacji ciągle popularnych w tej części miasta pieców. Cały Wrocław zmaga się ze smogiem, a centralnie położone Śródmieście również nie jest od niego wolne. Mimo starań miasta i licznych programów wymiany pieców na inne formy ogrzewania trudno będzie przyśpieszyć tę ekozmianę bez rekomunalizacji ciepłowni. Poza tym na inwestora czeka budynek Dworca Nadodrze, który mimo ogromnego potencjału i szumnych planów ciągle jeszcze nie ma koncepcji rewitalizacji. Plany były, ale kryzys ekonomiczny 2008 r. zamknął na kilka lat tę ścieżkę. Miejmy nadzieję, że tym razem ów symbol dzielnicy nie będzie miał podobnego pecha.

Wrocławskie Śródmieście zmieniło się przez ostatnie 30 lat nie do poznania. Piękne miejsca jeszcze bardziej wypiękniały, a te mniej chwalebne nabrały blasku, napłynął tu kapitał i nowi mieszkańcy, ożywiając tę centralną wrocławską dzielnicę i nadając jej nową dynamikę. Wiem, co mówię, 20 lat mieszkałem na Wielkiej Wyspie, 10 lat na Nadodrzu.

Przemysław Witkowski

WYJĄTKOWE FILMY Z MUZYKĄ BRUCE'A SPRINGSTEENA

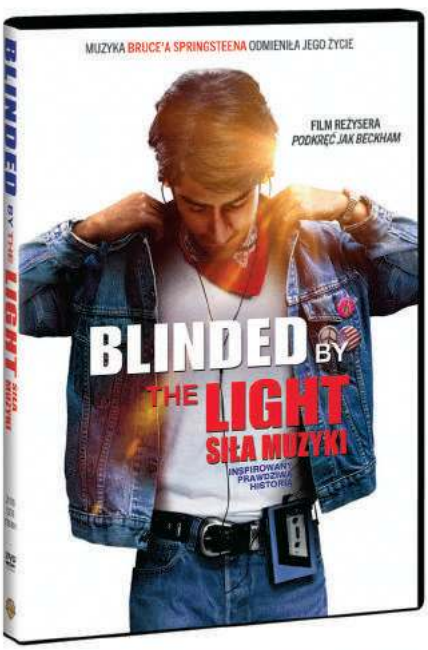

NA DVD!

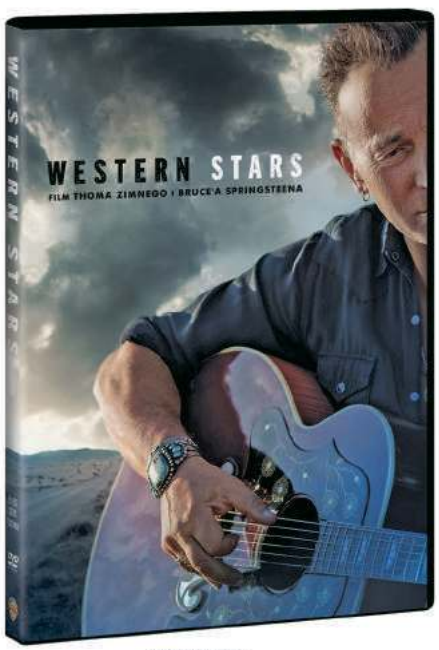

SZUKAJ NA: bonito.pl

PARTNERZY MEDIALNI

TERAZ ROCK · Przegląd · FILMWEB · FACETPO40.pl · Multikino · ANTYRADIO

eprasa.pl 102024b1cf

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Romans łapki z policjantem Lego

Pomocna dłoń przywędrowała do mnie aż z Brukseli. A dokładnie – z brukselskiego muzeum. Męska, raczej krępa, ze sporym kciukiem i paznokciami. Pusta w środku. Pewnie można ją na coś nadziać, ale nie wiadomo na co: na ołówek jest zdecydowanie za duża. Na szczotkę do sedesu znów za mała. Czyżby spełniała się całkowicie jako przedmiot sam z siebie doskonały, niemający żadnych zastosowań? Próbowałam włożyć ją do ucha, nałożyć na język. Gumowa dłoń w kolorze cielistym wyglądałaby na języku bojowo. Ludzie umierają za dobre *selfie*, spadają z klifu. Ja zachowałam umiar – na czubku języka chwiała się czysta gumowa dłoń. Jednak zanim zrobiłam zdjęcie, łapa spadła i dopadł ją pies, który zawsze się interesuje takimi drobiazgami. Musiał nas (mnie i dłoń) obserwować od dłuższego czasu. Teraz haps! Wstrzymałam oddech, ale on tylko delikatnie pomiędlił ją, lekko nadgryzł i wysunął na języku: ani to do jedzenia, ani do zabawy. Ośliniona dłoń sturlała się na posadzkę. Umyłam ją dokładnie i zaniosłam w swojej (dłoni) z powrotem na biurko, gdzie stała od tygodnia, to znaczy odkąd Dorota przywiozła mi ją w prezencie z Brukseli jako „pomocną dłoń". Czasem, kiedy zasypiam, wydaje mi się, że do mnie macha. Teraz się boję, że pokaże mi fucka jak Lichocka.

Wszystkie lenie, którym nie chce się robić fajnych prezentów – pójdziecie do piekła.

Kiedyś Dorota przywiozła mi z Chile kolorowe boa. Sprzedawali je na paradzie równości. Przez chwilę paradowałam w boa po wrocławskim Pasażu Pokoyhof, ale nie da się być niezaczepianą, kiedy się zamawia kawę w obwarzanku z kolorowych piórek. Jednak lubię prezenty od Doroty, one potrafią odkształcić rzeczywistość, zlekceważyć smętny „rozsądeczek". Powiem wprost: wszystkie lenie, którym nie chce się robić fajnych prezentów – pójdziecie do piekła. A jeśli wam się wydaje, że jesteście *cool*, przynosząc wino i kwiaty, to wiedzcie, że nie, po stokroć nie.

Mam przyjaciela, który zrobił zawrotną karierę w obszarze sztuk wizualnych. Jest osobą wyrozumiałą, lubi ludzi i wszystkim wszystko wybacza. Ale raz w roku budzi się w nim dziecko. Dzień po swoich urodzinach rozkłada wszystkie prezenty na dywanie, siada pośród nich jak basza i przypisuje odpowiedni prezent do darczyńcy. Kiedy remanent się nie udaje, przyjaciel czuje się oszukany: M., na którego liczył, w ogóle prezentu nie dał, J. zaś dał prezent byle jaki i było widać, że kupił go w drodze na imprezę. Regresywny Dzień Liczenia Prezentów kończy się szybko i odchodzi w niepamięć. Ale wy, którzy jesteście nonszalanccy, skąpi i leniwi, wiedzcie, że takie remanenty nie są niczym ekscentrycznym, że to powszechna praktyka! Spokojnie, mówimy o przysłowiowych ludziach kultury – tu nikt nie ma hajsu na koncie, przelewy rozpraszają się jak prochy zmarłego na wietrze. Nie wchodzą w grę prezenty z perfumerii i butików. Świetnie pamiętam prezent od jednej kuratorki, która zrobiła mi własnoręcznie praliny. Patrzyłam na jej długie, zadbane paznokcie, wdzięczna nieskończenie, że praliny jednak powstały. Mimo przeszkód. Innym razem dostałam kolaż – wyklejankę pełną złotych, papierowych penisów, czteronożnych kobiet i pół koni, pół chłopców. Do dzisiaj wisi u mnie w toalecie wraz z kotem w kryzie i ludzikiem Lego policjantem. Dwa lata temu dostałam od reżyserki plastikowe oczy w pudełku pełnym sianka. A od pewnej producentki dziwną włochatą torebkę, jakby ze skóry krowy zrobioną. Nadal nie wiem, co z nią zrobić, podać dalej nie wypada, bo jeszcze ktoś napisze: dwa lata temu dostałam od pewnej poetki dziwną włochatą torebkę, jakby ze skóry krowy zrobioną.

Każdy z nas myśli: kto jak kto, ale K. nie jest drobiazgowa. To podróżniczka, na tyle majętna, żeby kupić sobie to, co chce. W dodatku jest marksistką. I chlup – kwiaty i wino, kwiaty i wino. To oczywiście nic złego, ale nie ma sensu zawsze tak kończyć, jeśli chodzi o pomysłowość i zaangażowanie. Pamiętają państwo film „To właśnie miłość"? Nie da się go przegapić, to najpopularniejsza komedia romantyczna na świecie. Od kilku lat zawsze w święta – Hugh Grant jako premier pukający od drzwi do drzwi w poszukiwaniu ukochanej (antycypacja jego politycznych performance'ów wokół brexitu), Emma Thompson jako żona, której mąż kupuje płytę z ulubionym zespołem, a dla kogo innego trzyma złote serduszko z fikuśnym brylantem. Seksowna sekretarka zaznacza, że chce dostać coś niepraktycznego – oto właściwy prezent dla kochanki.

Tu już wchodzimy na teren działań symbolicznych i tekst może się stać niemal szekspirowski, kiedy uświadomimy sobie, że za niegodne prezenty leciały na dworach głowy. Niektóre prezenty zobowiązywały, inne czyniły z darczyńców przyjaciół lub wrogów. I od razu przychodzi na myśl ta słynna scena z „Ojca chrzestnego": Marlon Brando w swoim gabinecie i kolejka petentów wręczających prezenty z okazji ślubu córki. Każdy dodatkowy srebrny widelec, każdy pączek z cukierni ma znaczenie. Nie piszę tego wszystkiego bezinteresownie, w obronie jakichś potencjalnych pokrzywdzonych, zlekceważonych, smutnych wśród nieudanych prezentów. Piszę to, bo mam dziś urodziny i macie mi przynieść boa, gumowe łapki, praliny, genitalne kolaże, wino i kwiaty.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 102024b1cf

Katarzyna Mołoniewicz
Korespondencja
z Campo de Gibraltar

Skąd się bierze czekolada?

Tutaj przemyt to nie nowość. Zaczęło się od szmuglowania kawy i papierosów z Gibraltaru. Przerzucanie haszyszu z Maroka wpisuje się w lokalną tradycję

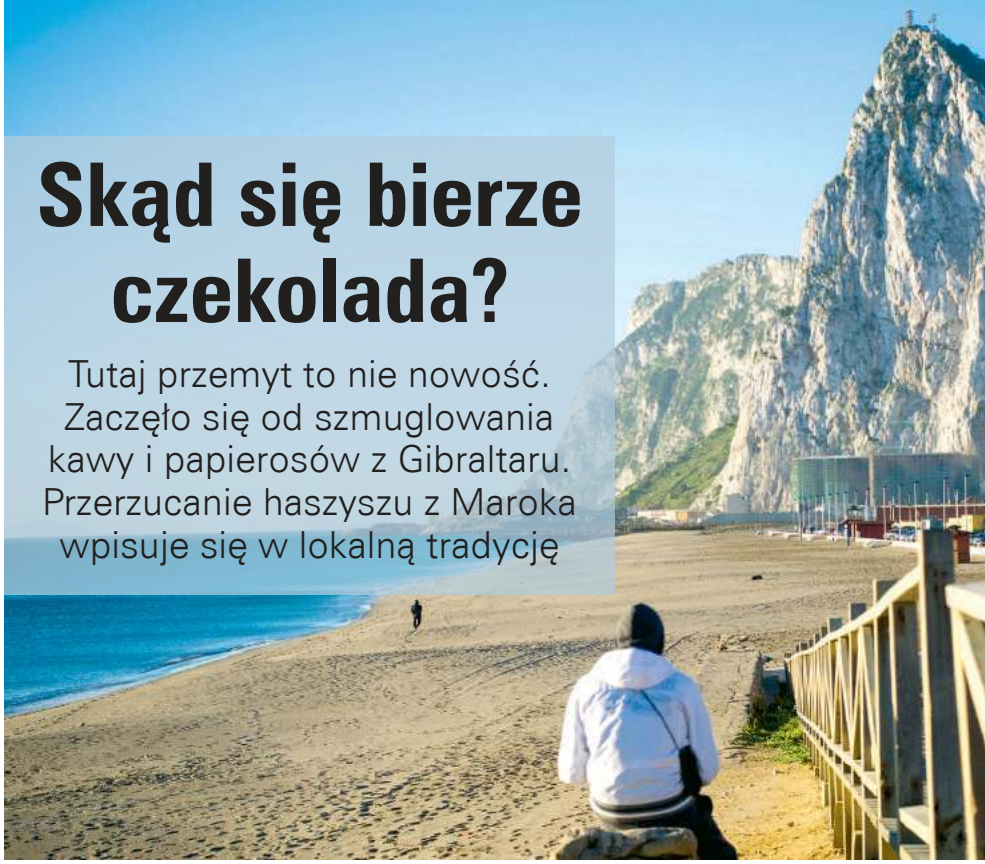

Szeroka plaża gdzieś między Marbellą a Kadyksem. Świta. Nagle w ciszę wwierca się ryk skutera wodnego, który podpływa do brzegu tak blisko, jak to możliwe. Podbiega bosy mężczyzna w krótkich spodenkach i kominiarce, łapie dwie owinięte plastikiem walizki i gna do zaparkowanego przy plaży samochodu czekającego z otwartym bagażnikiem. Wrzuca walizki, wraca pędem do skutera, chwyta kolejne dwie walizki i cwałuje przez plażę. Gdy tylko opada klapa bagażnika, samochód odjeżdża na pełnym gazie wąską uliczką andaluzyjskiego miasteczka. Wszystko trwa trzy, może cztery minuty. Po chwili znów zapada cisza, na plaży nie widać żywego ducha.

To, co przed chwilą miało miejsce, to tzw. ekspresowy rozładunek. W 30-kilogramowych paczkach przypominających walizki przypłynął właśnie do Europy marokański haszysz.

Czekoladowy szlak

Przemytnicza terminologia czerpie z codzienności, przyswaja określenia swojskie i niewinne: czekolada, guma, cukierek, przedszkole. Czekolada to zwyczajowa nazwa haszyszu. Dzięki uprawie cannabisu tysiące marokańskich rodzin mają na kuskus i harirę. To, według różnych źródeł, od 750 tys. do miliona osób. Czekoladowy szlak zaczyna się w górach Rifę na północy Maroka.

W tym najuboższym marokańskim regionie warzywa i owoce rosną słabo, za to konopie indyjskie udają się znakomicie. Tak się składa, że odległość od hiszpańskiego wybrzeża to tylko 14 km morza i wiatru. Dochodzi do tego fakt, że prowincja Kadyks jest jedną z najbiedniejszych w Hiszpanii, a bezrobocie wśród młodych ludzi sięga tu 40%. W niektórych miejscowościach szybuje do 70%. To równanie w zasadzie pozbawione jest niewiadomych.

Z Maroka sprasowany towar wędruje do hiszpańskiej Andaluzji. Hurtowo, w paczkach takich jak te, które odjechały z plaży kradzioną toyotą, lub na mniejszą skalę, w postaci 10-gramowych owalnych cukierków, zwanych żołędziami, przemycanych w żołądkach i waginach.

A guma? To ultraszybka pontonowa motorówka, do której można załadować dwie, a nawet trzy tony towaru. Wyładowane paczki lądują w przedszkolach – tajnych magazynach rozsianych po nadmorskich miasteczkach. Tam leżakują (znów to słownictwo!), dopóki nie zostaną odebrane przez kolejną grupę specjalizującą się w transporcie towaru do Francji, Niemiec, Holandii...

Najgorętszym punktem na przemytniczej mapie jest miasto La Línea de la Concepción, region: Campo de Gibraltar, prowincja: Kadyks.

Lista płac

Jest ósma wieczorem. W grudniu to już po zmierzchu. Nad plażą koło Sanlúcar de Barrameda krąży helikopter. Jego reflektory oświetlają młodych ludzi, którzy wyciągają paki z motorówki. Helikopter ląduje obok, wyskakuje z niego policjant celny. Na plażę przybiega coraz więcej ludzi. Gromadzi się ich około setki. Okrążają policjanta, ciskają kamieniami w helikopter. Wykrzykują obelgi. Są tam całe rodziny, może nawet więcej kobiet niż mężczyzn. Dzieci rzucają się do pomocy w dźwiganiu paczek. Osaczony policjant ucieka do helikoptera, ten odlatuje. Maszyna zniża się kilka razy, próbując przepędzić tłum, ale kamienie cały czas fruwają w powietrzu. Pilot rezygnuje. Mężczyźni na plaży kończą rozładunek kilkuset kilogramów haszyszu.

Następnego dnia zjawiają się dziennikarze. Nie usłyszą słów potępienia od mieszkańców rybackiego miasteczka: – Święta się zbliżają, będą ludzie mieli na prezenty dla dzieci.

Czekoladowy biznes gwarantuje dużo większe pieniądze niż te potrzebne na kupno bożonarodzeniowych prezentów.

Najniżsi w hierarchii, zwani punktami – *puntos* – zajmują się w zasadzie podpieraniem ścian. Obserwują ulice, skrzyżowania i ronda w dniu, gdy kolejna guma ma przybić do plaży. Gdy widzą policyjny patrol lub samochód Gwardii Cywilnej, wyciągają telefon i dzwonią. Hasło: *agua* (woda), jak z klasycznego kryminału, wstrzymuje akcję. Za każdy dyżur punkt inkasuje do tysiąca euro. Dla policjanta to trzy czwarte miesięcznej pensji.

Punktem może być każdy. Od tego stanowiska zaczynają karierę nastoletni chłopcy z Atunary, kiedyś rybackiego portu, dziś dzielnicy La Línea de la Concepción. W ciągu dnia widzę, jak wysiadują na murku nadmorskiej promenady i plują łupinami słonecznika. Gadają, śmieją się, popisują, komen-

eprasa.pl 102024b1cf

tują mecze Primera División, trochę popalają.

– Mogliby pracować legalnie na budowie w Gibraltarze, uczyć się albo wyjechać. Ale jeśli mając 18 lat, zarabiasz w dwie noce więcej niż twój ojciec w miesiąc, to pokusa jest wielka – mówi Asunción, psycholożka z La Línea. – Oni wiedzą, że mogą skończyć w więzieniu, znają dużo osób, które zaliczyły odsiadkę albo są w trakcie, ale nie czują społecznego potępienia. Tutaj przemyt to nie nowość. Zaczęło się od szmuglowania kawy i papierosów z Gibraltaru. Przerzucanie haszyszu z Maroka wpisuje się w jakiś sposób w lokalną tradycję. Dlatego odsetek młodych ludzi, którzy rzucają szkołę, jest tu jednym z najwyższych w Hiszpanii.

O stopień wyżej w hierarchii są tragarze – *alijadores*. Ich zadaniem jest błyskawiczne wyładowanie towaru z motorówki lub skutera i umieszczenie go w samochodzie. Tu wymagania są większe niż w przypadku punktów, ale nieprzesadnie wielkie: trzeba mieć krzepę, żeby z obciążeniem 60 kg wyrywać przez piaszczystą plażę. Wynagrodzenie: od 1,5 tys. euro w górę za akcję.

Lista płac jest zresztą długa: ktoś musi dostarczyć paliwo do motorówek, przyszykować kradzione samochody. Największe wzięcie mają terenowe toyoty. Znikają z ulic dużych miast, najczęściej Madrytu. Przemytnicy kupują je od wyspecjalizowanych organizacji za 6-8 tys. euro. Mechanicy przygotowują samochody do ich nowych zadań. Na początek zmieniają tablice i eliminują oprogramowanie pozwalające na lokalizację auta. Ale przede wszystkim wymontowują siedzenia i zamalowują sprejem szyby od wewnątrz. Inkasują ok. 2 tys. euro od sztuki. Zleceń im nie brakuje. Każdy samochód obsługuje nie więcej wyładunków niż cztery-pięć. Potem jest porzucany, ale raczej już się nie nadaje do rodzinnych wycieczek.

Na plaży w Gibraltarze policja przechwyciła 84 bele haszyszu o wartości 14 mln euro.

W 30-kilogramowych paczkach przypominających walizki przypłynął właśnie do Europy marokański haszysz.

Na mafijnym etacie są też strażnicy. Wyposażeni w broń maszynową, pilnują towaru oczekującego w przedszkolu na odbiór. Swoją działkę dostanie nawet dzieciak biegający po red bulle dla pilotów motorówek.

Być jak Messi

Dla chłopaków wystających na rogach ulic awans na pilota motorówki to jak zostanie napastnikiem Realu Madryt lub Barcelony. Futbolowych analogii jest sporo: i tu, i tu wymaga się szybkości, umiejętności wykiwania przeciwnika i błyskawicznego podejmowania decyzji. Byle nie stracić piłki, byle nie stracić cennego towaru. Zarobki pilota ultraszybkiej gumy to także kwoty z pierwszej ligi.

Narkomotorówka może rozwinąć szybkość do 120 km na godzinę. Wypływa pusta z andaluzyjskiego wybrzeża i przez Cieśninę Gibraltarską mknie do Maroka. Tam załadowuje towar i płynie z powrotem. W międzyczasie młodzi żołnierze narkobiznesu obserwują teren i szykują się do rozładunku. Guma przybija do brzegu, gdzie zafoliowane paki lądują najpierw w bagażniku kradzionej terenówki, a potem w którymś z przedszkoli. Jeśli wszystko pójdzie gładko, cała operacja zajmie nie więcej niż cztery godziny. Za bezpieczne dostarczenie towaru pilot zainkasuje 30 tys. euro i spali paliwa za 4,5 tys.

Policjanci z Campo de Gibraltar, regionu, gdzie haszysz przemyca się od dziesięcioleci, wspominają niedawne jeszcze czasy, gdy osaczone motorówki zatrzymywały się na policyjną komendę. Teraz pilot zrobi wszystko, żeby nie dać sobie zabrać towaru. Gumy są zwykle szybsze od łodzi stróżów prawa. Chyba że policja dysponuje sprzętem zarekwirowanym przemytnikom. Pościgi na narkotykowej autostradzie, którą stała się cieśnina, kończą się, gdy pilot postanowi uciec z powrotem na wody terytorialne Maroka.

– Przemytnicy postępują teraz według żelaznej reguły: „Zawsze do przodu. Nie zatrzymuj się pod żadnym pozorem". Wiedzą, że gdy się zatrzymają, stracą ładunek i wolność. Nie wystarczy powiedzieć: „Stój, policja!". Trzeba starać się zbliżyć, zrobić falę, sprowokować pilota do wyskoczenia do wody. Oni noszą kamizelki, więc nic im się nie stanie – mówi policjant z Gwardii Cywilnej w wywiadzie dla telewizji La Sexta.

Kto jest kotem, a kto myszą?

Policjanci, politycy, mieszkańcy Campo de Gibraltar – wszyscy ▸

FOT. BEWPHOTO, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 102024b1cf

w okolicy widzą, że reguły przestępczej gry zmieniły się w ostatnich czasach. Tradycyjny podział ról, na ścigającą policję i uciekających przemytników, nie jest już tak oczywisty. Coraz częściej mysz atakuje kota.

Szpital w La Línea stoi przy szerokiej, ruchliwej ulicy. Jest godz. 15.30. Na ostry dyżur przywieziono właśnie Samuela Crespa, jednego z mafijnych bossów. Spadł z motocykla, gdy usiłował uciec policyjnej pogoni. Pilnuje go dwóch funkcjonariuszy. Nie mija pół godziny i do szpitala wkracza grupa zakapturzonych mężczyzn z pałkami i nożami. Agresywni, zdecydowani, idą prosto do gabinetu zabiegowego, uderzając pałkami w szpitalne sprzęty. Nie ma mowy, żeby ktoś ich zatrzymał: ani osłupiali ludzie czekający w korytarzu, ani personel, ani dwóch policjantów. Po chwili grupa wychodzi, zabierając kolegę, cały czas skutego kajdankami.

Przemytnicy taranują policyjne samochody potężnymi terenówkami. Zdarza się, że nie wahają się użyć broni, a wszechobecne kamery pozwalają śledzić niemal na żywo ich starcia z policją. Na jednym z nagrań funkcjonariusze w kamizelkach kuloodpornych, z tarczami, otaczają budynek za murem. To narkotykowe przedszkole. Na ostrzegawcze komendy mężczyźni pilnujący haszyszu odpowiadają ogniem. Po negocjacjach wychodzą z rękami do góry. – Nie wiedzieliśmy, że to panowie. Myśleliśmy, że złodzieje – tłumaczą się.

Fakt, międzynarodowych band specjalizujących się w tzw. przewrotkach – skokach na narkotykowe magazyny – jest coraz więcej. Dlatego strzegący dobytku strażnicy mają broń dużego kalibru. W czasach gdy nawet mafiosi czują nieodpartą potrzebę zaistnienia przed kamerą, można ją sobie dokładnie obejrzeć. W wywiadzie, który przeprowadził dziennikarz Antonio García Ferreras dla telewizji La Sexta, żołnierz mafii w masce wilkołaka prezentuje pistolety maszynowe uzi, granatniki i kałasznikowy.

Państwo idzie na wojnę

Napad w biały dzień na szpital w La Línea wprawił w osłupienie nie tylko pacjentów, ale i polityków. Kilka miesięcy po tym incydencie wszedł w życie zakaz posiadania ultraszybkich tzw. twardych łodzi pneumatycznych o długości ponad 8 m. Wiadomo, że takie motorówki to specjalistyczny sprzęt przemytników i nikt ich nie używa w celach rekreacyjnych. Uczestnicy szturmu na szpital zostali wkrótce zatrzymani. Jeden z nich miał w kieszeni 200 tys. euro. Policjanci namierzyli też wykradzionego bossa Samuela Crespa.

Cieśnina Gibraltarska stała się narkotykową autostradą.

Jeden po drugim wpadali narkotykowi szefowie. W areszcie wylądowali Antonio Tejón i jego brat Francisco, z klanu Castaña. Rodzina zajmowała się kiedyś sprzedażą pieczonych kasztanów w La Línea. Kilka tygodni wcześniej, gdy szukała go cała hiszpańska policja, Francisco wystąpił w wideoklipie kubańskiego piosenkarza, a film natychmiast został internetowym hitem. Wpadł boss o pseudonimie El Messi, miłośnik futbolu, który również miał parcie na szkło. Widać go było na meczach Realu Madryt w Lidze Mistrzów, na *clásicos* – starciach Realu z Barceloną. Zatrzymanie przez policję to wstęp do sądowego korowodu, który często kończy się wypuszczeniem na wolność za kaucją. W przypadku El Messiego wyniosła ona 80 tys. euro. Wobec zysków z haszyszu ta kwota była jak drobne z portmonetki. Kaucja nie odniosła zresztą zamierzonego skutku. We wrześniu 2019 r. El Messi wydał komunikat, w którym poinformował, że „zniknie na jakiś czas", ponieważ wskutek policyjnej presji „nie może prowadzić normalnego życia". Wszystko wskazuje na to, że teraz prowadzi normalne życie w Maroku. Za to bracia dowodzący klanem Castaña sprawują się bez zarzutu w więzieniu niedaleko Grenady.

María, emerytka, mieszka w La Línea od dziecka: – Cały czas się słyszy, że policja kogoś zatrzymała, że przechwyciła tony haszyszu: 5, 10, 20. Jubilerzy się skarżą, że nie ma komu kupować złotych sygnetów z Camarónem de la Isla. Ale tu przemyt był od zawsze, żyją z tego całe rodziny. A ludzie weszli w to dlatego, że nie mieli co do garnka włożyć. Ja bym nie miała problemu, żeby usiąść z nimi przy tym samym stole.

Camarón de la Isla to kultowy pieśniarz flamenco, którego pomnik stoi naprzeciw portu. Drobna postać z brązu w przydużej marynarce siedzi na krześle z udręczoną twarzą i otwartymi do śpiewu ustami. Nękany uzależnieniami zmarł w wieku 42 lat.

Patronka rybaków i przemytników

Matka Boska z Góry Karmel. Do niej modlą się ludzie morza, a więc i ci, którzy przerzucają haszysz przez Cieśninę Gibraltarską. Biały kościółek pod jej wezwaniem w Atunarze to kilometr zero czekoladowego biznesu. Na plażach między kościołem a portem ma miejsce sporo nielegalnych wyładunków. 16 lipca, w dzień swojego święta, Matka Boska, cała w białych koronkach, ze złotą koroną na głowie, sunie na ramionach wiernych uliczkami portowej dzielnicy. Towarzyszą jej dziewczyny w pełnym andaluzyjskim rynsztunku: opięta suknia flamenco spływająca ku dołowi czerwoną falbaną, mantylka, wachlarz, goździki we włosach. Młodzi mężczyźni niosą proporce i stylizowane wiosła, atrybut morskiego rzemiosła. Orkiestra gra hymn Hiszpanii. Tłum wiwatuje na cześć Najświętszej Panienki. Gdzieś obok tony haszyszu czekają w przedszkolach gotowe do dalszej drogi. Procesja schodzi na plażę, bose stopy wiernych brodzą w płytkiej wodzie. Do niedawna Matka Boska wypływała w morze, a jej łodzi towarzyszyły dziesiątki innych jednostek pływających, ale od kiedy „cudem" nie wpadła do wody, staranowana przez motorówkę, burmistrz La Línea zawiesił do odwołania morską część procesji.

Tu przemyt był od zawsze, żyją z tego całe rodziny. Ludzie weszli w to, bo nie mieli co do garnka włożyć.

Fiesta trwa kilka dni. Gdy ostygnie religijna ekstaza, a z organizmów wyparuje wino, mieszkańcy Atunary wrócą do swoich zajęć. Niezmiennie związanych z morzem.

Katarzyna Mołoniewicz

eprasa.pl 102024b1cf

Jak rząd walczy o tanie mięso

To jest opowieść o polskiej dyplomacji i polskim premierze, bohatersko walczących ze złą Unią.

Otóż nie tak dawno Centrum Informacyjne Rządu zagrzmiało: „Nie ma zgody Polski na nowy podatek od mięsa!”.

Co za wspaniały, waleczny rząd! Zwłaszcza że podano przy tym, że celem takiego podatku jest wzrost cen mięsa o 15-20 zł za kilogram i zmniejszenie spożycia, np. wieprzowiny, o 57%. Trzeba przed tym się bronić.

Czyli – przed czym? Z kim ta walka? Otóż, jak mogli się dowiedzieć czytelnicy „Super Expressu”, jest to walka z Brukselą, debatującą nad podatkiem od mięsa. Ale napotkała opór Polski, okraszony komentarzem, że „takie propozycje przypominają inne pomysły, które przez lata wskazywano brukselskim urzędnikom, jak nazywanie ślimaka rybą, marchewki owocem czy ustalanie oczekiwanej krzywizny bananów”.

Uff… A teraz do rzeczy.

Po pierwsze, Bruksela nie rozważa podatku od mięsa. Niektóre media podały, że odbyła się na ten temat debata w Parlamencie Europejskim, a to też była nieprawda. Bo nie była to debata organizowana przez PE, lecz tzw. spotkanie śniadaniowe (*breakfast event*), przygotowane przez dwoje europosłów z Niderlandów (jeden z frakcji Zielonych, drugi socjaldemokrata) i polską deputowaną Sylwię Spurek. Odbyła się ona w jednym z pomieszczeń w budynku europarlamentu. Uczestniczyło w niej kilkadziesiąt osób. Współorganizatorem spotkania była fundacja TAPP (True Animal Protein Price – Prawdziwa Cena Białka Zwierzęcego).

Takich organizacji, lobbujących w Parlamencie Europejskim i w Unii, są setki. Takich spotkań – również. Odbywają się co chwila.

Tymczasem w Polsce stworzono wrażenie, że nowym podatkiem zajmuje się cały Parlament Europejski.

Po drugie, cały ten bój z Unią zilustrowano fałszywymi przykładami. Bo to nie jest tak, że urzędnicy brukselscy wymyślili sobie, żeby np. marchewkę zakwalifikować jako owoc. Rzecz wyglądała inaczej – otóż w pewnym momencie Unia zdecydowała o preferencjach dla dżemów owocowych. Wtedy zgłosili się Portugalczycy, którzy słyną z produkcji dżemów marchewkowych, alarmując, że będą pokrzywdzeni. I w wyniku ich starań dopisano w jednej z dyrektyw, że sprawa dotyczy dżemów owocowych (tu podano, co powinny zawierać) oraz dżemów marchewkowych z Portugalii. Nie marchewka zatem stała się owocem, tylko w jednym z przepisów dżem z niej wytworzony potraktowany został na równi z owocowymi.

Ta opowieść w normalnym państwie byłaby traktowana jako przykład skuteczności portugalskiej dyplomacji. A u nas jest powodem do rechotu.

Po trzecie, jeżeli ktoś śledził kampanię antyunijną w Wielkiej Brytanii jeszcze na długo przed brexitowym referendum, uderzy go podobieństwo bredni, które serwowano wówczas w brytyjskich tabloidach, do tych, które wyprodukowała kancelaria premiera. Tam też rozpowszechniano podobne fake newsy, też przekręcano fakty i kreowano nieprawdziwe wydarzenia.

I teraz pytanie: czy premier, któremu podlegają także minister ds. europejskich i wszystkie struktury odpowiedzialne za kontakty z Unią, wyraża zgodę na to, żeby z jego kancelarii wychodziły antyunijne fake newsy, czy był to tylko przypadek, niekompetencja któregoś z urzędników? Dobrze byłoby znać odpowiedź.

Attaché

Każdy lubi czasem zapozować. Pelikany w parku św. Jakuba w Londynie też.

FOT. EPA/PAP

eprasa.pl 102024b1cf

JOLKA

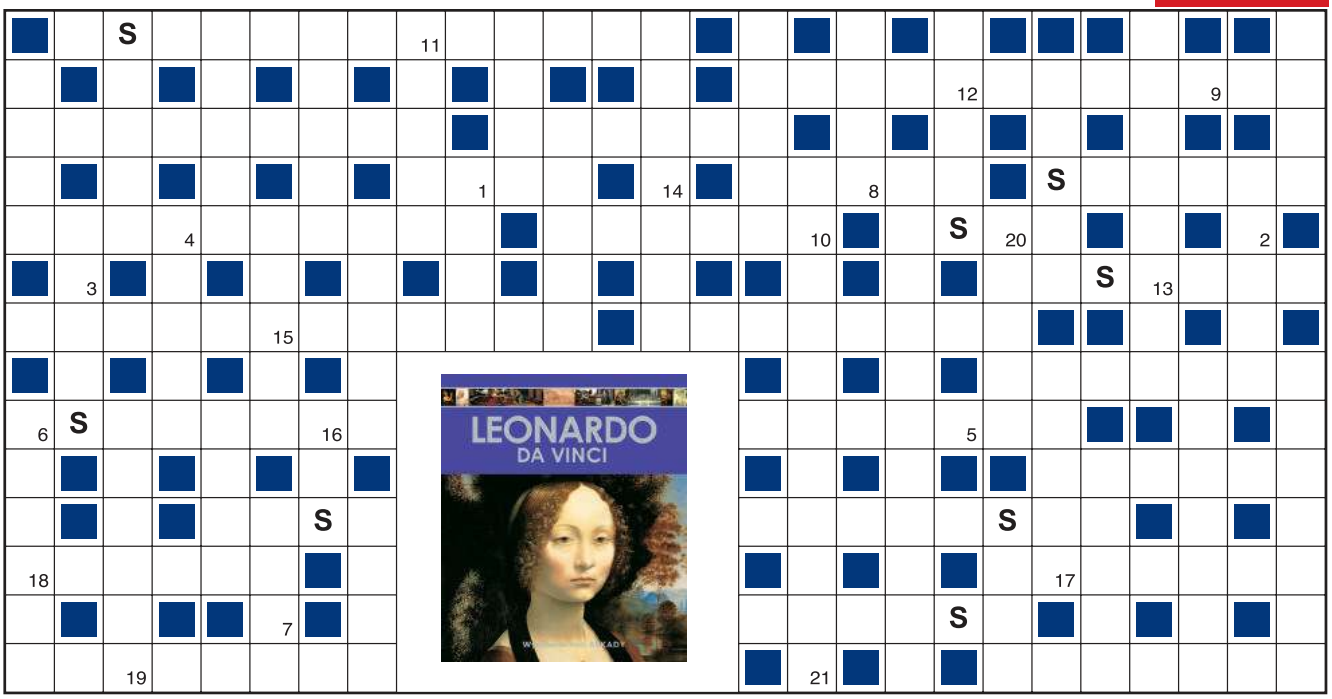

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- na jego łono lub do niego na piwo
- absztyfikant, wielbiciel
- nadawcy, bibliograficzny lub internetowy
- egipska opera Verdiego
- nieco większa od skrzypiec
- duński pisarz, autor baśni
- tytułowa bohaterka Prusa, pani Karuska
- wiejski chłopiec z noweli Prusa
- „E lucevan le stelle" z „Toski"
- gobelin z francuskiego miasta
- reprezentacyjna sala wykładowa
- wieża z obrazu Pietera Bruegla
- naukowczyni
- stolica nad Tygrysem
- największe miasto Kraju Basków
- francuski ser z białą pleśnią
- zrzucany z piersi, głowy, serca
- kulisy srebrnego w skeczach Kociniaka i Zaorskiego
- ogół wyborców
- miejsce inne niż otoczenie
- okres dziejowy lub literacki
- ościeżnica
- porwany Baltazar
- grzebała, maruda
- istota akwarystyki i gołębiarstwa
- oś… czyli rzędnych
- oś… czyli odciętych
- składnik curry, też do pierników i piwa
- Cherokee, Wrangler albo Renegade
- imię autorki opowiadania „Uczta Babette"
- nadzwyczajną są sędziowie według PiS
- region z Kościerzyną, Bytowem, Wejherowem
- kir, żałoba
- w biurze do powielania służy
- popęd seksualny
- popisuje się swoją wiedzą
- kocięta z jednej ciąży
- halucynacja, przywidzenie
- kłująca roślina z nieużytków
- zaliczano do nich widłaki
- rokowania, układanie się
- część balustrady lub krzesła
- ma wartki nurt w kamienistym korycie
- …pytania, gdy ktoś nie dosłyszał
- otrzymuje periodyk do skrzynki na listy
- np. koń oldenburski
- moda trącąca myszką
- brzeg kapelusza i forma instrumentalna
- szastanie pieniędzmi
- wydechowa w aucie
- alkohol w czarce, pity na ciepło
- ręczne narzędzie do żęcia
- pretensja, żalenie się lub kasacyjna
- …Tymański, wokalista i kompozytor
- w niedźwiedzim można kogoś zamknąć
- zapał twórczy, natchnienie
- element podtrzymujący żebra sklepienia
- bywa z czasem

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-949". Do rozlosowania książki „Leonardo da Vinci" ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 1 marca 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-946" z 9 lutego: *Nie myl wygody ze szczęściem.* Nagrody otrzymują: Grażyna Franczuk z Ełku, Zenon Lewiński z Dęblina, Józef Sałek z Zielonej Góry.

eprasa.pl 102024b1cf

PENETRACJE

PIOTR KUCZYŃSKI, ANALITYK RYNKÓW FINANSOWYCH

Uważam, że potrzebna jest harmonia społeczna. Zbyt duży rozziew dochodów jest niekorzystny. W latach 70. w USA zarobki prezesa firmy do przeciętnego pracownika miały się jak 1 do 42. Dziś jest to 1 do 500. Mamy do tego olbrzymie transgraniczne firmy, które są dziś potężniejsze od państw. Dziś rynki finansowe rządzą światem, a nie świat rynkami. Swego czasu prezes Bank of America powiedział, że kiedyś ludzie przychodzili do niego i pytali, jak gospodarka wpłynie na rynki finansowe, a teraz pytają, jak rynki finansowe wpłyną na gospodarkę. Ogon macha psem.

MARIUSZ SZCZYGIEŁ, REPORTER

Po roku pracy w telewizji udało mi się kupić mieszkanie przy ul. Ludnej, częściowo z widokiem na park, częściowo na ulicę. Dla warszawiaków to jasne, że to niezbyt dobra miejscówka, bo Ludna jest bardzo zatłoczona. Ja jednak wieczorami siadałem na balkonie i patrzyłem na samochody, które robią korek i produkują smog, i byłem szczęśliwy, że mam ten miejski hałas tuż przy uchu. Siedziałem przy biurku, a przez okno wpadał hałas przesuwających się aut. Dzisiaj bym tego nie zniósł, wtedy jednak po raz pierwszy poczułem, że już jestem stąd.

JERZY MAKSYMIUK, DYRYGENT, KOMPOZYTOR

Co zadziałało na mnie niczym katalizator? Otóż usłyszałem wypowiedź naszej noblistki Olgi Tokarczuk, która w przepięknym wykładzie powiedziała, że to, co nie zostanie wypowiedziane, napisane, umiera. Uprzytomniłem sobie, że tę wypowiedź można odnieść nie tylko do literatury. Podobnie dzieje się z muzycznymi opowieściami, falami dźwięków, brzmieniami. Żal mi się zrobiło umarłych nut tak bardzo, że… wreszcie zabrałem się do pracy.

ANDRZEJ DEPKO, SEKSUOLOG

Zawsze lubiliśmy zdradzać. Jakkolwiek byśmy próbowali ubierać to w ładne słowa, popęd seksualny człowieka jest poligamiczny. I nie dotyczy to wyłącznie mężczyzn. Badania, m.in. dotyczące dziedziczenia grup krwi, potwierdzają, że procent ojców, którzy nie są biologicznymi ojcami swoich dzieci, jest bardzo wysoki. Dlatego że obydwie płci idą za tym pierwotnym zewem. Będziemy się zdradzać. 10 tys. lat historii rozwoju ludzkości pokazało, że ludzie się nie zmieniają. Zmienia się tylko technika. Wystarczy kilka SMS-ów, emotikonów, zdjęcie i wszystko jest łatwiejsze. Zdrada też.

Lęk przed koronawirusem jest powszechny. Sadhu, hinduski wędrowny asceta, w ochronnej maseczce.

FOT. EPA/PAP

Aby język giętki…

MARIUSZ TRELIŃSKI O LATACH 70. XX W.
Łatwo kpić z tamtych czasów, ale wolałem pokazać to, co było w nich piękne.

DANIEL PASSENT O NOSIE JANUSZA KOWALSKIEGO
Powiedział: Mam w nosie tych 60 profesorów. Jestem za Polakami. Musi mieć duży nos.

BŁAŻEJ SPYCHALSKI O MICHALE DWORCZYKU
Jak państwo widzicie, minister Dworczyk jeszcze wiele musi się nauczyć.

PIOTR GADZINOWSKI O JOANNIE LICHOCKIEJ
W 2019 r. zarobiła 317 tys. zł, a wartość jej nieruchomości, mieszkań i działek, przekracza 4,3 mln zł.

JAKUB ŻULCZYK O KOŃCU ŚWIATA
Nie będzie żadnej apokalipsy, żadnego Mesjasza. Nienawiść nas zniszczy.

LUDWIK DORN O ZASADZIE JAROSŁAWA KACZYŃSKIEGO
Nieważne, czy osoby, które wsadzamy na różne stanowiska, są kompetentne. Ważne, żeby były lojalne.

JUSTYNA ŁAGOWSKA O MĘŻU JANIE KLACIE
Na początku nie było to wielkie zafascynowanie, ale potem – dzięki jego ciężkiej pracy – jakoś się udało.

CEZARY HARASIMOWICZ O NIEŚMIAŁOŚCI
Jestem tak nieśmiały, że nawet spytanie o drogę jest dla mnie ciężkim przeżyciem.

ANNA SEKIELSKA O MĘŻU TOMASZU
Tomek twierdzi, że zakochał się w moich oczach, a szczerze mówiąc, patrzył na biust.

GRAŻYNA WOLSZCZAK O MŁODOŚCI
Dziecięca ciekawość to podstawa młodości mentalnej.

MARYLA RODOWICZ O ZAZDROŚCI
Zawsze byłam zazdrosna o moich wybranków. A zazdrość jest strasznie niszcząca, mecząca, to koszmar.

KATARZYNA GLINKA O ROZPOCZYNANIU DNIA
Herbata z miodem i sokiem z limonki stawia mnie na nogi.

eprasa.pl 102024b1cf

Pikanie = marne wstanie

Wybór dźwięku budzika ma istotne konsekwencje – informują, czy może raczej alarmują, badacze z Królewskiego Instytutu Technologii w Melbourne. Okazuje się, że melodyjne dźwięki podwyższają nasz poziom czujności w ciągu kilku godzin po przebudzeniu, pikające alarmy zaś zwiększają poziom porannego oszołomienia. Odkrycie z antypodów ma duże znaczenie szczególnie dla osób, które muszą być w szczytowej formie chwilę po pobudce, jak pracownicy służb ratowniczych. Choć uczeni, jak to uczeni, przekonują, że „konieczne są dalsze badania", prof. Adrian Dyer sugeruje, że efektywnemu przejściu do stanu czuwania mogą sprzyjać takie piosenki jak „Good Vibrations" Beach Boysów czy „Close to Me" zespołu The Cure.

Żegnaj, laleczko

Japoński producent sekslalek, Human Love Doll Company, organizuje dla nich pogrzeby. Nowa usługa jest odpowiedzią na stale rosnącą popularność sztucznych kobiet jako wieloletnich partnerek samotnych Japończyków. Przywiązują się oni do swoich lalek, a wielu nawet wierzy, że mają one dusze, dlatego wyrzucanie zużytych egzemplarzy na śmietnik przynosi pecha. Do wyboru są trzy warianty pochówku, z których najtańszy zakłada zmielenie ekspartnerki wraz z innymi silikonowymi konkubinami, najdroższy zaś (równowartość ok. 3 tys. zł) stopniowe rozłożenie jej na części, na oczach ukochanego.

Zakaz zrobiony na zielono

W Kolorado, gdzie marihuana jest legalna, ale obowiązują regulacje zakazujące jej reklamowania, sprzedawcy znaleźli cwany sposób na ich obejście. Wykorzystali do tego stanowy program, w ramach którego firmy mogą sponsorować utrzymywanie w czystości fragmentów głównych szlaków komunikacyjnych w zamian za możliwość chwalenia się tym na tablicach informacyjnych. W efekcie na większości tras w okolicach punktów sprzedaży produktów zawierających „zioło" znajdują się obecnie znaki z logo handlarzy, często ze słowem marihuana. Słynna Mariola „o kocim spojrzeniu" byłaby pod wrażeniem!

Międzygatunkowa przyjaźń... i podobieństwo.

Pazerni chłopcy radarowcy

Trzy czwarte funkcjonariuszy maltańskiej drogówki zostało aresztowanych za oszustwa. Okazało się bowiem, że aż 37 z 50 policjantów tej służby, w tym jej szef, pobierało wynagrodzenia za nieistniejące nadgodziny, tankowało prywatne auta na koszt państwa itd. Nadinspektor odpowiedzialny za ruch drogowy podał się do dymisji, wydział wewnętrzny prowadzi dochodzenie w sprawie afery, a reszta mundurowych musi się mierzyć nie tylko z brakami kadrowymi, ale i kolejnym kryzysem wizerunkowym swojej instytucji. Policja nie cieszy się bowiem na wyspie szczególnym szacunkiem – wcześniej ujawniono m.in. panujący w niej nepotyzm oraz powiązania z przestępczością finansową elit politycznych i biznesowych.

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl 102024b1cf

Ostrożnie z nastolatkami

Za pośrednictwem fałszywych kont w mediach społecznościowych członkowie Hamasu hakowali telefony żołnierzy Sił Obronnych Izraela (IFD) – poinformował rzecznik izraelskiej armii. Palestyńscy bojownicy udawali nastolatki m.in. na Facebooku i Instagramie. Wysyłali Izraelczykom zdjęcia, a po pewnym czasie nakłaniali ich do pobrania jednej z trzech aplikacji, obiecując, że za jej pośrednictwem wyślą więcej fotek. Część żołnierzy dała się nabrać, czego efektem była instalacja oprogramowania śledzącego lokalizację smartfonów, a nawet robiącego zrzuty ekranu. A przecież już dzieci się uczy, że w sieci nigdy nie wiadomo, kto jest po drugiej stronie.

Hongkong roślinnie(je)

W Hongkongu, w którym średnie spożycie mięsa należy do najwyższych na świecie, ze wsparciem finansowym rządu powstaje aplikacja Pay-a-Vegan (Zapłać Weganinowi). Ma ona nie tylko podpowiadać użytkownikom restauracje oferujące w pełni roślinne posiłki, ale także… płacić za ich wybór. Zeskanowanie paragonu za bezmięsną ucztę zapewnia bowiem dolara zwrotu na konto. – Zamiast przekonywać ludzi do otwierania nowych, całkowicie wegańskich restauracji, łatwiej zachęcać już istniejące do zwiększania liczby opcji roślinnych – wyjaśnia twórczyni aplikacji Eiko Onishi.

Dron Pérignon?

Australijska para, która utknęła na wycieczkowcu „Diamond Princess" objętym kwarantanną w związku z epidemią koronawirusa, znalazła sposób na umilenie sobie okresu uwięzienia w porcie w Jokohamie. Jan i Dave Binskin zamawiają do kajuty wino, które jest dostarczane na statek za pomocą drona. Szczególnie im się nie dziwimy, w końcu nie samymi maseczkami ochronnymi człowiek żyje!

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), ANONIMOWY INTERNAUTA, BEW PHOTO, EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 102024b1cf

Po ponad 15 latach pracy jako modelka Zosia Promińska postanowiła stanąć po drugiej stronie obiektywu. Bohaterowie jej projektu fotograficznego, na który złożyło się ponad 100 sesji, dopiero czekają na swoją szansę, choć już mają podpisany kontrakt z agencją. Pozują w prywatnych pokojach – we wnętrzach często dominują łóżka, pod nimi lub na górnych półkach upchnięte są zabawki. Scenerię dopełniają dziecinne rysunki, zdjęcia, symbole ukochanych klubów sportowych. Projekty Gosi Baczyńskiej czy Macieja Zienia wyglądają w tych ujęciach nierealnie, surrealizm jest zresztą znakiem rozpoznawczym cyklu.

Galeria Instytut Fotografii Fort
Warszawa, ul. Racławicka 99
do 29 marca

FOT. ZOSIA PROMIŃSKA

WAITING ROOM

eprasa.pl 102024b1cl

STODOLA more than live music

KLUB STODOŁA ZAPRASZA NA KONCERTY

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL, WWW.TICKETCLUB.PL

ORAZ W KASIE KLUBU STODOŁA (ul. Batorego 10, Warszawa)

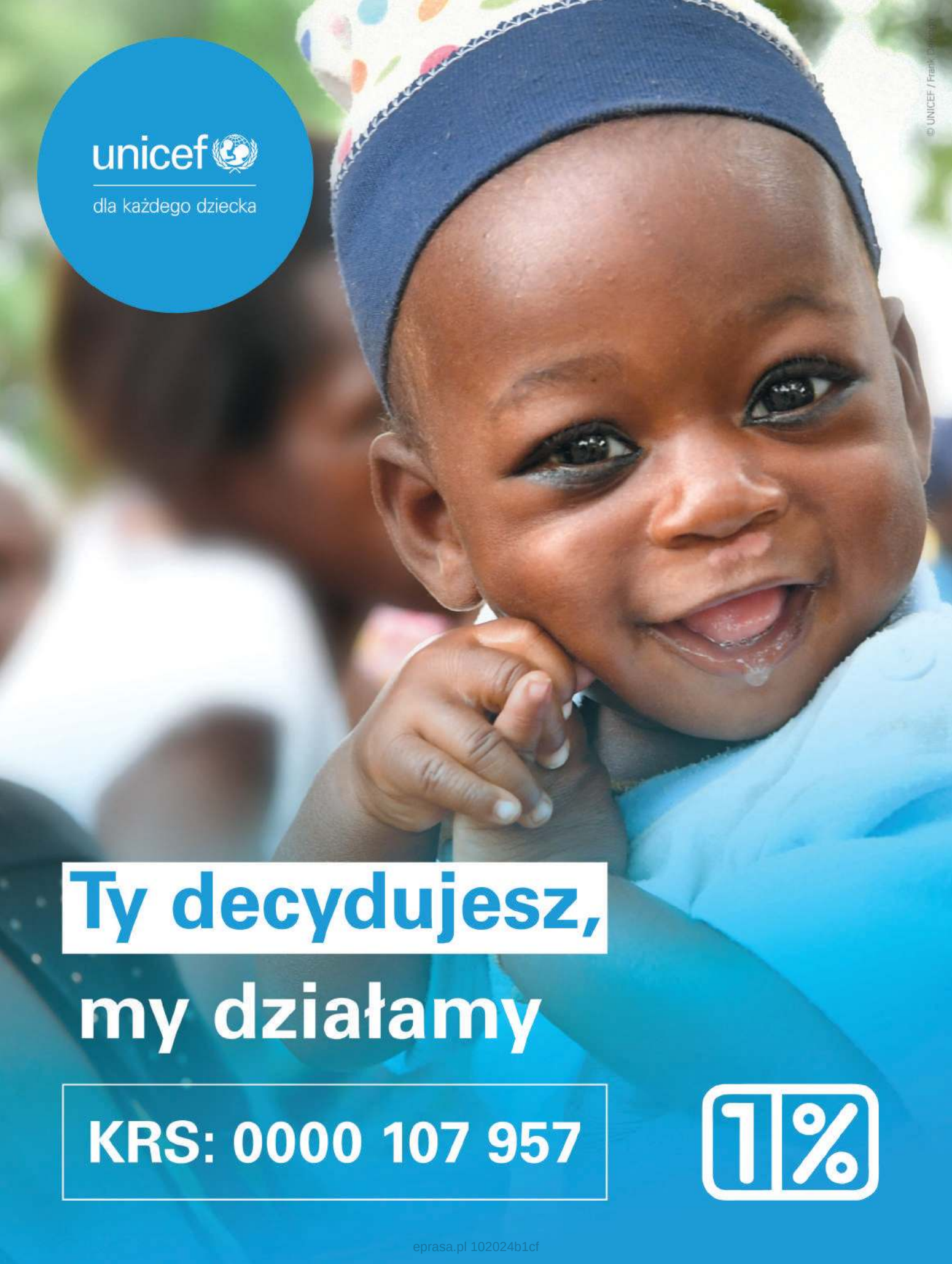

eprasa.pl 102024b1cf